



SIECI

**ZAMACH NA PiS
USTAWKA
W PKW**

**UJAWNIAMY:
W TŁE ROZMÓW Z KOŚCIOŁEM
JEST OBRZYDLIWY SZANTAŻ**

**PRZĄD WOJOWNIKÓW.
TRUMP SZYKUJE EKIPE,
KTÓRA MA ROZWALIĆ SYSTEM**

**WŁADZA TNIE SZPITALA.
POLKI BĘDĄ RODZIŁY W KARETKACH**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

48 (626) 2024
25 listopada - 1 grudnia 2024

CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

**KULISY
PRZEŁOMOWEJ
DECYZJI**

TERAZ ON!

**DR KAROL NAWROCKI, PREZES IPN,
BĘDZIE KANDYDATEM OBYWATELSKIM
NA PREZYDENTA.
WYSTARTUJE Z POPARCIEM
PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI**

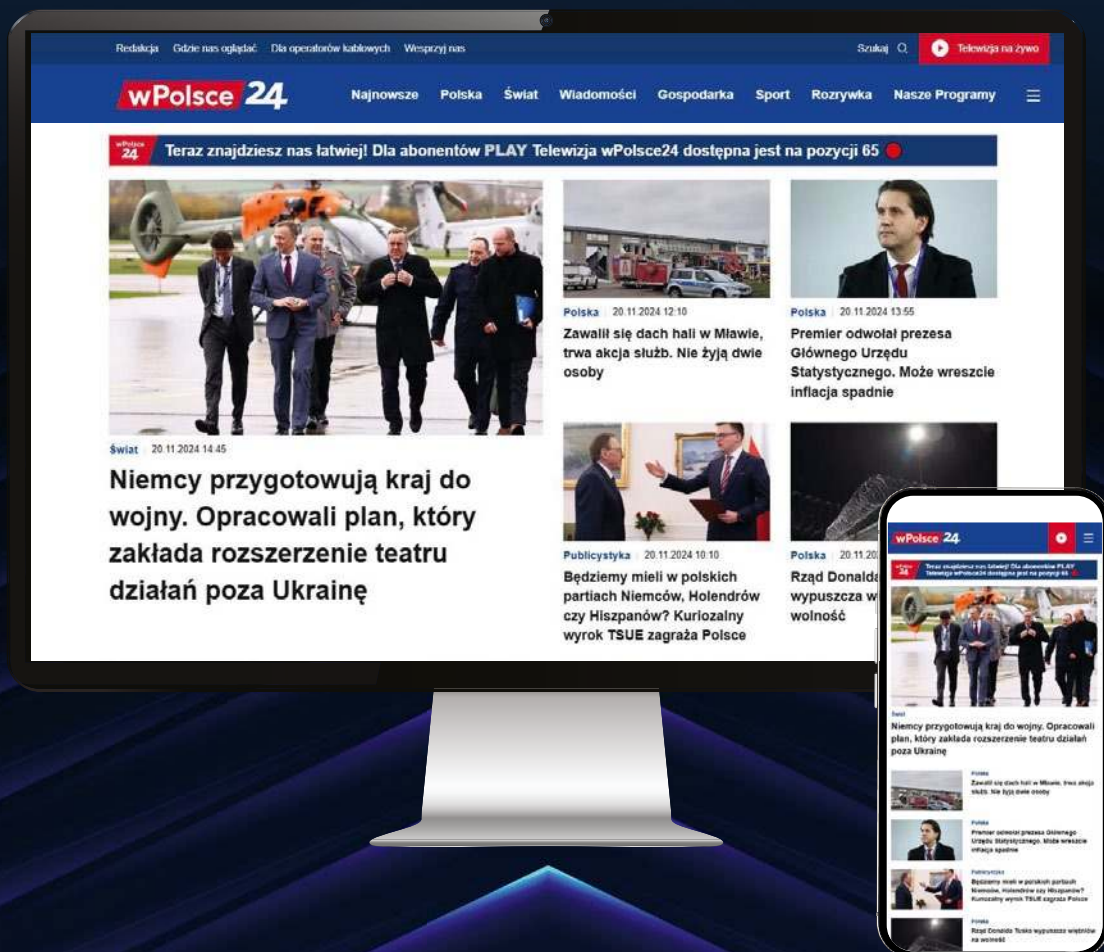
INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



Numer w sprzedaży do 2 XII 2024 r.

Nowy portal informacyjny telewizji

wPolsce 24



Najnowsze wiadomości z kraju i ze świata >> gospodarka
>> sport >> rozrywka >> publicystyka >> treści video

www.wpolsce24.tv

Co dalej? Aresztowania? Wyprzedaż niepodległości?

Zaden zawodowy sędzia w składzie Państwowej Komisji Wyborczej nie podniósł ręki za decyzją o „odebraniu” Prawu i Sprawiedliwości należnych pieniędzy publicznych. Pieniądzy, bez których rywalizacja na scenie politycznej staje się skrajnie zaburzona i nierówna. Zrobili to tylko polityczni nominaci Tuska. Sędziowie wiedzą, że cała operacja jest nieprawdopodobną hucpą i zbrodnią przeciw konstytucji: najpierw przyjęto bowiem wszystkie pozostałe sprawozdania, a zostawiono do dalszego procedowania tylko złożone przez największą partię opozycyjną. Następnie rozpętano kampanię medialnych zarzutów, które sprowadzały się do piętnowania normalnych działań prowadzonych przez wszystkie formacje polityczne, a tu kryminalizowanych.

W ten sposób finansowanie partyjnych wydarzeń ludzi Koalicji Obywatelskiej z pieniędzy podatników i środków zagranicznych (np. Campus Polska Przyszłości) znalazło się poza możliwością prawnej oceny, a fakt, że minister w rządzie PiS jednocześnie kandydował na posła i wystąpił w filmie podsumowującym dorobek kadencji, stał się „dowodem” oskarżenia.

To kpina z praworządności i zdrowego rozsądku.

Stan prawny jest jasny: subwencje i dotacje można odebrać tylko za te działania komitetu wyborczego, o których on wiedział i które sfinansował. Jeśli włączamy do tej procedury subiektywną ocenę jakiegś dowolnie stworzonej „całości”, jeżeli powodem takiej represji może być działanie dowolnego kandydata na posła, to cały system staje się kpina, a możliwości prowokacji – nieograniczone.

Rządzący obecnie ludzie doskonale zdają sobie sprawę, w czym biorą udział – to element putinizacji polskiej sceny politycznej. Przejęcie mediów publicznych przypominało to, którego dokonywał Putin w okresie konsolidacji władzy. Też siłowo, też bezprawnie, też buciorami policji i agencji ochroniarskich. Równie bezprawnie przejęta prokuratura kreuje sprawy kryminalne przeciwko politycznym oponentom – tak samo jak w putinowskiej Rosji. Tam pieniądze na działalność polityczną mogą mieć wyłącznie ludzie Putina – u nas Tuska.

Wstyd i hańba, że w kraju z ponad 1000-letnią historią państwowości i jedną z najdłuższych demokratycznych tradycji na świecie próbuje się zainstalować wschodnią satrapię, że ktoś sobie wyobraził, iż Polacy to bezwolne masy, którymi można manipulować w ten sposób.

W mojej opinii Tusk, Bodnar, Domański i Kalisz stawiają się w ten sposób w jednym szeregu z Kiszczakiem, bo jest to „dialog” w jego stylu. Belkotowi o demokracji i zasypywaniu podziałów towarzyszy bandycka próba zniszczenia legalnie działającej formacji politycznej. Przy okazji władza wykonawcza dowolnie chce decydować, którzy sędziowie są właściwi, jakie wyroki i kiedy będzie uznawała. To tyrania!

Co dalej? Masowe aresztowania? Pojedyncze już były. Taka jest logika systemu bezprawia. Straszny czas, zamordyzm przyszedł ze strony, która najmocniej wymachiwała wolnościowymi sztandarami.

Ale jednak jestem optymistą: to samo robili Trumpowi i jego ludziom. Skręcone procesy, potężne kampanie nagonkowe, próby zablokowania możliwości startu i legalnego działania, próby zabójstwa. Ale on wytrwał. Polacy są podobni do Amerykanów. Też nie dadzą sobie odebrać wolności, nie tacy tyrani próbowali. Obóz Jarosława Kaczyńskiego wróci do władzy i rozliczy wszystkie kryminalne czyny związane z zapleczu władzy zorganizowanych grup przestępczych.

Niech minister finansów ma świadomość, że nie wypłacając legalnej partii politycznej należnych jej subwencji, dokonuje zbrodni przeciw demokracji, że są na to paragrafy. Niech ci członkowie PKW, którzy wyobrażają sobie, iż mogą decydować, które składy sędziowskie uznają, nie sądzą, że takie bezprawie nie zostanie ukarane.

A na razie dobrze, że Polacy rozumieją konieczność wsparcia PiS. Wpłacając na Prawo i Sprawiedliwość, nie wpłacamy tylko na partię polityczną. Wpłacamy *de facto* na fundusz obrony wolności, demokracji i suwerenności. Pamiętajmy, że jeśli ktoś chce zniewolić i okraść Polaków, jeśli chce sprowadzić nas do roli landu podporządkowanego Berlinowi, musi zacząć od wyeliminowania możliwości wyboru. I właśnie to próbują zrobić Tusk z Kaliszem.

Michał Karnowski





28

Lekcje zza oceanu
Dariusz Matuszak



31

Pan Nikt
Piotr Gursztyn



44

Gorąca zima
na Ukrainie
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

- 5 **EDUKACJA ZDROWOTNA, CZYLI CHOROBA**
Bronisław Wildstein
- 6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 **KAMPANIA DELL'ARTE**
Krzysztof Feusette
- 9 **I PO PREKAMPANII**
Dorota Łosiewicz
- 10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 **UBRAŁ SIĘ DIABEŁ W ORNAT I OGONEM NA MSZĘ DZWONI**
Daniel Obajtek
- 13 **SKOMERCJALIZOWANE OKRUCIEŃSTWO**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 **WALIZKA DANIELA PAWŁOWSKIEGO**
Michał Korsun
- 16 **WALKĄ ZA WALKĄ I WALKĄ POGANIA**
Jan Pietrzak
- 16 **TE DWIE SPRAWY WIELE ŁĄCZY**
Samuel Pereira
- 17 **1000 DNI WOJNY... I NIEZACHWIANEJ POMOCY**
Arkadiusz Mularczyk
- 18 **PRAWORZĄDNOŚĆ PO BRUKSELSKU**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

- 20 **CZAS NAWROCKIEGO**
Jacek Karnowski

KRAJ

- 24 **JAK OKRAŚĆ PARTIĘ (I DEMOKRACJĘ)**
Marek Pyza
- 28 **LEKCJE ZZA OCEANU**
Dariusz Matuszak
- 31 **PAN NIKT**
Piotr Gursztyn
- 34 **KŁAMSTWO SONDAŻOWE**
Stanisław Janecki
- 36 **MOTOKRACH**
Konrad Kołodziejcki
- 39 **KARETKĄ DO PORODU**
Dorota Łosiewicz
- 42 **SZANTAŻOWANY KOŚCIÓŁ**
Goran Andrijanić

ŚWIAT

- 44 **GORĄCA ZIMA NA UKRAINIE**
Marek Budzisz
- 47 **RZĄD WOJOWNIKÓW**
Jan Rokita
- 50 **KOMENTARZE (NIE)MILE WIDZIANE**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

- 52 **DONALDZIE, UWAŻAJ!**
Jan Parys

HISTORIA

- 55 **KIERUNEK: NIEPODLEGŁOŚĆ**
Stanisław Płuzański

SIECI KULTURY

- 59 **DZIĘKUJĘ, ŻE BYŁAŚ**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 62 **NAWIĄZYWANIE ZERWANEJ CIĄGŁOŚCI**
Maciej Walaszczyk
- 64 **INŻYNIERIA MASTURBACJI**
Robert Tekieli
- 65 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 66 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

KUCHNIA

- 68 **MOJE SMAKI: BEATA I TETSU**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 70 **ŻADEN SKYMASTER**
Wojciech Reszczyński
- 71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 72 **WYBÓR**
Aleksander Nalaskowski
- 73 **GDYBY...**
Ryszard Czarniecki
- 74 **NIEBEZPIECZNA ODMOWA WIEDZY**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

Edukacja zdrowotna, czyli choroba

Konsultacje społeczne” dotyczące podstawy programowej „edukacji zdrowotnej”, czyli nowego przedmiotu w szkole podstawowej i średniej, zakończyły się 21 listopada br. Na naszych łamach pisze o tym jak zwykle kompetentnie Dorota Łosiewicz. Rzecz jest jednak na tyle poważna, że warto do niej wracać.

O tym, że MEN nie traktował poważnie ogłoszonych przez siebie „konsultacji”, świadczy nie tylko czas trzech tygodni, które na nie przeznaczył. Minister Nowacka pytana przez dziennikarzy o sprzeciw rodziców wobec nowego przedmiotu odpowiedziała: „Nie obchodzi mnie, co boli Ordo Iuris!”.

Fundacja ta jest przykładem autentycznej obywatelskiej aktywności, ma wielkie zasługi m.in. w informowaniu o sprawie i organizowaniu sprzeciwu wobec eksperymentu na dzieciach. Reprezentuje znaczące grupy rodziców. Jeśli Nowackiej nie obchodzi ich zdanie, nie powinna być nie tylko szefem edukacji, lecz także w ogóle funkcjonować w demokratycznym rządzie.

Koalicja 13 grudnia nie chce rozmawiać ze społeczeństwem, ale ideologicznie je formatować. Nie znaczy to, że nie cofnie się przed zorganizowanym oporem. Nadzieję budzi powstanie Koalicji na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły (KROPS) zrzeszającej organizacje, które protestują przeciw uczynieniu ze szkoły wehikułu lewicowo-liberalnej ideologii. W dużym stopniu przyczyniło się do tego Ordo Iuris.

W programie MEN likwidacji ulega wychowanie do życia w rodzinie, które propaguje klasyczny model relacji społeczno-erotycznych. W jego miejsce pojawia się „edukacja zdrowotna” – widocznie życie rodzinne jest niezdrowe – która już od IV klasy nauczać będzie, że masturbacja to „norma medyczna”, małżeństwo niczym znaczącym nie różni się od relacji homoseksualnych, a aborcja jest jednym ze zdrowotnych zabiegów. Dzieci będą uczone o naturalnym i równoprawnym charakterze wszelkich orientacji seksualnych, a także wielości równie naturalnych płci i o tym, że tylko od nich zależy, którą sobie wybiorą. Przedmiot, a więc i propagowane w nim treści, będą obowiązkowe tak w szkołach publicznych, jak prywatnych czy społecznych, w tym katolickich, a także w edukacji domowej.

Słyszeliśmy od obecnej minister, że program szkolny jest przeładowany, trzeba ograniczyć historię i matematykę, zredukować wiedzę o kulturze i nie zmieści się w nim filozofia. Za to musi się znaleźć edukacja seksualna... przepraszam zdrowotna, gdyż bez wiedzy o równouprawnieniu... ilu to już płci i orientacji seksualnych, przecież te drugie rosną wykładniczo w stosunku do tych pierwszych... bez tej wiedzy żadne dziecko zdrowe być nie może.

Można by sądzić, że przestrzeń społeczna jak nigdy nasycona jest seksualnym pierwiastkiem, a pornografia leży na wyciągnięcie ręki. Okazuje się jednak, że i to nie wystarczy.

Groteskowy wymiar seksualnej rewolucji nie powinien przesłaniać jej destrukcyjnego charakteru. Eros to najgwałtowniejsza ludzka namiętność. Bez ujęcia jej w ramy rodziny przybierać może destrukcyjny charakter. Lewicowi emancypatorzy zawsze żywili do rodziny nieufność czy wręcz wrogość. Jako ośrodek społecznego ładu stawiała tamę rewolucyjnym wezwaniom. Poprzez obyczaj i egzystencjalne wzorce przekazywała zbiorową mądrość, a więc przeciwstawiała się arbitralnym eksperymentom. Toteż w pierwszej fazie rewolucji jej twórcy sprzyjali liberynskim postawom, potem jednak, kiedy usiłowali stabilizować nowy stan rzeczy, orientowali się, że jakkolwiek porządek musi ujmować erotyzm w zestaw społecznych norm i z właściwą sobie skrajnością wybierali model purytański.

Obecna rewolucja wyjątkowo głęboko neguje wszelkie normy, zwłaszcza erotyczne. Zamiast wolności przynosi to mieszkańcom współczesnego świata anomie i zagubienie. Edukacja, która uderza w podstawową, płciową dystynkcję człowieka, powoduje radykalny wzrost wszelkiego typu psychicznych zaburzeń. Kreuje nie tylko psycho-, lecz także socjopatię.

Zamiast tradycyjnego modelu, w którym tożsamość płciowa wiąże się z zespołem wzorców wskazujących uczniom ich związane z rolą społeczną odpowiedzialności, są oni uczeni, że płeć jak i wszystko inne jest sprawą wyboru, a więc zabawy, jest jak kostium, który można dowolnie zmieniać. Niedojrzałe ludzie chętnie akceptują ten karnawałowy model. Tyle że życie nie jest permanentną zabawą, a grające w drugą płęć dzieci po hormonalno-chirurgicznych interwencjach dorastając, z przerażeniem odkrywają ich definitywne konsekwencje.

W coraz większym stopniu dzieci wychowywane są przez kulturę masową, do której podłączone są sieciami swoich smartfonów. Na wszystkich poziomach propaguje ona „wyzwolenie” z tradycyjnych, cywilizacyjnych form, rozmontowuje wszelkie tożsamości i pozostawia ludzi samotnych i bezbronnych wobec dominujących potęg współczesnego świata. Teraz w Polsce proces ten ma pogłębiać szkoła. Hasło zdrowia prowadzić ma do stanu, który – co typowe dla współczesnej antycywilizacji – stanowi jego zaprzeczenie. ▀



Sygnalista nadaaje

🔊 Tego nie da się odzobaczyć. Za to zresztą najbardziej kochamy „Gazetę Wyborczą”. Za styl, dystans do siebie samej, bezstronność i wyczucie dobrego smaku. „Obaj przyciągają. Każdy na swój sposób. W oczach elektorów z pokolenia Z Sikorski, zwany przez nich Chadostawem, jest sigmą, charyzmatycznym i pewnym siebie przywódcą. Trzaskowski zaś jak Daddy – ciepły, przystojny, z uśmiechem, który młodzi działacze chętnie utrwalają na wielu selfie” – autorem tej pięknej poetyckiej prozy jest Paweł Marcinkiewicz, postać jeszcze nieznana, ale sporo można się po niej spodziewać. Prawacy hejterzy oczywiście nie docenili, ale my uważamy, że tego stylu nie powstydzilaby się literatka Olga Tokarczuk albo Blanka Lipińska.

🔊 Aby nikogo nie ominął kunszt polskiego następcy Paulo Coelho, zacytujmy jeszcze raz fragment o Chadostawie Sikorskim (pisownia oryginalna): „Jest sigmą [samcem alfa, kimś inteligentnym – red.]. Twardym, nieustępliwym politykiem – ocenia Daniel (imię zmienione), działacz młodzieżówki PO i członek tej partii, który pomagał Sikorskiemu w jednej z kampanii wyborczych. Inny niewiele ponad dwudziestoletni polityk dodaje: – Na portalach społecznościowych krąży jego punche [cięte riposty, krytyka przeciwnika – red.]. Są bardzo zręczne, stają się viralami”.

🔊 A jeśli chodzi o **Rafała Trzaskowskiego**, to rzeczywiście trafnie młodzież z PO nadała mu ksywę Daddy. Dokładniej powinno być Sugar Daddy, co na polski najlepiej przetłumaczyć jako „Dupiarz”. Ciekawy przydomek. Czyżby ta młodzieżówka wiedziała coś naprawdę ciekawego, czego my jeszcze nie wiemy?

🔊 A jeśli nie wiemy wszystkiego o Sugar Daddy, jest szansa, że szybko się dowiemy. W mediach koncertu Agora (który w tym roku obiecał, że w Boże Narodzenie wyjątkowo nie zwolni kolejnej grupy swoich pracowników) ukazał się alarmistyczny artykuł: „Sympatycy Sikorskiego i Giertycha mają polować na Trzaskowskiego”. Apelowaliśmy już: „Chłopaki, nie kłóćcie się”. A tu na dodatek coś takiego! Czy ci ludzie nie wiedzą, że polowania są złe?

🔊 Jedną z metod polowania ma być doprowadzenie do szalu **Sławomira Nitrasa**, ważnego stronnika Trzaskowskiego. Chyba nie będzie to trudne. Wszyscy przecież znamy temperament Sławomira ze Szczecina. Poza tym wet za wet. Musi być kara za słowa Rafała, że „potrzebujemy prezydenta, który będzie przewidywalny i który zachowa zimną krew”. Fakt, nieładnie tak publicznie mówić o Radku, bliskim koleźce partyjnym. Zwłaszcza że jest to prawda.

🔊 Chadostaw i jego **wierny Roman** rzeczywiście są aktywni. Chadostaw wykonał telefon do pewnej pani z prośbą, aby go poparła. Był bardzo przekonujący. Firmy sprzedające fotowoltaikę będą się o niego biły. Taki akwizytor to skarb. Dokręcił śrubę w kole samochodu posłanki Wiśniewskiej (prywatnie dziewczyny jego syna). To epickie wydarzenie zostało sfilmowane, a czyn Chadostawę przypominał nam, jak Sugar Daddy skleił taśmą samoprzylepną rozbitą szybę w mieszkaniu swej wyborczynie. Ta sama zręczność, te same złote ręce.

🔊
*Wydłuża się lista
męczenników PO,
ofiar kryptoziobrystów
i omotanej przez nich
prokuratury. Do Janusza
Palikota dołączył Jacek
Sutryk (którego wyparła
się część platformersów,
nim zapiał trzeci kur, więc
i tu spełnia się proroctwo).
A teraz jeszcze znakomity
teoretyk państwa i prawa
prof. Sławomir Neumann, autor
słynnej doktryny z dziedziny
praworządności.*

Chadosław reklamuje się masowym poparciem na prawicy. Znajomy poinformował go, że konfederaci lubią „Sikora”, czyli Chadosława. To powszechnie znany fakt. Ze słynnych prawników uzyskał już publiczne poparcie Aleksandra Kwaśniewskiego i Klaudii Jachiry. Oczekiwana jest deklaracja poparcia ze strony Ewy „Osiem Gwiazdek” Zajączkowskiej.

Odnotujemy też dramatyczne różnice programowe i ideowe między Chadosławem a Sugar Daddym. Chadosław już zapowiedział swoją pierwszą decyzję po wejściu do pałacu prezydenckiego – będzie to odebranie Orderu Orła Białego Antoniowi Macierewiczowi. A co na to Sugar Daddy? Odpowiedział Chadosławowi nadzwyczaj mocno! Gdy już zostanie prezydentem, pierwszą rzeczą, którą zrobi, będzie... odebranie Orderu Orła Białego Antoniowi Macierewiczowi. Wracając do Chadosława – nie każdy pamięta, ale kiedyś był wickiem u Antoniego. To może być coś osobistego.

Brutalność pisowskiego państwa podziemnego nie kończy się na aresztach i aktach oskarżenia. Szczególnie trudny los spotkał Pali kota. Ten wybitny intelektualista, biznesmen i przede wszystkim etyk popadł w kryzys bezdomności. Stracił już swą skromną XV-wieczną rezydencję na lubelskim Starym Mieście, malutką willę w Kazimierzu Dolnym i ubogi domek w Warszawie. Został mu jeszcze kościół, ale też musi go sprzedać. Tak, to nie pomyłka. W lepszych czasach (wtedy rządził PiS) kupił XVI-wieczny obiekt sakralny na Dolnym Śląsku. Dokładniej – starą kaplicę cmentarną. W sumie nie wiemy poco. Nie zamierzamy przeginać z żartami o seryjnym samobójcy, ale może Janusz jest przesądny i nie chce dziś kusić losu...

Teraz naprawdę będzie strasznie. Ratuj się, kto może! Premier **Donald Tusk** wydał jasne oświadczenie. „Prąd w polskich domach nie podrożeje w roku 2025; zamrażamy ceny energii na 9 miesięcy” – oświadczył stanowczo. Wiedzą państwo, co to znaczy? W optymistycznych komentarzach przeważają opinie, że prąd nie zdrożeje. Pójdą tylko w górę opłaty za przesył energii. I będzie to dopiero po wyborach prezydenckich. Pesymiści biorą dosłownie słowa Tuska i twierdzą, że w 2025 r. nie będzie podwyżek, bo nastąpią one w grudniu 2024 r. Obie grupy są zgodne, że w każdym przypadku podwyżki będą wysokie.

Znamy już odpowiedzi Donalda Tuska na zarzuty malkontentów, którzy będą narzekać na wysokie rachunki. Odpowiedź pierwsza:



„Nie, tego typu sugestii o cenach energii nigdy nie zgłaszałem”. Odpowiedź druga: „Nie biorę odpowiedzialności za ceny energii, bo nie jest to decyzja premiera”. Byłaby nadzieja, że ceny nie wzrosną, gdyby premier Tusk nie wydał „jasnego” oświadczenia. Bo przecież zawsze, gdy gwarantuje coś „z całą odpowiedzialnością”, potem dzieje się zupełnie na odwrót.

Jeszcze z życia premiera. Bardzo się ucieszył, że wróciły orliki. „Orliki wróciły! Kiedy dumny patrzyłem na dziewczyny i chłopaków najlepszych w turnieju »Z orlika na stadion« (ponad 40 tys. uczestników), uwierzyłem, że zaświeci jeszcze słońce nad polską piłką” – napisał tam, gdzie lubi, czyli na portalu Elona Muska. I teraz wiadomo, co jest przyczyną wyniku polskiej drużyny w meczu ze Szkocją.

A u nas jest jak na Zachodzie w latach 70. XX w. Nie mamy jeszcze marszów wielkonoctnych w proteście przeciw instalacji rakiet Pershing, ale mamy już ponadpartijny ogólnopolski Komitet Obróńców Pokoju. To znaczne grono łączy ludzi dobrej woli od lewicy do prawicy. Leszek Miller, Łukasz Warzecha, Konrad Berkowicz – te autentyczne autorytety moralne połączył sprzeciw wobec działań amerykańskich imperialistów i ich marionetkowej junty rządzącej na Ukrainie. Polska pacyfistyczna prawica wsparta przez kanclerzy Scholza i Millera stanęła zgodnie przeciw amerykańskiej soldatesce, która nakazała ukraińskim rewanżystom ostrzeliwać rakietami ATACAMS pokojowe rosyjskie miasta. Nasi polscy „mirotworcy” z uznaniem przyjęli działania na rzecz deeskalacji i rozbrojenia podjęte przez rząd Korei Ludowo-Demokratycznej. „Obecność tysięcy aktywistów pokojowych, którzy przyjechali z KRL-D, aby zaprotestować przeciw prowokacyjnym działaniom amerykańskich podżegaczy wojennych, to właściwa odpowiedź militarystom waszyngtońskim” – oświadczyli liderzy polskiego Komitetu Obróńców Pokoju. Tylko jednostronne rozbrojenie Zachodu uchroni nas przed III wojną światową!

Pociągi Pendolino, duma Platformy, nie będą już przyjeżdżały do Wałbrzycha i Jeleniej Góry. To zrozumiała reakcja rządu na nieodpowiedzialne i niewdzięczne zachowanie powodzian z Dolnego Śląska, którzy swoim narzekaniem i czarnowidztwem wpisują się w antydemokratyczną propagandę PiS. To prawda, że nie dostali pomocy, ale żeby od razu taki defetyzm! I właśnie za to, że pyskowali, zabrano im Pendolino. A w uśmiechniętej Polsce nie wolno pyskować rządowi.

Kampania dell'arte



KRZYSZTOF FEUSETTE

Holownia: No to jestem!

Tusk: A w jakim charakterze?

Holownia: Członka wyścigu. Może nawet jego czarnego labędzia albo konia.

Trzaskowski: O czym kolega mówi?

Holownia: Mówię, co myślę, gdyż jestem kandydatem niezależnym.

Tusk: Do czego?

Holownia: No nie wygłupiajcie się. Ja przychodzę z konkretną propozycją. Co wy na to, żebyśmy jako koalicja

13, pardon, 15 grudnia wystawili jednego kandydata? Wbijemy ich w głębę!

Trzaskowski: Teraz?

Holownia: Nie, po wyborach. Rachciach, system domknięty. A potem już tylko rozliczenia, rozliczenia... I co, podoba ci się to, Donaldzie?

Trzaskowski: Człowieku, my tu już mamy prawyborów rozstrzygniętych!

Sikorski: A ja uważam, że jest w naszym gronie ktoś, kto mógłby się podjąć tego zadania...

Tusk: Powiedziałem, że nie wystartuję. Nie mogę z cholewy robić jeszcze większej cholewy.

Sikorski: Miałem na myśli kogoś innego. Kogoś, dla kogo Polska zawsze będzie Polską...

Trzaskowski: Pietrzaka chcesz wystawić? Zresztą kogo obchodzi, co ty masz na myśli? Przerzynałeś prawyborów, to kładziesz ręce na pokład i szorujesz tam, gdzie wszyscy. Prawda, panie premierze?

Tusk: Niby tak, a niby nie. Propozycja drugiej osoby w państwie godna jest rozważenia. Oczywiście pod jednym warunkiem.

Holownia: Ja będę gryzł trawę, przysięgam! Ja już jeżdżę gadać z ludźmi! Takimi, jacy oni są!

Tusk: I co mówią?

Holownia: Pytają, czy wierzę, że wygram.

Tusk: I co?

Holownia: Mówię, że wierzę. Nie można nagle przestać wierzyć w św. Mikołaja, prawda?

Tusk: Pan wierzy?

Holownia: Kiedyś wierzyłem, ale wujowi broda odpadła i było po wszystkim.

Tusk: Mnie chodzi o pańską wygraną.

Holownia: Jakbyście mnie poparli, to kto mi podskoczy?

Tusk: A widział pan sondaże?

Holownia: Kosiniak mówi, że kłamią. Oni też mieli kiedyś 9 proc. przed wyborami samorządowymi, a w dniu wyborów podskoczyło im do 23.

Trzaskowski: Czary jakieś. Coś jeszcze, panie Szymku? Bo my tu akurat strategię omawiamy...

Sikorski: Sam widzisz, Rafale, że się nie nadajesz. Przychodzi marszałek Sejmu z ciekawą propozycją, którą pan premier uznaje za godną rozważenia, a ty co?

Tusk: Obawiam się, Radku, że Rafał ma rację. Przegrałeś, to trzymaj fason, a pan Szymon, jak sądzę, ma na myśli swoją skromną osobę.

Holownia: To aż tak widać?

Trzaskowski: Że skromna? Nie bardzo.

Holownia: Dobra, to idę do lewicy.

Tusk: A po co?

Holownia: Jako kandydat totalnie niezależny mam prawo zachować pełną niezależność także od swoich wcześniejszych poglądów. I tak już na wiele rzeczy patrzę inaczej.

Trzaskowski: Lewica to ci najpierw łaskę zabierze.

Holownia: Jaką łaskę?

Trzaskowski: Celowo mówię przez „i”, bo wiem, że Radosław wtedy zrozumie.

Sikorski: Od Radosława proszę się odczajkować. Dla ciebie: pan minister spraw zagranicznych.

Trzaskowski: Chyba bezgranicznych. Jak bezgraniczny narcyzm i samouwielbienie.

Sikorski: Akurat ty coś o tym wiesz.

Trzaskowski: Mniej niż ty!

Sikorski: Chyba ty!

Holownia: Sam pan widzi, panie Donku... Donaldzie... premierze nasz kochany... że oni zaraz się pozabijają. Aha, żebyśmy nie zapomnieli – ja oczywiście na drodze negocjacji mogę zrezygnować z jednej obietnicy wyborczej. Chodzi o te słowa, że

nie będę odbierał telefonów od żadnego premiera.

Tusk: Tak pan powiedział?

Holownia: Tak, ale nie o panu. Mówiłem wyraźnie o żadnym premierze. A pan przecież nie jest żaden. No chyba nikt nie powie: żaden premier z tego Tuska, co?

Sikorski: Oj, zdziwiłbyś się.

Tusk: Słucham?

Sikorski: Mówię tylko, że są wrogowie ojczyzny, których trzeba dorżnąć, jak, no nie wiem...

Trzaskowski: Lepiej nie kończ. Wszyscy znamy twoją szarmanckość wobec kobiet.

Sikorski: Znalazł się dżentelmen. Kto przy babach w tramwaju siedział?

Trzaskowski: Widzisz? Dla ciebie to są baby, a dla mnie kobiety.

Sikorski: Wszyscy widzieli, jak „dupiarz” krzesła w domu pilnuje, a baba przy garach stoi.

Trzaskowski: Wypraszam sobie. Babę to masz w Chobielinie, buraku. No, Szymonie, wyobrażasz sobie taką pierwszą damę?

Holownia: Że Żydówka?

Trzaskowski: Że po polsku nie mówi!

Sikorski: Ja ją rozumiem!

Tusk: Dobrze, panie Szymku, niech pan już idzie, bo my tu mamy wewnętrzne sprawy w partii. Przy okazji niech pan Czarzastemu przekaże tę łaskę marszałkowską, bo przecież na czas kampanii musi się pan zawiesić, prawda?

Holownia: A kto mi każe? Ja jestem niezależny, a umowa to nie jest Pismo Święte. Przecież jak ja im teraz dam tę łaskę, to już jej nie oddadzą. No ile im głosów zbierze ta cała Dziemianowicz?

Tusk: Bąk.

Holownia: To nie ja.

Trzaskowski: Niech on już idzie. Musimy ruszać z kampanią, a on nas specjalnie spowalnia.

Holownia: To co, nie chcecie ponadpartyjnego kandydata?

Tusk: Chcemy, ale w drugiej turze. Na razie może być partyjny.

Holownia: Czyli co? Znowu podmianka? Ale jaja!

Trzaskowski: Idź już!

Sikorski: Chwileczkę, chwileczkę, gdyby miało dojść do podmianki, to ja mam kandydata...

Trzaskowski: Panie premierze, czy ja mogę im zakleić usta? Mam akurat taśmę klejącą. Z poprzedniej kampanii mi została. Jako talizman.

I po prekampanii

Choć kampania prezydencka jeszcze nie wystartowała, to już teraz dostarcza nam sporo politycznych emocji.

Dobiegły końca prawyborzy w Koalicji Obywatelskiej. Pisząc te słowa, jeszcze nie znam ich wyniku, ale na podstawie tego, co mówili o sobie koledzy z jednej partii, kandydaci na kandydatów, można stwierdzić, że żaden z nich nie nadaje się na prezydenta. Co gorsza, nie nadają się także do pełnionych przez siebie funkcji.

Choć Rafał Trzaskowski zapowiadał, że o Radosławie Sikorskim będzie mówił tylko dobrze, to nie do końca mu wyszło. Od niego i jego stronników usłyszeliśmy, że uważają szefa MSZ za człowieka, który jest nieprzewidywalny i nie umie ugryźć się w język, a także za dużo mówi, a za mało robi. Od Sławomira Nitrasa, stronnika Trzaskowskiego, dowiedzieliśmy się, że potrzebujemy prezydenta, który umie budować kompromisy, bo Polacy nie chcą wojny. Czyli jak rozumiem, Sikorski nie potrafi budować kompromisów i może Polskę wciągnąć w tę wojnę.

Z kolei Radosław Sikorski mówił o Rafale Trzaskowskim, że jest miły i sympatyczny, ale niewiele wie o bezpieczeństwie i nie widzi problemów Polaków z perspektywy Warszawy, jest „przegrywem”, który chce się odegrać za porażkę. Szef MSZ twierdził, że kandydatura Trzaskowskiego była dobra w 2020 r., ale czasy się zmieniły i PO potrzebuje poważnego kandydata. Do tego jeszcze Trzaskowski sam sobie podłożył nogę, twierdząc, że „musimy inwestować w nasze zdolności obronne zarówno w Sojuszu Północnoatlantyckim, jak i w NATO”, choć to ten sam sojusz obronny. I tu okazało się, że Sikorski miał rację, podważając kompetencje Trzaskowskiego w dziedzinie bezpieczeństwa.

Po tych wszystkich wzajemnych „uprzejmościach”, a było ich znacznie więcej, trudno sobie wyobrazić któregośkolwiek z kandydatów KO urzędującego w pałacu prezydenckim, bo jeden jest niekompetentny, a drugi nieobliczalny. Trudno też sobie wyobrazić,

*Trudno sobie wyobrazić
któregokolwiek z kandydatów
KO urzędującego
w pałacu prezydenckim,
bo jeden jest niekompetentny,
a drugi nieobliczalny*

żeby funkcję szefa dyplomacji pełniła osoba, która może wciągnąć Polskę w konflikt zbrojny, bo nie jest skłonna do kompromisów, za dużo gada i jest nieobliczalna. Jeszcze trudniej sobie wyobrazić, aby obaj kandydaci na kandydatów mogli współpracować w kampanii prezydenckiej. Jak teraz Trzaskowski miałby wychwalać walory Sikorskiego, którego uważa za niebezpiecznego typu zagrażającego bezpieczeństwu kraju? Albo jak Trzaskowskiego miałby wesprzeć Si-

korski, który zrobił z prezydenta stolicy tępawego chłopaczka w krótkich spodenkach, któremu, powtarzając słowa Józefa Piłsudskiego, „kury szczać prowadzić, a nie politykę robić”?

Gdy spojrzymy bliżej centrum od KO, mamy Szymona Hołownię, który będąc szefem partii, ogłosił się kandydatem apolitycznym i niezależnym, do którego ma nie telefonować żaden premier ani żaden szef partii. Na tę deklarację Donald Tusk musiał parsknąć śmiechem, a Władysław Kosiniak-Kamysz zasmucić się, że już sobie nie pogada przez telefon z kolegą Szymkiem, choćby o czterech wspólnych córkach.

Hołownia deklaruje, że idzie po zwycięstwo i tylko to go interesuje, nic też sobie nie robi z sondaży. No i tu znów rodzi się pytanie, czy człowiek tak oderwany od politycznej rzeczywistości powinien sprawować funkcję marszałka Sejmu.

Niewesoło też na lewo od Koalicji Obywatelskiej, bo kandydatów z Lewicy ma być dwóch. Jednego wystawi Nowa Lewica, drugiego partia Razem. Kandydować zamierza także (jak w poprzednich wyborach) lewicowy senator Waldemar Witkowski.

Równie gęsto jest na prawo od Prawa i Sprawiedliwości. Wszranki staną Marek Jakubiak, Sławomir Mentzen i Grzegorz Braun.

Wydawać by się mogło, że w tę rozgrywkę dość spokojnie mógłby wchodzić kandydat PiS Karol Nawrocki (jako kandydat obywatelski), gdyby nie to, że Państwowa Komisja Wyborcza odebrała tej partii subwencję, więc bez wsparcia Polaków ciężko będzie prowadzić kampanię. I pomyśleć, że to początek zabawy, a wybory prezydenckie dopiero w maju.

Dorota Łosiewicz



Zmiana lidera

Po raz pierwszy od 2006 r. Fidesz przestał być liderem sondaży popularności. Już w kilku badaniach opinii publicznej większym poparciem od niego cieszy się opozycyjna partia TISZA. Według renomowanej agencji Mediana zagłosowałoby na nią 46 proc. wyborców, podczas gdy na rządzącą prawicę 39 proc. Także w rankingu popularności polityków lider opozycji Péter Magyar zdystansował urzędującego premiera Viktora Orbána stosunkiem głosów 51 do 40 proc.

To prawdziwy fenomen, ponieważ jeszcze rok temu mało kto na Węgrzech słyszał o Magyarze i jego ugrupowaniu. Polityk wy-



Węgry

plynał na szersze wody w lutym br. po ujawnieniu skandalu z ułaskawieniem pedofila, co spowodowało dymisję jego byłej żony, minister sprawiedliwości Judit Vargi. Dał się poznać jako krytyk Fideszu, ale z pozycji tej partii – jako ten, który reprezentuje jej prawdziwe wartości zdradzone przez Viktora Orbána. W majowych wyborach do europarlamentu zdobył 29,5 proc. głosów i 7 mandatów.

Od tamtego czasu poparcie dla niego stale rośnie. Dzieje się tak mimo całej serii związanych z nim skandali obyczajowych upublicznianych przez media. Ostatni z nich dotyczył podsłuchiwanie i wzajemnego nagrywania swoich rozmów przez Magyara oraz jego byłą

partnerkę Evelin Vogel, z którą związał się po rozstaniu z żoną. Wiele ujawnionych wypowiedzi stawia go w kompromitującym świetle, a jednak nie ma to najmniejszego wpływu na stosunek społeczeństwa do niego. Wydaje się człowiekiem z teflonu, po którym wszystkie zarzuty spływają jak woda.

Wynika to faktu, że po 14 latach rządów wielu ludzi jest już zmęczonych Fideszem, który nie jest w stanie zaoferować wyborcom nic poza stabilnością. Na dodatek w ostatnich latach wysoka inflacja zniszczyła siłę nabywczą forinta, dlatego wielu Węgrów ma poczucie, że ich poziom życia spada. Rozczarowana jest zwłaszcza młodzież, która nie zna innej władzy niż Orbána. Dlatego w społeczeństwie coraz silniejsze jest pragnienie zmian. Magyar idealnie wychodzi naprzeciw tym oczekiwaniom.

Grzegorz Górny



Drobne wyspy położone w pobliżu cieśniny Ormuz stały się przyczyną ostrego sporu pomiędzy Iranem a Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Mają one znaczenie strategiczne, ponieważ leżą u wejścia do Zatoki Perskiej i stanowią pierwszą linię obrony Iranu.

Konflikt dotyczy trzech okrucich łądu zagubionych na szlaku łączącym Morze Arabskie z Zatoką Perską: wyspy Abu Musa oraz Wielkiego i Małego Tunbu. Ostatnia z wysepek jest bezludna, mimo to stanowią one bardzo ważny punkt na mapie regionu. Dzięki nim łatwiej jest kontrolować ruch statków, w większości tankowców przewożących ropę naftową. Wyspy są bowiem naturalnym szlabanem na wejściu do Zatoki Perskiej, który w razie nagłej potrzeby można zamknąć.

Ze strategicznego znaczenia wysp zdawali sobie sprawę Brytyjczycy, którzy w latach świetności swojego imperium kontrolowali wszystkie ważne szlaki żeglugowe, utrzymując bazy m.in. na Gibraltarze, w Suezie, Falklandach czy Singapurze. Nic więc dziwnego, że zwrócili uwagę na pozornie bezwartościowe wyspy leżące obok Iranu i zajęli je w 1908 r.

Trzy skrawki łądu znajdowały się pod władzą brytyjską do 1971 r. Gdy Anglicy zdecydowali się opuścić wyspy, pojawił się problem, komu je zwrócić. Do wysepek zgłaszały bowiem pretensje Iran oraz dopiero co utworzone Zjednoczone Emiraty Arabskie. Ostatecznie o wszystkim rozstrzygnęła siła.

Spadek po imperium

Irańczycy po prostu zajęli opuszczone wyspy, a na największej z nich, Abu Musie, zaanektowanej w 1992 r., ulokowali swój posterunek wojskowy. To na długie lata zatruło relacje Iranu z arabskimi emiratami

z przeciwnego brzegu Zatoki Perskiej. Tym bardziej że Irańczycy wysiedlili z Abu Musy miejscową ludność arabską i zbudowali tam własne osiedle.

Iran twierdzi, że wyspy należały do imperium perskiego od VI w. p.n.e. Powołuje się przy tym na brytyjskie mapy kolonialne z 1888 r., na których wysepki są oznaczone jako część Iranu, a obecne terytorium Zjednoczonych Emiratów Arabskich jest opisane jako pozbawione państwowości Wybrzeże Piratów. W tej sytuacji, zdaniem Teheranu, nie ma mowy o jakichkolwiek prawach Emiratów do wysp.

Jednak chodzi nie tylko o historię. Wyspy stanowią pierwszą linię obrony Iranu i ich utrata miałaby poważne konsekwencje strategiczne. W tym konflikcie Teheran jest jednak samotny. Po stronie Emiratów opowiedziała się bowiem większość państw arabskich oraz Unia Europejska. Co ciekawe, stronę ZEA wzięły także Chiny i Rosja, które zabiegają o dobre relacje z państwami arabskimi. Mogły sobie jednak pozwolić na taką nieojalność wobec irańskiego sojusznika, bo wiedzą, że Teheran i tak nie ma żadnego pola manewru.

Konrad Kolodziejcki



Abchazja

Walka klanów

Aslan Bżanija, prezydent Abchazji, nieuznawanej separatystycznej republiki, która w latach 90. oddzieliła się od Gruzji, ustąpił z urzędu. Bezpośrednim powodem dymisji były burzliwe protesty opozycji w związku z podpisaniem porozumienia przyznającego Rosji specjalne przywileje inwestycyjne bez konsultacji z lokalnym parlamentem.

W czasie kilkudniowych zamieszek demonstranci opanowali budynek parlamentu, siedzibę rządu i administrację prezydenta. W mediach pojawiły się informacje, że Bżanija wraz z częścią ministrów schronił się w rosyjskiej bazie wojskowej, a przedstawiciele resortów siłowych zaczęli przechodzić na stronę opozycji.

Porozumienie, które stało się powodem zamieszek, zostało podpisane w Moskwie przez abchaską minister handlu Kristinę Ozgun. Umowa przewidywała preferencje dla firm z Rosji, które chciałyby inwestować w Abchazji, w tym możliwość zakładania przez rosyjskie instytucje finansowe swoich oddziałów. Najwięcej emocji wzbudził art. 5 umowy, w którym przewidziano specjalne ułatwienia dla inwestorów chcących nabyć nieruchomości inwestycyjne, w tym ziemię. Przy czym minimalna wielkość zaangażowania została określona na 2,5 mld rubli, podczas gdy dochody budżetowe całej Abchazji zamykają się kwotą 12 mld rubli. Zdaniem opozycji wejście tak dużego kapitału z Rosji zainteresowanego pozyskaniem gruntów pod budowę kompleksów hotelowych doprowadziłoby lokalnych biznesmenów do ruiny.

W całej sprawie są też inne aspekty. Otóż polityka w Abchazji ma charakter walki dwóch głównych klanów: pierwszy z nich jest skupiony wokół Asłana Bżaniji, a w drugim dominuje ród Ardzinbów. Liderem opozycji i zarazem organizatorem buntu jest Adgur Ardzinba. W rywalizacji klanowej chodzi nie tyle o kwestie polityczne, ile raczej o to, która grupa będzie czerpać zyski z dwóch głównych „źródeł”, bogactwa kraju, czyli z przemytu i kopania bitcoinów.

Działania prezydenta Bżaniji miały też związek z wojną na Ukrainie i niepewnym statusem Krymu. Rosjanie właśnie w Abchazji postanowili zbudować nową bazę Floty Czarnomorskiej po tym, jak jej główne siły zostały wycofane z Sewastopola. Konsekwencją większej obecności wojskowej miał być napływ turystów z Rosji, dla których należało przygotować dużą bazę hotelową. Jednak realizacja tych planów wzmocniłaby klan Bżaniji, co z kolei naruszałoby wewnętrzną równowagę sił między klanami. I to było głównym tłem zamieszek.

Marek Budzisz

Fobia pani „ministra”

Szwedzka minister ds. równości płci i zarazem wiceminister pracy Paulina Brandberg ma, jak sama twierdzi, „najdziwniejszą fobię na świecie” – na punkcie bananów. Z dokumentów cytowanych przez bulwarówkę „Expressen” wynika, że jej pracownicy muszą „zabezpieczać” pomieszczenia, w których się pojawia służbowo. „Nigdzie nie może być śladów bananów” – zażądano w korespondencji do przewodniczącego parlamentu Andreasa Norléna.

Dziwaczna przypadłość Brandberg ujawniła się w lutym br., gdy minister została zaproszona na obiad organizowany przez Krajowy Urząd Sądownictwa. Organizatorzy spotkania poproszono o usunięcie bananów ze wszystkich pomieszczeń, w których będzie ona przebywać. Również w korespondencji z zarządem jednego z powiatów zażądano, aby „na teren obiektu nie wносить bananów”. Osobliwe warunki spotkania zostały postawione także wspomnianemu już przewodniczącemu Riksdagu, który we wrześniu postanowił zaprosić minister Brandberg na służbową rozmowę przy kawie. „W pomieszczeniach, w których będzie przebywała minister, nie może być śladów bananów” – zażądał kierowany przez nią resort. W odpowiedzi urzędnicy Riksdagu poinformowali, że podczas spotkania do kawy zostanie podane ciasto. „Sprawdźmy, czy nie zawiera banana” – zapewnili. „W przyległych pomieszczeniach i pomieszczeniach przejściowych mamy natomiast kosze z owocami. Czy wystarczy, jeśli usuniemy je rano tego samego dnia?” – zapytali dla pewności. Okazało się, że dopiero tak zabezpieczone pomieszczenia pozwolą na komfortową atmosferę rozmowy. Gazeta zadała w tej kwestii kilka pytań do Pauliny Brandberg, ale, jak się okazało, pani „ministra” nie była chętna do rozmowy o swoich fobiach.

Od dwóch lat Szwecją rządzi centroprawicowa koalicja, która stara się przywrócić w tym kraju pewną normalność. Jak jednak widać, nie udało się tego dokonać we wszystkich obszarach życia publicznego.

Maciej Walaszczyk

 **Szwecja**



25.11–1.12.2024

11

Ubrał się diabeł w ornat i ogonem na mszę dzwoni

Wszyscy wiemy aż za dobrze, jak oderwane od rzeczywistości zielone regulacje niszczą Unię Europejską. Ideologicznie napędzana brukselska walka o klimat nie przyniosła ani odrobiny światowej redukcji emisji CO₂ (co obniżyła Europa, dołożyła reszta świata), za to kompletnie rozłożyła unijną gospodarkę, a wiele milionów Europejczyków wpędziła i wpędza w biedę.

Mityczny Zielony Ład (i prowadzący do niego pakiet Fit for 55), w założeniach poprzez dążenie do zerowej emisji CO₂ w 2050 r. mający napędzić ekonomię i pobudzić innowacje, ostatecznie okazał się zbiorem oderwanych od rzeczywistości przepisów niszczących po kolei każdą gospodarczą gałąź, każdy sektor. Nieprawdą okazały się pierwotne założenia, a Frans Timmermans wcale nie okazał się wizjonerem.

Rząd Prawa i Sprawiedliwości bardzo szybko to przejrzał, czego pierwszym wyrazem było weto Mateusza Morawieckiego z grudnia 2019 r. Spowodowało ono jednak zmianę planów Timmermansa i Komisji Europejskiej. W Brukseli zdecydowano wówczas o przyjęciu strategii wdrożenia Zielonego Ładu z pominięciem Rady Europejskiej i rozpoczęto przygotowywanie dyrektyw, których nie da się zablokować prawem weta.

Wówczas rząd Zjednoczonej Prawicy konsekwentnie, na każdym etapie protestował i starał się blokować pakiet Fit for 55 dla Polski. A w przypadku przyjęcia niekorzystnych dla kraju przepisów za każdym razem składał skargi do TSUE (w sumie sześć, dotyczących wszystkich najmniej korzystnych przepisów). Rząd i europosłowie PiS sprzeciwiali się m.in. dyrektywie budynkowej, zakazowi produkcji samochodów spalinowych, nowym podatkom klimatycznym, aktualizacji rozporządzenia w sprawie wysiłku redukcyjnego, rozporządzeniu w sprawie użytkowania gruntów i leśnictwa, aktualizacji dyrektywy w sprawie odnawialnych źródeł energii, zaostrożeniu norm emisji CO₂ dla samochodów, przepisom o emisjach dotyczących paliw w transporcie lądowym, lotniczym i morskim.



Obecnie rządzący i ich europejscy posłowie ochoczo i karnie głosowali za dosłownie każdym elementem Zielonego Ładu. A teraz zaczęli się nawet prześcigać w krytyce tych przepisów

Zarzuty dotyczące rzekomego przyjęcia przez Polskę Zielonego Ładu są więc po prostu wyssane z palca. Zerwanie szczytu przez Polskę nie miałoby żadnego wpływu na dalsze prace nad Zielonym Ładem, bo Komisja Europejska i tak realizowałaby ten program na poziomie Rady i Parlamentu Europejskiego. I tu dochodzimy do sedna – prawdziwej roli i znaczenia w tym wszystkim rządzących obecnie koalicjantów.

Otóż obecnie rządzący i ich europejscy posłowie ochoczo i karnie głosowali za dosłownie każdym elementem Zielonego Ładu. 13 głosowań – 13 razy przedstawiciel uśmiechniętej koalicji głosował „za”: za ETS2, za przymusową termomodernizacją, za zakazem sprzedaży samochodów spalinowych, za nowymi klimatycznymi podatkami, za niszczeniem polskiego rolnictwa. Wszędzie to samo – europosłowie PiS przeciw, „uśmiechnięci” za. Z tych głosowań są protokoły – można sprawdzić. A przecież gdyby wszyscy polscy europosłowie konsekwentnie głosowali przeciwko, część przepisów można było zablokować lub przynajmniej złagodzić.

Najlepsze w tym wszystkim jest zaś to, że gdy okazało się, że Europejczycy mają dosyć ekologicznego szaleństwa, bo zorientowali się, ile naprawdę będzie ich to kosztować, a europejskie partie i rządy jeden po drugim zaczynają podważać Zielony Ład, polscy koalicijni uśmiechnięci politycy doznali zbiorowej amnezji, a nawet zaczęli się prześcigać w krytyce przepisów, które jeszcze kilka miesięcy wcześniej promowali i za którymi głosowali.

Koalicyjna minister funduszy grzmi o konieczności rewizji dopiero co popieranej dyrektywy ETS2, koalicijni europosłowie piszą odezwy przeciw zakazowi sprzedaży samochodów spalinowych, a najważniejsi politycy uśmiechniętej większości sejmowej gardlują, że Zielony Ład zabija rolnictwo. Bez zażenowana prezentują Himalaje hipokryzji i po raz kolejny udowadniają, że prawdomówność i wiarygodność to dla nich egzotyczne, nieznane pojęcia. W języku polskim jest takie powiedzenie: „Ubrał się diabeł w ornat i ogonem na mszę dzwoni”. Jak uła! pasuje do obecnych ministrów i premiera.

Daniel Obajtek

Skomercjalizowane okrucieństwo

W trakcie prezydenckiej kampanii wyborczej Donald Trump zapowiedział, że podpisze zarządzenie o obniżeniu funduszy federalnych dla szkół propagujących „krytyczną teorię rasy, szaleństwo transpłciowości i inne niewłaściwe treści rasowe, seksualne lub polityczne”. Prezydent USA planuje postawić tamę zarówno propagowaniu ideologii woke, jak i bazującemu na niej lukratywnemu przemysłowi, który mając klientów możliwością zmiany płci, w istocie zarabia na nieodwracalnym okaleczeniu, kastracji oraz szkodliwej dla organizmu suplementacji ogromnymi dawkami hormonów płciowych.

Tymczasem wiele wskazuje na to, że obecnie rządząca większość parlamentarna postanowiła stworzyć w Polsce dogodne warunki do rozwoju przemysłu aborcyjnego i transpłciowego. Kluczem do tego jest takie ukształtowanie przekonań najmłodszych obywateli, by byli zainteresowani tego typu „usługami”. Dlaczego najmłodszych? Bo z natury są wrażliwi, labilni emocjonalnie i najbardziej podatni na manipulację. Poza propagowaną w mainstreamie seksualizacją i modą na bycie niehetero ma temu służyć zbiór przepisów prawa ujęty w formie rozporządzenia obecnej minister edukacji narodowej. Dotyczy on obowiązkowego uczestnictwa uczniów od IV klasy szkoły podstawowej w lekcjach przedmiotu, na którym większość tematów będzie traktować o różnych orientacjach seksualnych, o zabijaniu nienarodzonych dzieci zwanym „usługami medycznymi” w postaci aborcji i w szczególności o tożsamości płciowej oraz możliwości jej zmiany. Dzieciństwo ma być brutalnie przerywane przez wepchnięcie uczniów w sferę niebezpieczną dla ich psychiki i zdrowia.

Wspomniane rozporządzenie jest aktem wykonawczym do ustawy o prawie oświatowym. W jej preambule wskazano, że oświata w Rzeczypospolitej Polskiej stanowi wspólne dobro całego społeczeństwa, kieruje się zasadami zawartymi w konstytucji RP, a także wskazaniem zawartymi w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, Międzynarodowym Pakcie Praw Obywatelskich i Politycznych oraz Konwencji o Prawach Dziecka. Nauczanie i wychowanie, respektując chrześcijański system wartości, przyjmuje za podstawę uniwersalne zasady etyki. Kształcenie i wychowanie służy rozwijaniu u młodzieży poczucia odpowiedzialności, miłości do ojczyzny oraz poszanowania dla polskiego dziedzictwa kulturowego przy jednoczesnym otwarciu się na wartości kultur Europy i świata. Szkoła winna zapewnić każdemu uczniowi warunki niezbędne do jego rozwoju, przygotować go do wypełniania obowiązków rodzinnych.

Podstawowa zasada hierarchii aktów prawnych jest następująca: każdy akt niższego rzędu musi być zgodny z aktem wyższego rzędu. Zgodnie z przepisem konstytucji RP rozporządzenie musi być zgodne z przepisami ustawy i celem jej wydania, a także z ustawą zasadniczą. Ta jednoznacznie wska-



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

zuje, że rodzice mają konstytucyjne prawo do wychowania swoich dzieci, zaszczepiania i umacniania w dzieciach określonego światopoglądu, przekonań, systemu wartości, zasad obyczajowych, etycznych zgodnie ze swoimi przekonaniami. Rodzice mają wolność od wszelkiej postronnej a wiążącej ingerencji innych osób, instytucji oraz organów władzy. „Państwo działając przez swoje organy, tak w sferze stanowienia, jak i stosowania prawa, nie dopuszcza do zagrożenia małżeństwa, rodziny, macierzyństwa i rodzicielstwa ze strony obcych podmiotów w sferze moralnej, społecznej, gospodarczej, obyczajowej czy religijnej” (Jan Boć, „Konstytucja Rzeczypospolitej

tej oraz komentarz do Konstytucji RP z 1997 roku”, Wrocław 1998, s. 48). Rzeczpospolita Polska zapewnia ochronę praw dziecka. Każdy ma prawo żądać od organów władzy publicznej ochrony dziecka przed przemocą, okrucieństwem, wyzyskiem i demoralizacją (art. 72 konstytucji RP). Zdaniem przedstawicieli doktryny do wystąpienia z takim żądaniem nie jest konieczne wykazanie jakiegokolwiek konkretnego interesu prawnego czy konkretnego związku z danym dzieckiem. 

REKLAMA



Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

Poranek z Radiem Warszawa
"Budzimy stolicę i okolice"

Ewa Pietrzak, Jarosław Wydra,
Weronika Ostrowska i Janusz Zalewski
poniedziałek - piątek,
godz. 7.00-10.00

27/1024/F



Walizka Daniela Pawłowskiego

malarza, dumnego męża i ojca



Moja malarska podróż rozpoczęła się, kiedy jako siedmioletni chłopiec trafiłem na zajęcia plastyczne do pracowni wrocławskiego nauczyciela i artysty Waldemara Bilińskiego. Przez kolejne kilkanaście lat kształtował on we mnie ducha artystycznego, ucząc malarstwa, rysunku, rzeźby i wielu innych technik artystycznych. W 2019 r. jako nieznany młody twórca zostałem zaproszony do udziału w wielkiej międzynarodowej wystawie organizowanej przez wrocławską Galerię Sztuki i Muzeum Architektury we Wrocławiu. Jeszcze tego samego roku kolejnym przystankiem na mojej drodze okazał się paryski Luwr i udział w organizowanych tam światowych targach sztuki. W międzyczasie tempa nabrała również moja kariera aukcyjna. Mój pierwszy obraz na aukcji (Sopocki Dom Aukcyjny) ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu osiągnął najwyższy wynik, a każda kolejna aukcja kończyła się nowym rekordem. W ten sposób w 2022 r. trafiłem na listę najlepiej sprzedających się artystów na świecie do lat 40. Potem była pierwsza indywidualna wystawa, która miała miejsce w inowrocławskim Muzeum im. Jana Kasprowicza. Głęboko wierzę, że to dopiero początek mojej fascynującej podróży artystycznej.

OBRAZ „JADWIGA ANDEGAWĘSKA”

Kształtowanie koncepcji obrazu pokryło się w czasie z ciążą mojej żony oraz przyjściem na świat naszego syna. Mimo że wielokrotnie wykorzystywałem wizerunek mojej małżonki przy tworzeniu obrazów, z tym związałem się szczególnie.

Chciałem, żeby niemowlę na obrazie nawiązywało do naszego najmłodszego syna, ponadto ująłem samego siebie jako króla Jagiellę.





„DIUNA”

Żadna książka nigdy nie zrobiła na mnie takiego wrażenia. Mimo że zacząłem od fantastycznego filmu w reżyserii Denisa Villeneuve’a, zaraz po jego obejrzeniu sięgnąłem po książkę i pochłonięłem wszystkie tomy z zapartym tchem.

PIERWSZA RZEŻBA, JAKĄ STWORZYŁEM

Nic nadzwyczajnego – to zaledwie kawałek drewna obciosany prostymi uderzeniami dłuta. Wykonany jednak przez 10-letniego chłopca na zajęciach plastycznych w pracowni niezwykle człowieka, jakim jest Waldemar Biliński, włocławski nauczyciel i artysta. Wtedy ten chłopiec jeszcze nie wiedział, iż rzeźba i malarstwo zwiążą się z nim nierozdzielnie.



SZKICOWNIK I CIENKOPISY

Nigdy nie sądziłem, że tak polubię rysowanie tuszem. Mimo że jest to technika niezwykle wymagająca i niewybaczająca błędów, stawianie kresek uspokaja mnie i odpręża.

PALETA I KILKA TUBEK FARB

Przez lata uzbierałem dosyć pokaźną kolekcję farb, ale najbardziej pokochałem brąz Van Dycka, sjenę paloną, żółtą ochrę, żółcień neapolitańską, czerwień kadmową i błękit pruski.



OBRAZ „BONA SFORZA D'ARAGONA”

Jest on metaforą lat młodości i dojrzewania Bony Sforzy d'Aragony, późniejszej żony króla Zygmunta Starego. Powstał na podstawie scenariusza do filmu, który nigdy nie został zrealizowany. Wizja jest pełna symboli. Obraz na zawsze pozostanie dla mnie jednym z najważniejszych dzieł wytyczających nowy kierunek mojej twórczości.

OBRAZ „EKSTAZA KOPERNIKA”

O namalowaniu Kopernika myślałem już od dawna, zainspirowany wielkimi dziełami Matejki i nieszlachetną twórczością Szukalskiego. Również zapragnąłem zerwać z utartym wizerunkiem i stworzyć coś bliższego sobie, oddając jednocześnie hołd wielkiemu Polakowi. Prezentacja mojego obrazu „Ekstaza Kopernika” namalowanego z okazji 650. rocznicy narodzin astronoma wraz z ekspozycją szkiców miała miejsce w Domu Kopernika w Toruniu.



KOSZULKI REALU MADRYT

Od dziecka jestem wielkim fanem Realu. Poznawałem ten klub, kiedy w jego składzie grały takie legendy, jak pierwszy Ronaldo, Raul, Roberto Carlos, Zidane, Figo czy Beckham. Dzisiaj fascynacją nim zarażam mojego najstarszego syna i najmłodszego, półtorarocznego Jeremiasza, który gdy tylko słyszy „Hala Madrid”, podnosi ręce i cały się napina.

BIBLIA AUDIO

Pochodzę z niezwykle wierzącej rodziny. Mimo że w natłoku obowiązków brakuje mi czasu na czytanie Pisma Świętego, to przypominam sobie dni, kiedy do malowania włączałem piękne słuchowisko „Biblia audio” autorstwa Krzysztofa Czaczo. Potrafiłem kilkakrotnie przesłuchać całość, pobudzając wyobraźnię, wsłuchując się w niezwykle historie Starego i Nowego Testamentu.



MEDALE MOJEGO SYNA

Rozpiera mnie duma, gdy myślę o osiągnięciach mojego zaledwie ośmioletniego syna, który trenuje pływanie i wraca z garścią medali niemal z każdych zawodów. Ciężko mi pojąć, jak silny trzeba mieć charakter, żeby w tak młodym wieku pływać od ściany do ściany, wpatrując się to w dno, to w sufit i przepłynąć na treningach ponad 100 długości basenu.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Walka za walką i walką pogania

Nie ma co się dziwić, że premier nazwał wprowadzone przez siebie porządki „demokracją walczącą”. Jest to prosta kontynuacja PRL, który nic nie robił, jeno walczył: o wyzwolenie klasy robotniczej od burżuazji, o wyzwolenie kobiet od ucisku i uścisku, o wykonanie planu pięcioletniego przed terminem, a także nieustannie zmagał się z marionetkami Wujka Sama i z imperialistyczną soldateską. Obecny rząd walczy ze społeczeństwem, które go szczerze nie lubi. Toczka w toczkę jak za komuny, z tym że ówczesne władze deklarowały, iż udzielają nam braterskiej pomocy. Nieustannie wzywały do walki o pokój na świecie, o podniesienie wydajności buraka pastewnego, rzepaku ozimego i tego rodzaju drobiazgi. Wiesiek Dymny w Piwnicy pod Baranami mówił prześmieszny monolog o tym, jak Malinowski podniósł wydajność z hektara i przeniósł na drugi hektar. Co rusz wybuchała we władzach walka klasowa między tymi, co skończyli cztery klasy, a tymi, którzy skończyli siedem klas. Collegium Humanum jeszcze wtedy nie istniało.

Teraz chyba najbardziej spektakularna jest walka o zrównanie płciowe. Ona już się toczy, ale nikt dokładnie nie wyjaśnił jaki ma być punkt docelowy. Do czego ma doprowadzić wyzwoleny z okowów tradycji seks. Że od dziecka każdy z każdym będzie figlował zawsze i wszędzie? A co z emerytami? Nie damy się dyskryminować! Nie tylko dzieciom w pierwszej klasie należą się ćwiczenia i robotki ręczne pod okiem tęczo-



**Jan
Pietrzak**

wych instruktorów! My nie chcemy tabletek „po”, my żądamy viagry za darmo „przed”!

Drożyżna szaleje, inflacja żre nędzne emerytury... Jak żyć, panie premierze? Przypominam dramatyczne pytanie gościa zwanego paprykarzem wiele lat temu, po klęsce żywiolowej. Jak żyć? Premier odparł – krótko! A może to był tylko żart? Ogólnie – sezon na żarty się kończy. Za chwilę rozpęta się zawzięta kampania wyborcza, czyli inwektywy, obelgi, mocne słowa fruwać będą po telewizorach jak stada skrzeczących wron i trudno się będzie opędzić. Uciekać nie radzę, bo za bardzo nie ma dokąd, a przed

Polską prawdziwa walka o przetrwanie.

Po zatrzymaniu wojny na Ukrainie czarne scenariusze przewidują wymarzony przez Niemców sojusz z Rosją i kolejny rozbiór Polski. Od blisko 300 lat te dwa krwiożercze stada nie dają nam spokojnie żyć. I to się raczej nie zmieni. Dowodem jest ostatni rok. Nikt się nie spodziewał, że tyle szkód można narobić przez 12 miesięcy. Niemcy potrafią! Zwłaszcza że z własnej woli wpadły w głęboki kryzys. Zniszczyły swoją energetykę przez uzależnienie od „zielonego ładu” i wiarę w ruski gaz. Rozwaliły na własne życzenie zwane „herzlich willkommen” spokojny społeczny w wielu miastach, powodując upadek gospodarczy. Co zrobili Niemcy z podobnym kryzysem w minionym wieku? Wybrali sobie Hitlera na wodza i napadli na Polskę! Tak więc, drodzy rodacy, obym się mylił, przed nami kolejna walka. *Si vis pacem, para bellum.*

Te dwie sprawy wiele łączy

Jak na porządnego pełnomocnika rządu do spraw odbudowy obszarów dotkniętych powodzią przystało, Marcin Kierwiński zajął się Antonim Macierewiczem. Tak, dokładnie. Zagranie dość prostackie, acz to dla pana ministra bardzo wygodne, że w momencie gdy zbiera się ciemna chmura nad jakimś politykiem partii rządzącej, ten bierze się za byłego ministra obrony narodowej, którego grzechem ciężkim jest to, że 10 kwietnia 2010 r., jak miliony Polaków, nie uwierzył Putinowi. Wtedy rząd PO-PSL nie mógł pozwolić na taką nieufność, a do dziś cały kraj jest zakładnikiem decyzji, które wtedy ze względu na reset podjęto, a raczej tych, których nie podjęto.

Tragedia smoleńska to chyba najbardziej wymowny przykład tego, czym może skończyć się zawłaszczanie państwa do walki politycznej, a potem zacieranie śladów. Wszystko, co się z nią wiąże, w warstwie odpowiedzialności dzieli się na dwa etapy: przed i po. Jedni zostali skazani za to, czego nie zrobili przed katastrofą, a co miało wpływ na jej przebieg, inni do dziś są bez-

karni, mimo iż podjęli bardzo konkretne złe decyzje po 10 kwietnia, a powodem był strach albo chęć przypodobania się Putinowi.

Powódź i jej skutki dla mieszkańców dotkniętych żywiołem to oczywiście inna sprawa, jednak i w tym przypadku ta sama władza pokazała, że popełnia błędy przed, a także nie wyciąga żadnych wniosków po. I mowa tu o tym samym obozie politycznym, który przy każdej większej tragedii chowa głowę w piasek i zachowuje się dokładnie tak, jak oczekujemy, że władza NIE BĘDZIE postępować. Bo władza, która ucieka od odpowiedzialności, nie jest troskliwym opiekunem obywateli, lecz zbrojem koniunkturalistów i tchórzy, których jedynym celem są pieniądze i przetrwanie na stołkach. A ludzie? Cóż, ci zostają sami, jak zawsze z liberałami w rządzie. Niezależnie od tego, czy dotyczy to powodzi, kryzysu gospodarczego, czy tragedii narodowej. Polacy zasługują jednak na więcej.



**Samuel
Pereira**

1000 dni wojny i... niezachwianej pomocy

Minęło 1000 dni od chwili, gdy Rosja rozpoczęła brutalną agresję na Ukrainę – 1000 dni wojny, cierpienia i heroicznej walki o wolność. 1000 dni temu świat zamarł, patrząc na pełzający cień Kremla. Ale to Polska pierwsza ruszyła z pomocą. Od pierwszego dnia to my, Polacy, byliśmy w forpoczcie wsparcia – najpierw humanitarnego i politycznego, a następnie militarnego. Dziś widzimy jednocześnie blaski i cienie tej drogi.

Gdy prezydent Wołodymyr Zełenski przemawiał przed parlamentami wielu krajów i przed Parlamentem Europejskim, świat podziwiał jego niezłomność. Były to momenty, w których zachodnie salony, dotychczas przyzwyczajone do wygodnej neutralności, musiały spojrzeć prawdzie w oczy. Ale zanim Scholz zdążył wymówić „Zeitenwende”, polski premier Mateusz Morawiecki na berlińskiej ziemi w ostrych słowach ganił niemiecką bierność. To Polska, nie czekając na skinienie wielkich mocarstw, rzuciła się do garse-

nia płonącego domu sąsiada, świadoma, że iskry mogą przenieść się na nasz dach.

Przez te 1000 dni znów staliśmy się symbolem solidarności. Przyjęliśmy miliony uchodźców, nasze magazyny uzbrojenia zaopatrywały ukraińskie fronty, a nasze dzieci w szkolnych ławkach dzieliły miejsce z dziećmi z Buczy i Mariupola. Europa przyglądała się temu z niedowierzaniem, czasem z podziwem, ale równie często zulgą – bo to Polska wzięła na siebie ciężar, który powinien spocząć na barkach wielu.

Jednak dzisiaj, po tych 1000 dniach, coraz więcej Polaków zaczyna czuć ukłucie rozczarowania. Trudne historyczne sprawy nadal nie są rozwiązane, a symbole, jak banderowskie flagi, na tle których przemawiają ukraińscy liderzy, nie tylko nie znikają – wręcz stają się ostrzem podziału. Władze w Kijowie zdają się czasem zapominać, że nasza pomoc była czymś więcej niż politycznym gestem – była wyborem serca i poświęcenia.

Ale nawet najbardziej niezachwiana pomoc potrzebuje wzajemności. Nie

oczekujemy aplauzu czy złotych tablic pamiątkowych, lecz kroku w kierunku, który złagodzi historyczne bóle i zbuduje wspólną przyszłość. Tymczasem gdy spojrzymy na nastroje społeczne, widzimy rosnące zmęczenie i pytanie: czy nasz trud nie był przypadkiem jednostronnym aktem odwagi?

1000 dni to wiele, ale wojna trwa. I choć dzisiaj w polskich rodzinach rodzi się cień wątpliwości, musimy pamiętać, że pomagając Ukrainie, pomagamy sobie. Bo gasząc ogień u sąsiada, chronimy nasze domy przed płomieniami. Pozostaje oczekiwanie, że również Ukraina dostrzeże, iż to Polska była jej najwierniejszym przyjacielem. Przyjacielem, który nigdy nie zasłużył na obojętność.

Arkadiusz Mularczyk



Dużo się w dyżurce działo

*Z aktorką **Edytą Jungowską** rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna*

Zdarza się pani usłyszeć jeszcze zwrot „siostrze Bożenka”?

Edyta Jungowska: Rzadziej, bo teraz głównie czytam i nagrywam dla dzieci, więc moimi odbiorcami są młodzi słuchacze i ich rodzice. Częściej słyszę: „O, Karlsson!”. Bożenka zeszła na drugi plan, ale starsi widzowie jeszcze kojarzą mnie z tą postacią i rozpoznają. W końcu grałam w „Na dobre i na złe” ponad dziesięć lat. Sporo, nawet z perspektywy obchodzonego w tym roku jubileuszu 25-lecia.

Także za sprawą Bożenki w pierwszej dekadzie serialu silnie wybrzmiewał „nurt pielęgniarski”. Miałyście dynamiczną i wyrazistą reprezentację.

To prawda. Z rozrzewnieniem i smutkiem, że jej już wśród nas nie ma, wspominam Darię Trafankowską. Opiekowała się nami zarówno jako serialowa siostra oddziałowa, jak i kole-



żanka aktorka. Była jeszcze Kaśka Bujakiewicz i Agnieszka Dygant. Dużo się działo w naszej dyżurce.

Bożenka wyjechała do Holandii. Myśli pani, że mogłaby wrócić? Odnalazła by się pani w nowym „Na dobre i na złe”?

Przy okazji remontu pozbyłam się telewizora, więc nie bardzo wiem, co się teraz dzieje w Leśnej Górze, ale wychodzę z założenia, że najważniejszy jest scenariusz, postać i pomysł na nią.

Czego moglibyśmy dziś życzyć Bożence i czego aktorce?

W każdym przypadku najważniejsze, żebyśmy byli zdrowi, bo to pozwala realizować plany i marzenia. Moje na przyszły rok są związane głównie z wydawnictwem, które założyłam 15 lat temu. Będą książkowe premiery. No i działamy – wśród dzieci i ich rodziców – propagując czytelnictwo, a także słuchanie.

TRENDY I OWĘDY

Praworządność po brukselsku

W ciągu ostatniego roku znaleźliśmy się w krainie katastrofalnej degrengolady praktycznie w każdej dziedzinie. Nawet kadra piłkarzy spadła do niższej kategorii rozgrywek europejskich. Najgorsze jednak, że nasz wymiar sprawiedliwości stał się ordynarnym narzędziem do walki z obywatelami mającymi inne zdanie niż rząd. A tu niespodzianka! „Unia Europejska z uznaniem przygląda się postępowom Polski w dziedzinie praworządności”. Jak miło! To ta nasza wymarzona Bruksela uważa, że przejmowanie mediów za pomocą „karków”, areszt pod byle jak sfabrykowanymi zarzutami, nieuznawanie z powodu widzimisę sędziów i trybunałów, włamywanie się do instytucji, bezprawne odbieranie dotacji partii opozycyjnej należą do tych godnych pochwały standardów? W sumie jak nie przeszkadzało, że Platforma wysłała do Brukseli europosła prosto z więzienia, gdzie przebywał oskarżony o łapownictwo?



Ryszard Makowski

Na naszych oczach upada mit Europy Zachodniej. W PRL, za żelazną kurtyną, marzyliśmy, by było u nas jak we Francji, Szwecji czy Wielkiej Brytanii. Z zazdrością patrzyliśmy na RFN, bo po przegranej wojnie objęci planem Marshalla Niemcy zbudowali dobrobyt. Wierzyliśmy, że są to kraje pięknej wolności. Nawet radio, którego słuchaliśmy w tamtych czasach, nazywało się Wolna Europa. I do takiej Europy naszych wyobrażeń przystaliśmy. A dziś robią z nas niewolników Zielonego Ładu, nasyłają imigrantów i stroją sobie żarty, że tępy zamordyzm jest praworządnością. I znowu to my musimy walczyć o prawdziwą Europę, bo w Brukseli już jej nie ma.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

PODZAS PRAWYBORÓW W PLATFORMIE OBYWATELSKIEJ POJAWIŁ SIĘ ŻYŁY OMEN. RADOŚŁAWA SIKORSKIEGO POPARŁA KLAUDIA JACHIRA, Z KOLEI RAFAŁA TRZASKOWSKIEGO POCAŁUNKIEM ŚMIERCI ODBAROWAŁA SAMA EWA KOPACZ...



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZCZ, MAREK BUDZISZ (LESZEK DELUGOSZ), KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYKTA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL

REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NAŁASKOWSKI,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,
JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT
TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN,
MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 99 33

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. ANDRZEJ WIKTOR X.2, GAGE SKIDMORE/WWPEDIA, OFFICE OF THE GOVERNOR – SOUTH
DAKOTA, GAGE SKIDMORE/WWPEDIA, ARCHIWUM FRATRIA, SHUTTERSTOCK/ATHY HITCHINS,
FREDERIC LEGRAND – COMEO, MIKROFEMINAKOWSKI, MARCO JACOBLOCCI/EPY, YINVARUKAM

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przelewu w stopce redakcyjnej



Franczyza Żabki szansą na wykorzystanie kompetencji zawodowych

Dla wielu osób powyżej 55 roku życia prowadzenie sklepu Żabka to sposób na podjęcie nowej aktywności zawodowej oraz wykorzystanie wcześniej zdobytych umiejętności. Jednocześnie osoby te cenią sobie stabilność, jaką daje biznes franczyzowy, i aktualnie stanowią 8 proc. przedsiębiorców prowadzących sklepy Żabka. Co przyciąga ich do tego modelu biznesowego i dlaczego ich kompetencje okazują się szczególnie cenne?

Sieć Żabka to miejsce, w którym osoby niezależnie od wieku mają szansę na rozwój i wykorzystanie swoich kompetencji. Bardzo wyraźnie widać to u przedsiębiorców, którzy prowadząc sklep, potrafią wykorzystać swoje życiowe i zawodowe doświadczenie. Te kompetencje pozwalają współpracującym z siecią nie tylko prowadzić dobrze prosperujący punkt, lecz także tworzyć zgrany zespół, co jest niezwykle istotne w branży handlowej. Franczyzobiorcy 55+, których w Żabce jest ponad 790, okazują się solidnymi i zaangażowanymi partnerami, a ich zdolność do dostrzegania zarówno wyzwań, jak i pozytywów działa motywująco na młodszych współpracowników.

– Żabka jest dla mnie czymś więcej niż tylko pracą – to część mojego życia. Z sie-



cią jestem związany już ponad 22 lata i uważam, jak wiele się zmieniło, szczególnie w kwestii technologii. Wcześniej pracowałem w firmie logistycznej, ale prowadzenie sklepu Żabka daje mi zupełnie nowe możliwości dalszego rozwoju, kontaktu z ludźmi i współpracy

z młodszym pokoleniem. Mając 70 lat, wciąż czerpię z tego dużą satysfakcję. To dla mnie ogromna motywacja każdego dnia – mówi Marek Łopata, franczyzobiorca sklepu Żabka w Poznaniu.

Wg danych GUS z drugiego kwartału br. w grupie wiekowej 50–74 lata było 43,8 proc. osób aktywnych zawodowo, ale w grupie osób niepobierających emerytury współczynnik aktywnych zawodowo wynosił 80,2 proc. Dla wielu osób w wieku 55+ prowadzenie sklepu Żabka to możliwość rozpoczęcia nowego rozdziału w życiu. Warto dodać, że franczyzobiorcy z doświadczeniem często doceniają aspekt bliskiego kontaktu z klientem, co stanowi istotne źródło ich satysfakcji i motywacji.

– Po 25 latach pracy w korporacji poczułam się wypalona i wiedziałam, że to odpowiedni czas na zmiany. Dzięki prowadzeniu sklepu Żabka mogę wykorzystać swoje doświadczenie w zarządzaniu. Teraz mam więcej satysfakcji z pracy, a kontakt z klientami daje mi wiele pozytywnej energii. W wolnych chwilach spędzam czas z rodziną, jeżdżę na rowerze lub wyjeżdżam w ciche miejsca. W końcu także mam czas na koncerty – powiedziała Józefa Dzieciół, franczyzobiorczyni sklepu Żabka w Warszawie.

Model franczyzowy Żabki jest atrakcyjny również ze względu na oferowane wsparcie – przedsiębiorcy dostają w pełni wyposażony i zatowarowany sklep oraz dostęp do licznych szkoleń i zaplecza logistyczno-marketingowego. Oprócz tego mogą liczyć na benefit, takie jak unikalna na rynku „Polisa na biznes”, która na zasadach określonych z załącznikiem ubezpieczeń chroni franczyzobiorców Żabki przed różnymi nieprzewidywanymi sytuacjami mogącymi pojawić się podczas prowadzenia własnego biznesu i zapewnia stabilność finansową w momencie zakończenia współpracy.

Z punktu widzenia osób w wieku 55+, współpraca z Żabką to nie tylko komfort korzystania ze sprawdzonego modelu biznesowego, lecz także możliwość utrzymania aktywności zawodowej i wykorzystania wcześniejszych kompetencji w nowym, lecz stabilnym biznesowo otoczeniu.

Więcej informacji o franczyzie z Żabką: <https://www.zabka.pl/franczyza>



Czas Nawrockiego

A więc już wiemy: to prezes Instytutu Pamięci Narodowej Karol Nawrocki będzie walczył o prezydenturę w imieniu obozu niepodległościowo-demokratycznego. Tak zdecydowały władze Prawa i Sprawiedliwości



JACEK KARNOWSKI

Co ważne: formalnie PiS nie podjęło decyzji o wyborze Karola Nawrockiego na kandydata partii na prezydenta i być może nigdy jej nie podejmie. Scenariusz uzgodniony przez władze Prawa i Sprawiedliwości jest inny – Karol Nawrocki będzie kandydatem obywatelskim, zgłoszonym oddolnie, który dopiero później uzyska formalne poparcie ze strony partii Jarosława Kaczyńskiego.

Gdy telewizja wPolsce24 podała informację o podjętych decyzjach, a inne stacje błędnie informowały, że „Nawrocki będzie kandydatem PiS”, rzecznik partii Rafał Bochenek wydał oficjalny komunikat: „W związku z wieloma pytaniami dotyczącymi naszego kandydata w nadchodzących wyborach prezydenckich, a także licznymi publikacjami medialnymi pragnę przekazać, iż nie zapadła w tej sprawie ŻADNA decyzja”. Ale zakulisowa wiedza nie pozostawia wątpliwości: w tym długim serialu nastąpiło wyraźne przełamanie, szala przechyliła się na stronę prezesa IPN. Będą jeszcze różnego rodzaju „kontry”, będą medialne wrzutki, ale jak mówi nam świetnie poinformowany polityk – „na koniec dnia to będzie Nawrocki”. Oczywiście o ile nie popełni jakiegos rażącego błędu. Ale tak się ra-

czej nie stanie, bo w tej chwili tę kandydaturę mogłaby uśmiercić jedynie jakaś nierozumna erupcja pychy lub głupoty. A tych przypadłości w tym człowieku na szczęście nie widać.

HISTORYK Z GDAŃSKA

Urodzony 3 marca 1983 r. w Gdańsku Karol Tadeusz Nawrocki może być pierwszym prezydentem z pokolenia Y, oznaczającego roczniki urodzone w latach 1980–1994. Jest znacznie młodszy od Rafała Trzaskowskiego (rocznik 1972) i dużo młodszy od Radosława Sikorskiego (rocznik 1963). Ukończył Instytut Historii Uniwersytetu Gdańskiego, tam zrobił także doktorat. Trenował i trenuje boks, badał przestępczość zorganizowaną w PRL. Kierował oddziałem Biura Edukacji Publicznej IPN w Gdańsku, później był dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej, skąd w 2021 r. trafił na fotel szefa IPN. Jego kontakt z aktywną polityką jest niewielki, w latach 2011–2017 przewodniczył Radzie Dzielnicy Siedlce. Ma żonę Martę, urzędniczkę w instytucji celnej, oraz trójkę dzieci.

MA W SOBIE MOC

Życiorys ciekawy, ale co sprawiło, że tak wiele osób właśnie w Nawrockim dostrzegło potencjał prezydencki? Ważne są oczywiście prezencja oraz odpowiedni wiek, ale to jeszcze niewiele. Nawrocki ma coś więcej: gdy staje na przysłowiowej beczce i zaczyna mówić, a mówi głośno, wyraźnie i jednocześnie spokojnie, ludzie przystają i słuchają.

Przyciąga, zwraca na siebie uwagę, w naturalny sposób przejmując przywództwo. To rzadki dar, a w obecnej sytuacji prawicy wręcz bezcenny. Przy braku wielkich pieniędzy i tak wielkiej przewadze obozu władzy kandydat, który nie ma w sobie naturalnej mocy, owego „magnesu”, nie powalczy, wcześniej czy później polegnie.

PO STRONIE NARODOWEJ GODNOŚCI I PRAWDY

Nawrocki to człowiek wielkiej energii, a także odwagi. W Muzeum II Wojny Światowej toczył heroiczne boje w sprawie kształtu wystawy, na której historycy kojarzeni z Platformą „zapomnieli” odpowiednio wyeksponować np. rtm. Piłeckiego, św. Maksymiliana Kolbego czy rodzinę Ulmów. Postawił się potężnym ludziom z własnego środowiska, stanął po stronie narodowej godności i prawdy. Spadła na niego ogromna presja, którą uniósł. Tamten bój wygrał, także w oczach zwykłych Polaków.

POLSKIE POMNIKI ZAMIAST SOWIECKICH

Równie skutecznie poradził sobie z usuwaniem sowieckich pomników, którymi do niedawna wciąż upstrzony był nasz kraj. Nawrocki zrobił to sprawnie i energicznie. Zbudował ekipę z własnym sprzętem, która jechała do miasteczka czy wioseczki, ogradała teren, burzyła kolumnę z gwiazdą czy żołdactem, zabierała gruz na ciężarówkę, po czym oferowała lokalnej społeczności pomoc w budowie polskiego pomnika

w tym samym miejscu. Nawrocki wygłaszał krótkie przemówienie, po czym wszyscy wracali do domów. I tak kilkadziesiąt razy. Dziś Polska jest krajem niemal całkowicie zdesorientowanym w tej sferze.

STWORZYĆ OPowieść

Prezes IPN jest postacią dobrze znaną w kręgach ludzi zainteresowanych polityką, ale przeciętni Polacy jeszcze go nie znają. I to jest jego szansa, ponieważ wokół Nawrockiego można zbudować naprawdę ciekawą opowieść. O człowieku, który sam doszedł bardzo daleko. O działaczu, który pokonał komunistyczne zombie. O mężu i ojcu trójki dzieci. O sportowcu, który grał w piłkę i który nie boi się zderzenia w ringu. W sumie może to być opowieść o kimś młodym, prawdziwym, bliskim ludziom. Trzeba pójść bardzo szeroko, tam, gdzie to możliwe, zrzucając garnitur, wybierając bardziej sportowe ubrania, pokazując i piękną żonę, i dzieci, i codzienne pasje. Takiego Nawrockiego musi być najwięcej, bo tu leży szansa na pokonanie narcystycznego Trzaskowskiego bądź zachwyconego sobą Sikorskiego. Oczywiście będą również ataki, już zresztą są.

SKUPIĆ SIĘ NA PROBLEMACH POLAKÓW

Prezesowi IPN próbuje się dorobić głębi człowieka, który miał relacje i kontakty z łobuzerką. On sam mówi jasno, że wie, z kim się zadawał, co robił i nie ma tu powodów do obaw. A kartotek tych, z którymi mierzył się w ringu, nie sprawdzał, bo nie ma takiego zwyczaju. Cóż, te szczypanki nie zabiją kandydata, a w pewien sposób mogą go otworzyć na środowiska niedostępne lub trudno dostępne dla innych polityków. Wszystko można przekuć w atut.

Nie znamy poglądów Karola Nawrockiego w dziedzinach niezwiązanych z historią albo znamy je w wersji szczątkowej, choć domyślamy się wielu odpowiedzi, bo przecież to człowiek spójny. Ten brak nie zaskakuje, jest sprawą

oczywistą: w rolach, które odgrywał, deklaracje w sprawach gospodarczych czy światopoglądowych brzmiałyby dziwnie, szkodziłyby instytucjom. Nikt ich zresztą nie oczekiwał. To z pewnością będzie jedno z głównych wyzwań kampanii kandydata obozu niepodległościowo-demokratycznego. Pretendent mało doświadczony politycznie będzie musiał nakreślić precyzyjne linie nar-

Nawrocki to człowiek wielkiej energii, a także odwagi. W Muzeum II Wojny Światowej toczył heroiczne boje w sprawie kształtu wystawy, na której historycy kojarzeni z Platformą „zapomnieli” odpowiednio wyeksponować np. rtm. Pileckiego, św. Maksymiliana Kolbego czy rodzinę Ulmów. Postawił się potężnym ludziom z własnego środowiska

racyjne w niemal każdej sprawie, także najtrudniejszej, i to tak, by nie zrazić własnej bazy politycznej, a jednocześnie stworzyć sobie możliwość pozyskania wyborców innych ugrupowań. Miejsca na błędy będzie bardzo niewiele.

Nawrocki musi także mocno związać się z dwoma, trzema bardzo współczesnymi tematami, by nieco przesłonić swoje historyczne powiązania, uciec od historii jako profesji zwracającej nas ku przeszłości, trącej myślką. Im będzie bliżej finału, tym mniej powinien kojarzyć się z historią, a więcej z przyszłością, z dzisiejszymi problemami Polaków. Problemami, które musi opowiedzieć i nazwać prosto, autentycznie, a nie za pomocą języka mediów. Musi zacząć „mówić Jaku-

biakiem”, bo Marek Jakubiak w sferze operowania konkretem jest naprawdę mistrzem.

PRZEWAGI W DECYDUJĄCYM STARCII

Kampania jak zawsze będzie twardym bojem. Tym razem wyjątkowo twardym, bezwzględny, bo zwycięstwo obozu władzy „domkanie systemu”, jak to ujął Grzegorz Schetyna, i Tusk podejmie próbę całkowitego zniszczenia PiS. Szanse na odbudowę niepodległości oraz polskiego rozwoju w perspektywie lat, a może i dekad, będą iluzoryczne. Brutalność osiągnię poziom rekordowy także dlatego, że w Polsce rządzi obóz, który rozsmakował się we krwi, wchodzi do niezależnych instytucji, otwierając drzwi kopniakiem, nie szanuje konstytucji, ustaw, obyczajów, nielegalnie odbiera należne pieniądze największej partii parlamentarnej, głównej sile opozycji. Mogą sięgnąć po każdą metodę, także przy liczeniu głosów oraz przy uznaniu legalności wyboru nowego prezydenta. W tej sprawie tajemniczą opowieść usunął niedawno marszałek Sejmu Szymon Hołownia.

Z kolei zwycięstwo kandydata wspieranego przez PiS przyspieszy upadek koalicji 13 grudnia, będzie początkiem jej końca, może szybszego i gwałtowniejszego, niż myślimy.

O wyniku tego zderzenia zdecydują zasoby, dobór sztabowców, jakość kampanii, ale kluczowym elementem będzie kwestia mentalnej siły kandydatów. Zwłaszcza w konfrontacji z Rafałem Trzaskowskim (gdy piszę te słowa, jego zwycięstwo nad Sikorskim nie jest pewne, ale jednak bardzo prawdopodobne) będzie to zasadnicza sprawa. Prezydent Warszawy jest bowiem osobowością dużo słabszą psychicznie niż szef MSZ, jest człowiekiem z pluszu, a może i z puchu. Prawdy – tej ludzkiej, nie do kupienia i nie do podrobienia – bardzo w nim mało. Raz już przegrał wybory prezydenckie, w obecnym boju będzie więc grał o swoje polityczne życie i jednocześnie bardzo będzie się

bał możliwej klęski. Ten strach, narastający nieustępliwie, niemożliwy do odepchnięcia, zacznie go w końcu paraliżować, zwłaszcza gdy konkurent zacznie lepić śnieżną kulę, kiedy pokaże swoją osobowość i wygra kilka mniejszych zderzeń. Ktoś naprawdę mocny mentalnie, ktoś o psychice sportowca, ktoś, kto wychodził na ring i bił się z innym człowiekiem, czasem do krwi i także mimo krwi, wreszcie ktoś wytrzymał fizycznie, może Trzaskowskiego złamać, pokonać go w boju, ujmijmy to tak – atawistycznym.

PYTANIA O POLSKĘ

Dlaczego Nawrocki jest tak blisko zwycięstwa w wyścigu o poparcie Prawa i Sprawiedliwości? Dlaczego Jarosław Kaczyński nie zdecydował się na prof. Przemysława Czarnka, Mariusza Błaszczaka, Tobiasza Bocheńskiego, Zbigniewa Boguckiego, Marcina Horałę lub Mateusza Morawieckiego? Jedno jest jasne: wybór naprawdę nie był prosty. W istocie był piekielnie trudny. Żadne z nazwisk nie było i nie jest bezdyskusyjne. Wszyscy najpoważniejsi kandydaci na kandydata PiS mieli liczne zalety, a także wady.

Gdy Jarosław Kaczyński w rozmowie z telewizją w Polsce24 powiedział o możliwości „rzutu kostką”, który rozstrzygnąłby sprawę, chyba nie do końca żartował. Jak mówił prezes PiS, „nie było iluminacji”, w okresie testowym żaden kandydat nie błysnął na tyle, by rozwiązać wątpliwości, i pozostało ważne racji. A tak naprawdę – wpatrywanie się w szklaną kulę i próba odpowiedzi na pytanie, jak będzie wyglądała sytuacja w maju przyszłego roku. W którą stronę potoczą się procesy polityczne w Polsce? Jeśli bowiem odgadniemy przyszłość, do zwycięstwa będzie tylko krok.

Postawmy więc te pytania. Pierwsze: czy w maju 2025 r. sytuacja w Polsce będzie „rewolucyjna”? Czy będzie to moment „thatcherowsko-reaganowsko-trumpowski”, a więc taki, który będzie sprzyjał pokonaniu konkurencji za pomocą wyrazistej retoryki, wychodzącej z rdzenia bazy politycznej? Moim zdaniem nie. Procesy gnilne związane z dramatycznie złą jakością rządów będą postępowały, wybrzmia jednak

później. Nie będzie to sytuacja, w której wystarczy mocno pchnąć i system się przewróci. Jeszcze nie, choć dynamika tego procesu wyraźnie przyspiesza.

Pytanie drugie: czy w obecnych warunkach istnieje możliwość „ponownego zramowania” kandydata kojarzonego z rządami PiS i tym samym obciążonego kosztami sprawowania władzy? Czy można nadać nowy wizerunek ludziom już szeroko znanym i tym samym naznaczonym? Także nie. Kampania będzie kilkumiesięczna, intensywna, nacechowana ostrym starciem, stałą presją na opozycję, a więc zabraknie długich okresów spokoju, które by umożliwiały taki manewr. Choć prawica dysponuje dziś relatywnie silnymi mediami, to jednak mają one charakter raczej zamkniętych baniek, a ośrodki decydujące o społecznym odbiorze osób i zjawisk pozostają pod kontrolą konkurencji. Utrata prestiżu władzy nie jest z kolei jeszcze tak daleko posunięta, by równoważyła te przewagi. Druga strona będzie dążyła do mobilizacji swojej bazy, kandydat PiS nie może ułatwiać tego zadania, nie może być znakiem, wokół którego obóz III RP odbuduje swoją falę z jesieni 2023 r.

Pytanie trzecie: czy można wygrać, nie sięgając po „wyborców środka”, co w naszym kontekście nie oznacza wyborców o centrowych poglądach, ale chwiejnych, kierujących się szeroko rozumianymi względami estetycznymi, czasem szukających kompromisu, spokoju, wrażliwych na zagadnienia związane z reprezentacją państwa na zewnątrz (tzw. elektorat piaskowy)? I znów: nie. Sumowanie wyborców PiS i Konfederacji w nadziei na prostą prawicową większość okaże się drogą donikąd, ponieważ jedynie część wyborców Konfederacji to ludzie na prawo od Prawa i Sprawiedliwości. Znaczna część ma poglądy albo „wolnorynkowe”, albo po prostu chwiejne i podejmując wybór, nie będzie się kierowała poczuciem lojalności wobec sprawy polskiej.

Wygląd kandydata i jego prezencja, zdolność do oderwania się od matecznika będą miały kluczowe znaczenie w grze o 50 proc. i 1 głos. Polacy wybierają bowiem głowę państwa, zarazem osobę, którą będzie ich reprezentowała na zewnątrz, a także kogoś, kto będzie

gościł w ich domach przez najbliższe pięć lat. Cechy osobowościowe kandydata mają pierwszorzędne znaczenie. To jest wybór w pewien sposób intymny.

I wreszcie najważniejsze pytanie: jak można zwyciężyć przy założeniu, że kandydatem obozu rządzącego będzie Rafał Trzaskowski? Uważam, że szansą jest pozyskanie „milczącej większości” – połączenie energicznej, profesjonalnej kampanii z wizerunkowo co najmniej poprawnym kandydatem z elementami wyzwania rzuconego establishmentowi w imieniu zwykłego człowieka i jego wartości w opozycji do elit i establishmentu, ale raczej za pomocą języka interesów, problemów niż ideologii. Muszą wybrzmieć pola relatywnej przewagi PiS, a więc motor rozwojowo-inwestycyjny oraz bezpieczeństwa, także socjalnego. Należy minimalizować pola ideologiczne.

POCIĄGNĄĆ DO ZMIANY

W mojej ocenie wybór był w istocie zawężony do pary Karol Nawrocki i Tobiasz Bocheński. Prof. Przemysław Czarnek mimo wielkich zalet, wiedzy, erudycji i osobowości, był kandydatem zbyt pisowskim, zbyt mobilizującym drugą stronę. Z kolei kandydatura Tobiasza Bocheńskiego, niepozbawiona atutów (brak jakichkolwiek haków, elitarność wizerunkowa, obycie, optymizm), oznaczałaby grę „wizerunek na wizerunek”, w której byłoby trudno o zwycięstwo, ponieważ nie dałoby się jednocześnie zapewnić głębokiej mobilizacji własnego zaplecza, za to w pełni wybrzmiałyby interpretacyjne przewagi drugiej strony. Karol Nawrocki jest w tej sytuacji optymalnym wyborem.

Obóz biało-czerwony może wygrać te wybory. Z badań CBOS wynika, że procent Polaków, którzy oceniają sytuację w kraju jako dobrą, wyraźnie spada. Odsetek ocen negatywnych pozostaje stabilny. Szybko rośnie za to grupa, która wybiera odpowiedź neutralną, unika deklaracji. Jeśli kandydat wskazany przez PiS będzie potrafił dotrzeć do tych wycofanych ludzi, jeśli pociągnie ich w stronę aktywności, zmiany, zdobędzie pałac prezydencki i jednocześnie uratuje Polskę.

Jak okraść partię (i dem

To kolejny precedens, szalenie groźny dla przyszłości Polski i jej ustroju. Decyzje Państwowej Komisji Wyborczej oraz ministra finansów odbierające PiS subwencję mają jeden cel: zlikwidować realną opozycję wobec obozu Donalda Tuska. Trwa próba stworzenia systemu de facto putinowskiego – z jedną legalną partią i jej satelitami



MAREK PYZA

Rządzą niemal rok. Zasadnicza misja nie została zrealizowana – Prawo i Sprawiedliwość nie zostało anihilowane. Wręcz przeciwnie, partia Jarosława Kaczyńskiego utrzymuje poparcie na poziomie Koalicji Obywatelskiej, a niejedna sondaż i polityczny scenariusz każą stawiać hipotezę, że Zjednoczona Prawica ma szansę odebrać władzę Donaldowi Tuskowi.



Nie poskutkowały polityczne śledztwa nielegalnie przejętej prokuratury, kabaretowe komisje śledcze ani mętna woda na ekranie zdobytych pałaców i uchwał. Dokręcając więc śrubę i próbując pozbyć się konkurencji w sposób iście rosyjski: bandyckim odebraniem pieniędzy. Idzie o dziesiątki milionów złotych, bez których PiS nie byłoby w stanie rywalizować z Koalicją Obywatelską.

To wygląda na precyzyjnie napisany plan z rozpisany rolami i kalendarzem działań – z kulminacją w przeddzień kampanii prezydenckiej.

TERMINY? NIE DLA NAS

Zacznijmy od tego ostatniego, bo tu najlepiej widać intencje grupy trzymającej PKW.

Warto przypomnieć, że zanim do sprawy wkroczyła Państwowa Komisja Wyborcza, badały ją inne organy. Najpierw biegły rewident wybrany przez PKW nie miał zastrzeżeń, a jego opinię PiS złożyło razem ze sprawozdaniem finansowym. Dokumenty analizowało również Krajowe Biuro Wyborcze – też pozytywnie. Cała nadzieja frontu anty-PiS spoczęła więc na nominatach nowej władzy w PKW.

okrację)

Termin decyzji w sprawie sprawozdań komitetów wyborczych mijał 15 lipca, co wynika z zapisów Kodeksu wyborczego. Dotychczas PKW przez lata uczciwie się go trzymała. Ale jako że w ustawie nie ma sankcji za naruszenie tego przepisu, postanowiła obejść prawo, aby ubić PiS. 11 lipca ogłosiła odroczenie decyzji do 31 lipca.

Atmosfera grozy narastała, w mediach hulały oskarżenia o bezceństwo wyborcze PiS, a komisarze cierpliwie szykowali się do ostatecznego uderzenia.

31 lipca PKW przyjęła sprawozdania ośmiu komitetów wyborczych. PiS odłożono na później, choć i tak było już po terminie. Komisarze dali sobie kolejne cztery tygodnie na grillowanie największej partii opozycyjnej.

W tym czasie doniesienia do PKW ślali m.in. senator PO Władimir Tyszkiewicz, wiceszef MAP Robert Kropiwnicki, minister funduszy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, europoseł Michał Szczerba (dwa razy: 12 i 14 sierpnia), wiceminister obrony Cezary Tomczyk (też dwukrotnie: 12 i 22 sierpnia), minister rolnictwa Czesław Siekierski, minister rozwoju i technologii Krzysztof Paszyk, minister sprawiedliwości Adam Bodnar (trzy razy: 8, 16 i 22 sierpnia), szef Rządowego Centrum Legislacji Maciej Berek, kilkoro innych posłów, a nawet Towarzystwo Dziennikarskie.

Cały aparat władzy, kilka resortów, najbardziej wojowniczy parlamentarzystów oraz lewacy dziennikarze o zwykłe agorowej proweniencji – wszyscy wykonali zadanie: poszukać jakiegokolwiek amunicji na PiS i dostarczyć ją PKW. Stamtąd miał pójść ostrzał.

I poszedł. 29 sierpnia PKW ogłosiła sprawozdanie wyborcze komitetu PiS zostało odrzucone. Zdecydowały głosy pięciu członków PKW przy czterech będących odmiennego zdania.

Formacja Jarosława Kaczyńskiego zgodnie z uprawnieniami odwołała się do

Sądu Najwyższego. Ale zanim ten ogłosił termin rozprawy, minister finansów Andrzej Domański zablokował wypłatę trzeciej transzy należących się partii pieniędzy z subwencji, a 18 listopada rozgrzana piątka z PKW poszła jeszcze dalej. Na podstawie własnej sierpniowej uchwały siłą rozpędu odrzuciła również sprawozdanie finansowe z działalności PiS w ub.r., co ma być pretekstem do niewypłacania ugrupowaniu żadnych pieniędzy. Skarbnik PiS Henryk Kowalczyk słusznie zwraca uwagę, że tym samym jego formacja została dwukrotnie ukarana za to samo (co jest sprzeczne z fundamentami polskiego prawa), w dodatku bez wyczerpania ścieżki odwoławczej (to też naruszenie przepisów).

Przed nami sądowe etapy tej sprawy, do czego za chwilę wrócimy.

Cały aparat władzy, kilka resortów, najbardziej wojowniczy parlamentarzystów oraz lewacy dziennikarze o zwykłe agorowej proweniencji – wszyscy wykonali zadanie: poszukać jakiegokolwiek amunicji na PiS i dostarczyć ją PKW

GRZESZY TYLKO PiS

Najpierw spójrzmy jednak, co nie spodobało się komisyjnej większości. Wyliczono, że w czasie kampanii PiS w nieuprawniony sposób skorzystało z 3,6 mln zł. Tyle że większość z tej kwoty (2,6 mln zł) miał kosztować film z udziałem Zbigniewa Ziobry zapowiadającym podwyższenie kar za najcięższe przestępstwa. Uznano, że pokrycie kosztów tej produkcji przez resort sprawiedliwości było nielegalnym wsparciem komitetu wyborczego.

A to przecież praktyka powszechna w każdej kampanii, gdy o reelekcję

walczą kończący kadencję ministrowie. Aby uniknąć takich sytuacji, każdy z nich musiałby zaprzestawać wykonywania obowiązków na czas przedwyborczej rywalizacji. Czy tak się dzieje? Nie, to niewykonalne. I byłoby absurdalne. A jednak tym razem – i tylko tym razem! – postanowiono wyciągnąć za to konsekwencje.

Pomiędzy przyjęciem sprawozdań pozostałych komitetów a posiedzeniem PKW w sprawie sprawozdania PiS trwała operacja medialna, swoiste przygotowanie do pokazowego procesu. Dziennikarze emocjonowali się kolejnymi wydumanymi grzechami kampanijnymi Zjednoczonej Prawicy, a centralne urzędy na bieżąco informowały, jak to gromadzony jest materiał dowodowy na PiS.

PKW sama z siebie wystąpiła do NIK, Prokuratury Krajowej oraz premiera, czy mają coś na PiS. Tak się złożyło, że mieli. Tu znów diabeł tkwi w szczegółach. Bo np. z korespondencji z PK okazało się, że na 62 prowadzone sprawy w 32 przypadkach odmówiono wszczęcia postępowania przygotowawczego, w 13 je umorzono, skierowano do sądu 1 wniosek o warunkowe umorzenie postępowania, w toku pozostaje 15 spraw, a tylko w 1 (słownie: jednej!) sprawie skierowano do sądu akt oskarżenia. Z dużej chmury mały deszcz? Mżaweczka, ale dla komisarzy to nie przeszkoda, a jedynie okoliczność.

Żadna inna partia nie przykuwała takiej uwagi komisji jak ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego. PKW nie interesowała się np. organizacją imprezy Campus Polska Przyszłości odbywającej się w środku kampanii wyborczej. A to tam promowali się (i agitowali!) politycy dzisiejszego obozu rządzącego. Robili to za pieniądze m.in. niemieckich fundacji (to nielegalne) czy licznych samorządów hojnie wspierających imprezę Rafał Trzaskowski (to też złamanie prawa).

Zyjemy zatem w państwie, w którym organ pilnujący uczciwości wyborów wręcz otwarcie mówi: partia, która za nami stoi, może wszystko, zaś jej konkurenci nie mogą nic.

KOMISARZE TUSKA

Trzeba mieć w sercu isticie rewolucyjny zamordyzm, by w to wejść. Trzeba też nie mieć elementarnego szacunku do prawa. I trzeba za nic mieć standardy demokracji, nad którą w minionych latach lało się tyle łez.

Działania wybrańców koalicji 13 grudnia mniej mieszczą się w kanonach naszej PKW, a bardziej pasują do postawy komisarzy na Wschodzie przed paroma dekadami, skoro tak dzielnie wykonują polityczną wolę wodza.

Komisarze Tuska z PKW to skrupulatnie dobrane grono. Najpopularniejszym (sam o to bardzo dba) jest oczywiście Ryszard Kalisz, człowiek doświadczony w politycznych bijatykach, były szef MSWiA i kancelarii prezydenta Kwaśniewskiego. On chłonął wschodnie standardy co najmniej od 1978 r., gdy wstąpił do PZPR i wiernie trwał w niej do wyprowadzenia sztandaru.

I jak tu się dziwić, że przed 11 laty, po Sienkiewiczowskiej prowokacji z podpaleniem budki strażniczej przez rosyjską ambasadę, Kalisz mówił, że „nacjonalizm polski buduje nacjonalizm rosyjski”? Swoją drogą ciekawe, jakie są losy zawiadomienia, które w sprawie Kalisza złożył w ub.r. w prokuraturze zarządca przymusowy dwóch rosyjskich spółek wpisanych na listę sankcji. Mecenasa miały reprezentować w postępowaniach sankcyjnych.

Ryszard Balicki to zafascynowany obywatelskością mieszkańców Jagodna konstytucjonalista z Uniwersytetu Wrocławskiego. Nie ukrywa swoich poglądów, z którymi spokojnie znalazłby miejsce w klubie KO. W październiku pisał na platformie X: „Bo finansowania kampanii wyborczej zawsze trzeba pilnować”. Był to komentarz do ostrzeżenia Sądu Najwyższego w USA wobec Elona Muska. Sędziom nie podobało się, że miliarder rozdaje miliony zarejestrowanym wyborcom w kluczowych „wahających się” stanach za podpisanie jego petycji. Ostatecznie Balicki przestrzelił z troską o przestrzeganie amerykańskiego prawa, bo sądy uznały, że Musk nie narusza przepisów.

Tego samego dnia członek PKW udostępnił wpis Adama Bodnara cieszącego się, że Polska... awansuje w rankingu praworządności.

15 października napisał: „Rocznica wyborów do Sejmu i Senatu RP. Od tego dnia wiele się wydarzyło, jeszcze więcej wydarzyć się miało, lecz nie zawsze mogło. Niezależnie od wszystkiego, należy sobie uświadomić, że nadzieję zawdzięczamy tym wszystkim, którzy głosowali. Im należą się podziękowania!”. Czy nadinterpretacją będzie stwierdzenie, że profesor uty-

Skarbnik PiS Henryk Kowalczyk zwraca uwagę, że jego formacja została dwukrotnie ukarana za to samo (co jest sprzeczne z fundamentami polskiego prawa), w dodatku bez wyczerpania ścieżki odwoławczej (to też naruszenie przepisów)

skuje, iż nadrzędne cele nowej władzy nie zostały zrealizowane? I czy marzy mu się ostateczne rozwiązanie kwestii opozycji?

Przed rokiem, 19 października, popisał się zaś taką egzaltacją: „Lata temu miałem swój bardzo maleńki wkład w wybory 4.06.89. Pierwsze, w których mogłem uczestniczyć. A los sprawił, że mogłem też być przy wyborach 15.10.2023. Będzie co opowiadać wnukom”.

Swoimi wpisami notorycznie uderza w TK, nazywając go np. „Trybunałem dawniej Konstytucyjnym” czy „Trybunałem JP”, chciał rozliczać poprzednie władze za próbę zorganizowania wyborów korespondencyjnych, kibicował wsadzeniu do więzienia posłów Wąsika i Kamińskiego itd. Krótko mó-

wiąc, zawsze kuje po linii wyznaczonej przez partię matkę, która najpierw w 2019 r., a potem w 2024 r. skierowała go do PKW.

Do zabrania pieniędzy PiS rękę przyłożył też Maciej Kliś, który w PKW zasiada od marca. Miesiąc później trafił też do zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego, gdzie co miesiąc pobiera pensję w wysokości ok. 100 tys. zł. Jak bardzo bezstronny jest taki członek PKW? Czy będzie ryzykował decyzję sprzeczną z oczekiwaniami stojącego za nim środowiska politycznego i narażał się na utratę sownie opłacanej fuchy, czy podpisze się pod bezprawnymi uchwałami, byle tylko spełnić oczekiwania?

Przewodniczący PKW jednoznacznie komentował ich decyzje: to przekroczenie uprawnień. Podkreślał, że Komisja przez lata badała setki sprawozdań wyborczych, jednak zdarzyło się po raz pierwszy, aby jej członkowie chcieli podjąć decyzję diametralnie różną od analizy Krajowego Biura Wyborczego!

Sylwester Marciniak wskazywał też, że PKW nie ma prawa badać cokolwiek poza analizowaniem sporządzenia sprawozdania finansowego. Podkreślał, że komisarze za prawdę wzięli to, co nadeszło im. np. Rządowe Centrum Legislacji, nie weryfikując tych doniesień, a dysponując wszak odmiennym stanem faktycznym przedstawionym przez pełnomocnika PiS.

PKW przyznała więc sobie niejako uprawnienia sądu, który nie ma zamiaru ustalać, co naprawdę zaszło. Znów: jak na Wschodzie.

Nic dziwnego, że PiS złożyło zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa wobec wyżej wymienionych trzech członków PKW (oraz pozostałych głosujących za odebraniem subwencji – Konrada Skłodowskiego i Pawła Gierasa). Partia nie wyklucza też pozwania ministra finansów. Oczywiście można domniemywać, że upolityczniona prokuratura skreśli sprawę. Ale co by się nie wydarzyło, to i tak perspektywa co najmniej wielu tygodni, a PiS jest pieniędzy pozbawione dziś, w przededniu kolejnej kampanii wyborczej.

DEMOKRACJA WALCZĄCO-UZNANIOWA

Tu dochodzimy do największego kuriozum (bez)prawnego, jakie organizuje nam PKW.

Gdy 18 listopada rządowo-sejmowa większość w PKW chciała zabrać PiS wszystkie pieniądze na podstawie własnej uchwały z sierpnia, przewodniczący Komisji Sylwester Marciniak złożył wniosek o wstrzymanie decyzji, dopóki Sąd Najwyższy nie rozpatrzy skargi wniesionej przez partię. Teraz jednak inaczej niż w lipcu piątce Tuskwych komisarzy już się spieszyło. Odrzucili wniosek Marciniaka i ogłosili werdykt: coroczne sprawozdanie PiS też trafiło do kosza.

A przecież sami w uchwale z 31 lipca napisali w ostatnim zdaniu: „Od niniejszego postanowienia pełnomocnikowi finansowemu Komitetu Wyborczego Prawo i Sprawiedliwość przysługuje prawo wniesienia skargi do Sądu Najwyższego w terminie 14 dni od dnia doręczenia tego postanowienia”.

I PiS wniosło taką skargę. Dlaczego więc PKW nie czekała? Bo jakiej decyzji by nie podjął SN, Komisja i tak jej nie uzna. Tych pięciu dzientelmenów wbrew całemu polskiemu porządkowi prawnemu uważa, że Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN nie jest sądem. Co więcej, PKW przyjęła stanowisko, że będzie respektować postanowienia tylko takiego sądu, w którym znajdują się sędziowie akceptowani przez Komisję (chodzi o tryb ich powołania).

Złotousty Kalisz, który nagle przyznał sobie uprawnienia do weryfikacji sędziów, rzucił: „Ta Izba nie jest w stanie wydać wyroku, który byłby uznany przez PKW”. Nie jest? Dlaczego zatem tego samego dnia ten sam Kalisz uznał wyrok tejże Izby?! 18 listopada Komisja podjęła bowiem decyzję o wykonaniu postanowienia IKNiSP Sądu Najwyższego, akceptując jego orzeczenie w sprawie sprawozdania finansowego Konfederacji z 2019 r. Dodajmy, że sześciu z siedmiu sędziów podpisanych pod werdyktem w sprawie ugrupowania Sławomira Mentzena będzie w tym tygodniu rozstrzygać skargę PiS. Czy jeśli uznają za zasadną, PKW to zignoruje?

Bardzo prawdopodobne, że i ten skandal się wydarzy. Co wtedy zrobi minister finansów? Czy wciąż będzie hardo obstawał przy bezprawiu?

Prof. Ryszard Piotrowski, konstytucjonalista z Uniwersytetu Warszawskiego, załamuje ręce nad upolitycznieniem tej sprawy i gwałceniem ustawy zasadniczej. W serwisie prawo.pl przypomniał: „Jeśli kolejny raz stawiamy politykę ponad prawem, oznacza to, że działania Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, w odniesieniu do zbliżających się wyborów prezydenckich będą tyle samo warto, co w odniesieniu do odwołania od rozstrzygnięcia PKW. Co więcej, w składzie PKW jest przecież sędzia obecnego TK, rząd nie uznaje tego Trybunału. Jakże więc minister finansów mógłby kierować się uchwałą organu, która jest dotknięta nieważnością, skoro mamy tam członka Trybunału, któremu odmawia się uznania? Albo trzymamy się rzeczywistości,

Żyjemy w państwie, w którym organ pilnujący uczciwości wyborów wręcz otwarcie mówi: partia, która za nami stoi, może wszystko, zaś jej konkurencji nie mogą nic

rozsądku, konstytucji, albo każdy robi to, co chce”.

Zdaniem eksperta nie ma podstawy prawnej, by minister finansów mógł rozstrzygnąć sprawę już na tym etapie. Trzeba bowiem wyczerpać ścieżkę odwoławczą – to elementarz polskiego systemu prawnego.

A jaką dziś mamy sytuację? Można ją porównać do człowieka skazanego nieprawomocnie, ale składającego apelację do wyższej instancji z dużymi szansami na uniewinnienie. Zanim jednak sąd nadrzędny się zbierze, nagle zjawia się u niego policja, skuwa w kajdanki i zabiera za kraty.

Horrorodem z państw autorytarnych.

KIEDY TO RUNIE?

Od prawie roku trwa proces demolowania państwa prawa nazywany przywracaniem praworządności. Nielegalnie przejęta Prokuratura Krajowa ściga polityków opozycji, łamiąc przy tym tak podstawowe przepisy, jak te o immunitetach. Marszałek Sejmu poszerza izbę niższą do 461 posłów, bo nie podobają mu się orzeczenia Sądu Najwyższego. Powołane naprędce komisje śledcze organizują polityczne spektakle w wydumanych aferach, a przede wszystkim ignorują ustrojowy bezpiecznik, którym jest Trybunał Konstytucyjny i jego werdykty stwierdzające nielegalność komisji. Upolityczniona Państwowa Komisja Wyborcza w bezprecedensowy sposób stosuje represje na głównej partii opozycyjnej, okradając ją ze wszystkich środków, przy okazji łamiąc ustawowe terminy. Minister finansów wstrzymuje przelew przed zakończeniem procedury odwoławczej. Grupa trzymająca większość w PKW chce sobie wybierać, który sędzia rozpatrzy skargę na jej nielegalną decyzję. Wszystko to – i wiele więcej – usprawiedliwiają zaś przejęte w stylu Putina telewizja, radio i PAP.

Czyżby nie zorientowali się, że kopią pod sobą doły? Marszałek Sejmu postępujący orzeczenia Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN podważa legalność pełnienia funkcji przez niego samego. A wrzeszczący o nielegalności Krajowej Rady Sądownictwa wciąż w niej zasiadają i pobierają zeń wynagrodzenie.

Jeśli trochę spojrzeć na ten proces, widać konstrukcję budowaną na fałszu i prawnym gwałcie, która w pewnym momencie po prostu musi runąć. Zamiast się wreszcie zatrzymać, brną, uznając, że nie mają innego wyjścia, bo i tak już narobili sobie kłopotów. Przyznając się do choćby jednego nadużycia uruchomiłoby lawinę, odwołując się w czasie tę katastrofę.

Zupełnie jak w mechanizmie piramidy finansowej. Ta jednak zawsze kończy się tak samo – zawaleniem się, najczęściej połączonym z surowymi wyrokami sądowymi.



Lekcje zza oceanu

Czy Polska ma takiego polityka jak Donald Trump? Nie. Czy w Polsce może zdarzyć się kampania wyborcza taka jak Trumpa? Nie. Czy da się natomiast wykorzystać jej niektóre zdobycze w nadchodzącym boju o pałac prezydencki? Tak

Nie ma wątpliwości, że to, jak Trump wygrał reelekcję, przejdzie do podręczników historii, ale także marketingu politycznego. Zgadza się z tym nawet bardzo nieprzychylnie mu media, jest więc co analizować. Oczywiście w Polsce nie da się powtórzyć amerykańskiej kampanii choćby ze względu na efekt skali.

PIENIĄDZE TO NIE WSZYSTKO

Nasi kandydaci nie będą mieli do dyspozycji tak ogromnych kwot. W ciągu 100 dni swej batalii o Białą Dom Kamala Harris przepaliła ok. 1,5 mld dol. i jeszcze na koniec zostawiła za sobą długi – co najmniej 20 mln dol. za niespłacone



DARIUSZ MATUSZAK

rachunki. Rozmach i spektakularność, na jakie pozwalały te bająskie sumy, były tym większe, że nie musiały zostać wykorzystane w całym wielkim jak kontynent kraju, ale można się było skoncentrować na obszarze ludnościowo porównywalnym z Polską – w tzw. stanach swingujących. Z tej finansowej historii dla kandydata Prawa i Sprawiedliwości,

które po decyzji PKW zobaczy pieniądze z subwencji jak te z KPO, płynie nauka, że to nie dzięki nim wygrywa się prezydenturę. Jak mawiał Woody Allen, oczywiście lepiej je mieć, choćby ze względów finansowych, ale przecież zdarza się, że czasami one przeszkadzają, bo dają kandydatowi zbyt duży komfort, pozwalają się rozleniwiać, popaść w pychę i bezmyślność. Harris wydawało się, że jak za 1 mln dol. jej buźka i hasła będą wyświetlane na kopule areny widowiskowej Sphere w Las Vegas, to pozyska wyborców Newady.

Donald Trump nadrabiał brak takich pieniędzy większą pomysłowością i pracowitością. To jedna z jego cech zasługujących na wielkie uznanie.

Fot. Frantia

Na kampanijnym szlaku spędził ponad rok – najpierw w prawyborach musiał pokonać rywali z Partii Republikańskiej, a pod koniec wyścigu odbywał po kilka wieców dziennie. Gdy Harris przeglądała już menu na intronizacyjne party i ćwiczyła mowę tronową, on do ostatniej godziny spotykał się z wyborcami. To przyniosło owoce. Wśród ludzi, którzy dopiero w ostatnim tygodniu decydowali o tym, na kogo zagłosują, wygrał przewagą aż 12 pkt. – 56 proc. do 44 proc. Determinacja i konsekwencja dały też znać o sobie, gdy zwiększył intensywność kampanii po tym, jak posypały się mające demobilizować jego elektorat sondaże wieszczące zwycięstwo Harris i kiedy na wyprzódki zaczęli ją popierać celebryci.

WIDOWISKA W ALEI SŁAW

Wielu komentatorów i analityków wypowiada się o zaangażowaniu sław protekcyjnie, a nawet z pogardą, bo niby intelektualnie wyrafinowani, nie kierują się wskazaniem jakiegoś aktora czy piosenkarki. Tymczasem to jeden z interesujących, a gruncie rzeczy niezbadanych wątków wielu kampanii. Tak naprawdę nie wiemy, jak poparcie sław przekłada się na wybory ludu głosującego. Harris ono nie wystarczyło, ale być może gdyby nie stada z estrady i Hollywood, zwycięstwo Trumpa byłoby jeszcze większe. Pozyskanie Taylor Swift było racjonalnym działaniem – wszak to wielka córka Pensylwanii, najważniejszego spośród swingujących stanów. Tabuny dziewcząt stylizują się na nią, ubierają jak ona, więc czemu nie miałyby iść za radą idolki.

Oczywiście w Ameryce jak na całym świecie to lewica ma większą zdolność pozyskiwania gwiazd i gwiazdeczek, ale to nie znaczy, że Trump nie szukał swoich. Znalazł ich więcej niż jakiegokolwiek republikanin.

Oczywiście wiadomo, jaki jest kłopot z celebrytami – są kapryśni, pretensjonalni, niestali i potrafią się zachowywać tak infantylnie, że człowiekowi wstyd, iż ma poparcie kogoś takiego. Wystarczy popatrzeć, jak politycznie angażuje się czołówka polskich aktorów, albo i nawet tyłówka, jak Barciś, by zrazić się do końca życia. Błąd. Nie można im tylko

pozwolić na samodzielność – trzeba dać dobrego reżysera i scenarzystę oraz przypilnować, by nie odstawili jakiegś egzaltowanej aktorskiej etudy. Oczywiście są przypadki nieuleczalne jak Stuhr i jeśli ktoś dobrze życzy prawicy, powinien mu kibicować.

Sprawa celebrytów ma jeszcze jeden aspekt wyborczy. Moglibyśmy się nauczyć od Amerykanów, że kampania to nie tylko zjawisko polityczne, lecz także społeczne i kulturowe. Wiece są widowiskami, jak koncerty czy zawody sportowe. To całodniowe wydarzenia dla rodzin, wspólnot, w którym główną gwiazdę poprzedzają występy tych skromniejszych. Wiec w Madison Square Garden był jak wielka konwencja i trwał osiem godzin. Czasami to wydarzenia jak jarmark, ludowy festyn i stół biesiadny. Nawet dysponując skromnymi środkami, da się to zorganizować. To też miejsce, w którym można pozyskać wolontariuszy do kampanijnej roboty. Potencjał w estradowym prowadzeniu kampanii politycznej wykorzystywał Paweł Kukiz i jeśli któreśmukolwiek polskiemu politykowi było blisko do temperamentu i aury Trumpa, to właśnie jemu. Niestety po wielkim sukcesie 2015 r. rozpuścił swe talenty.

PRAWDZIWY FACET

Osobiste cechy odgrywają ogromną rolę po prawej stronie sceny politycznej. Trzeba mieć w sobie coś z wariata, zapaleńca, by porywać się na system. Niemal zwierzęcą naturalność i magnetyzm. Jan Maria Rokita pisze w „Sieci” o Trumpie, że to jedyny tak charyzmatyczny przywódca w świecie demokratycznym. Pewnie można by jeszcze wskazać prezydenta Argentyny Mileia czy włoską premier Meloni z gorących, kampanijnych czasów, gdy chłód władzy jeszcze nie skulił jej serca w lodowy sople i nie przerobił umysłu w kalkulator. Tak czy owak rację ma Rokita i doskonale wyczuwa, o co chodzi, cytując fragment rozmowy Donalda Trumpa z Joe Roganem, który prowadzi najchętniej słuchane podcasty świata. „Ludzie mają już dość tych wszystkich mówiących gów...ym, przygotowanym z góry żargonem politycznym. I nawet jak się z tobą nie zgadzają, to mają pew-

ność, że ten facet to ty. Prawdziwy ty” – mówi Rogan.

Dysponująca mediami lewica i demokracja walcząca nie musi taka być. Jej wystarczy pobawiony właściwości produkt marketingu jak Macron, Trudeau czy Trzaskowski. Prezydent Warszawy nie wzbija się ponad banały i poziom mówcy motywacyjnego albo zręcznego sanatoryjnego sprzedawcy soli kąpielowych. Podobnie Sikorski – ponad swój styl konferencji i posiedzeń międzynarodowych gremiów. Ludu nie porwie. Mając wielką maszynę państwa i mediów po swojej stronie, wystarczy jako tako wygłądać, mówić i rozsiewać miraż światowości, by mieć szansę. Ale ten, który jak Trump chce się zmierzyć z systemem, musi poderwać za sobą lud, zarazić swą pasją. Musi iść jak na wojnę – cywilizacyjną. Na taką batalię poszedł Trump, a głosy, że ta kampania wyborcza to ostanía szansa na uratowanie Ameryki, na zablokowanie domykającego się systemu, były powszechne.

KONTRREWOLUCJA TOALETOWA

O życie, przetrwanie nie walczy się umizgami. To wymaga jednoznaczności, a nawet brutalności. Strateg kampanii Trumpa Chris LaCivita powtarzał za Churchilllem: „Próba bycia wszędzie bezpiecznym oznacza, że nigdzie nie jest się silnym”. Za tym szło odrzucenie belkotu politpoprawności i całego tego pobudzenia ideologicznego – woke, które u nas za PRL występowało pod postacią marksistowskiej świadomości klasowej. „Wszystko, czego się tknie woke, zamienia się w g...o” – mówił do wyborców Trump, nie obawiając się używać grubych określeń.

Proces wyzwala się z więzów koszarnej politpoprawności i woke dopiero się rozpoczął, ale już widać, jaką daje radość Amerykanom. Są szczęśliwi jak dzieci, że znów ośmielają się mówić, iż są tylko dwie płcie. Cała Ameryka w napięciu śledzi bój o toalety w Kongresie i żaden facet udający babę z penisem nie będzie się pałętał po damskich, bo kongresmenka Nancy Mace go tam nie wpuści. Nawet spiker Izby Reprezentantów Mike Johnson wydał oświadczenie popierające zakaz.

(Swoją drogą to zastanawiające, czy Bę-gowski/Grodzka chodził/a w Sejmie za potrzebą tam, gdzie Mucha i Nowacka, czy gdzie?).

Trump wygrał prezydenturę nie tylko jako lider polityczny, lecz także jako wojownik, wyzwoliciel na wojnie kulturowej. Powoli zaczyna uwalniać ludzi z pęt woke oraz LGBT+ i manifestacja ich odrzucenia zaczyna być powszechna. Nawet demokraci usuwają ze swych profili idiotyczne prezentacje z zaimkami on/jego, czy jak to oni o sobie piszą. Specjalnie rozwijamy wątek ideologii LGBT+, bo zmiany w podejściu do niej są najbardziej widoczne. Trump już wywołał kulturową kontrrewolucję. Zdobył nie tylko Biały Dom, lecz także zwycięża w obronie naszej cywilizacji.

Kandydat prawicy powinien mieć świadomość tego, że jego zadaniem jest nie tylko sięgnięcie po prezydenturę, lecz także poprowadzenie krucjaty. Nie da się układowością zapobiec deprawowaniu dzieci przez brygady instruktorów seksu od Nowackiej.

Porzucenie bezpiecznej przystani, jak radził Churchill, w przypadku Trumpa oznaczało też, że postawił on na najbardziej niszczoną kulturowo i społecznie grupę w Ameryce – na mężczyzn. Harris ma swoje zmobilizowane kobiety (to okazało się mrzonką), więc Trump zdobędzie mężczyzn. Zrobił to w wielkim stylu, wygrywając wśród nich we wszystkich grupach wiekowych, a nawet z dwucyfrową przewagą u Latynosów – 54 proc. do 44 proc. Objawił się jako rzecznik męskiej części społeczeństwa, a przy okazji utrzymał duże poparcie wśród kobiet – większość głosów białych pań. Wbrew bajaniom demokratów nigdy niekończąca się walka o prawa kobiet traci swą siłę nośną. Możliwość zabicia nienarodzonego dziecka dla wygody nie jest cywilizacyjnym fundamentem i największą wartością Ameryki. Oczywiście to nie oznacza, że aby wygrać w Polsce, trzeba zostać rzecznikiem mężczyzn. Chodzi o to, by nie obawiać się radykalnych, zdrowych postaw i ryzyka utraty części wyborców, by zyskać więcej gdzie indziej.

To, jak trafić do którejś specyficznej grupy wyborców, stanowi zresztą jeden z fenomenów amerykańskich kampanii. W Polsce jesteśmy homogeniczni i z grubsza dzielimy się na kobiety i mężczyzn, miastowych i wioskowych, wierzących i tych, co nie dostąpili łaski wiary. W Ameryce na to wszystko nakładają się podziały na dziesiątki grup etnicznych, religijnych, związane z klimatem, całkowicie odmienną kulturą itd. Inne są przekazy do muzułmanów z Michigan, nowojorskich Żydów, ewangelików z Alabamy, Latynosów z Nowady czy latających toporów z Rzeszowszczyzny w Pensylwanii.

Są tysiące układanek, ale pod pewnymi względami w Ameryce zadanie jest prostsze. Wyborcę da się dość pre-

Moglibyśmy się nauczyć od Amerykanów, że kampania to nie tylko zjawisko polityczne, lecz także społeczne i kulturowe. Wiece są widowiskami, jak koncerty czy zawody sportowe. To całodniowe wydarzenie dla rodzin, wspólnot

czyjnie opisać po miejscu zamieszkania, kodzie pocztowym. Wiadomo, w jakim przedziale mieszczą się jego zarobki, jakie może być jego pochodzenie, wykształcenie itp. W Polsce w miejscu zamieszkania nadal jesteśmy dużo bardziej wymieszani, jeśli brać pod uwagę statut społeczny czy profesję. W Ameryce nie ma też takiej ochrony danych jak w Europie, więc można np. kupić wiedzę o zakupach, zainteresowaniach wyborcy i w zależności od tego ułożyć przekaz. Analizę baz danych jako pierwsza w Polsce głębiej pojęła PO i stąd akcje wyborcze w wybranych miejscach w wyborach

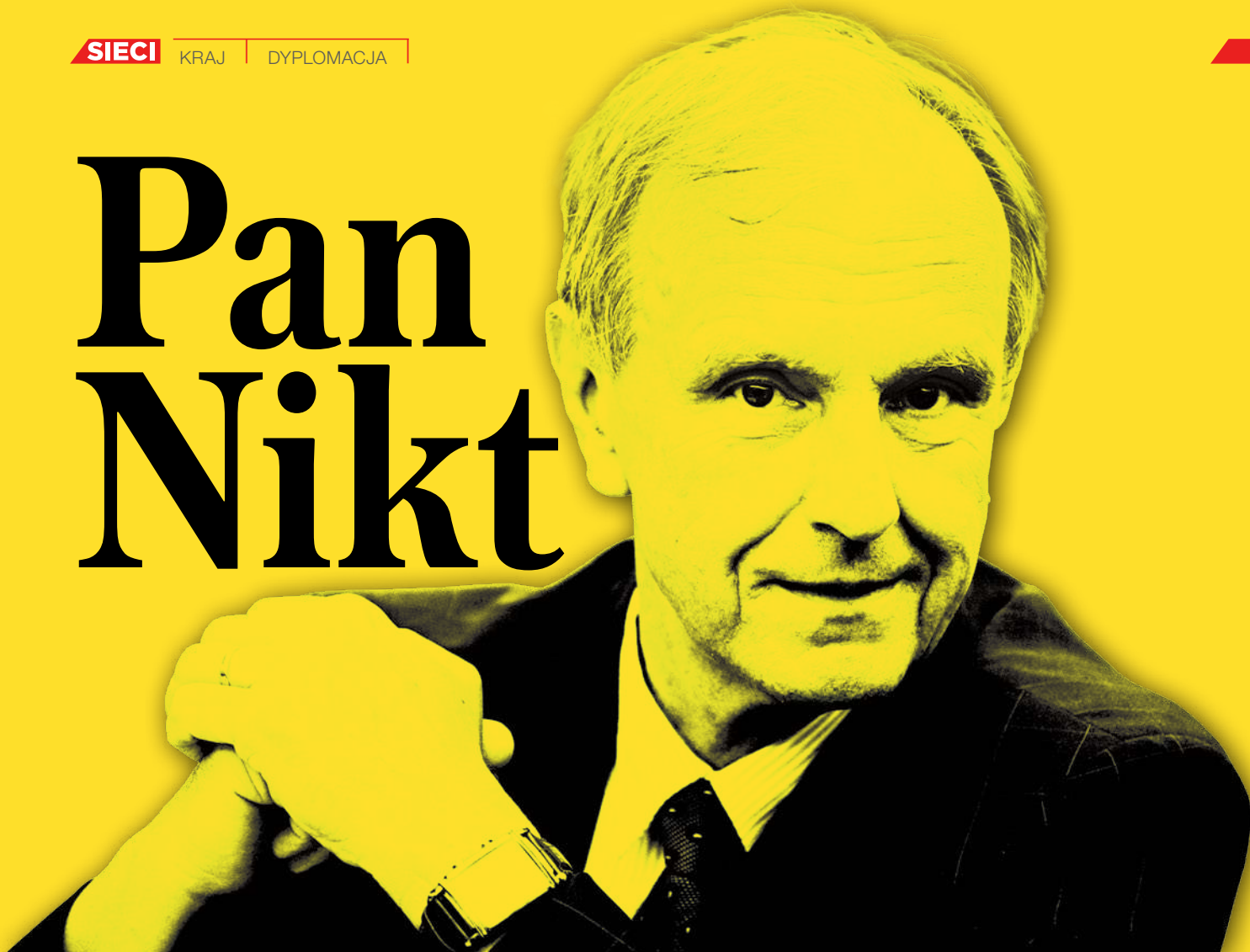
2023 r., np. mobilizacja w Jagodnie we Wrocławiu. W warunkach wyrównanej konkurencji odkrycie nieodkrytych nawet małych grup wyborców może zdecydować o zwycięstwie.

Trump nie bał się pokazywania w miejscach nieoczywistych czy takich, które mogłyby okazać się wrogie. Jeden z największych zasięgów miał jego występ u Adina Rossa, który prowadzi podcasty z transmisjami gier komputerowych, jak Grand Theft Auto. Miliony oglądały starego faceta, który chwali się, że nie używa nawet e-maila, u młodego gościa od nawalek na ekranie. Potem pojawiły się kolejne seanse u kolejnych maniaków – ludzi ze środowisk, o których istnieniu Trump nawet nie wiedział. Nie chodzi o to, by teraz kandydat w Polsce udzielał się u jakiegoś gracza w wiedzmina, tylko by szukać ludzi i ich głosów w pozapolitycznym uniwersum – u grzybiarzy, szachistów, kogokolwiek.

Trump od lat przypomina też, iż przekonanie, że z mediami nikt nie wygra, jest fałszywe i anachroniczne. Może było prawdziwe, kiedy to one miały monopol na przekaz. Teraz siłę ma to, co jest w mediach społecznościowych, a tam każdy może się wykazać. To odwieczne podlizywanie się dziennikarzom, zwłaszcza przez polityków prawicowych, nie ma najmniejszego sensu. Ich trzeba traktować jak przeciwników. Właściwe podejście pokazał Przemysław Czarnek, który na idiotyczne pytanie Justyny Dobrosz-Oracz, czy zakaże seksu dla przyjemności, zapytał ją bezceremonialnie, czy jest głupia. Trump bezlitośnie rozdziela razy, a publiczność pieje z zachwytem. Ludowy bohater bije władców kłamstwa, strażników zbiorowej świadomości.

Czas pracuje na korzyść kandydata prawicy. Koalicja Tuska zużywa się szybciej, niż ktokolwiek zdołał przypuszczać i do wyborów stanie z obciążeniami lichych rządów. Ponadto Trump rozpoczyna urzędowanie w styczniu i do majowych wyborów w Polsce zdoła uruchomić wiele procesów odbierających energię wielmożnym europejskim i globalnym elitom. Na żywo będzie można sprawdzić, co działa, a co nie. 

Pan Nikt



Bogdan Klich w Waszyngtonie to katastrofa. Nie w przenośni, ale dosłownie.

Wszystkie drzwi są tam szczelnie zamknięte przed wysłannikiem

Donalda Tuska. Z powodów protokolarnych oraz dlatego, że wielokrotnie obrażał Donalda Trumpa. Decyzja polskiego premiera to de facto zawieszenie stosunków dyplomatycznych ze Stanami Zjednoczonymi

Klamka zapadła – Bogdan Klich zrezygnował z mandatu senatora, a to oznacza zarówno przedterminowe wybory w jego okręgu, jak i przede wszystkim spełnienie warunku koniecznego, aby móc objąć stanowisko w placówce dyplomatycznej. Zdał też egzamin z języka angielskiego, co pokazuje, że jest zdeterminowany, aby przeprowadzić się nad Potomak. Ma to



PIOTR GURSZTYN

obiecane od dawna. Jeszcze przed wyborami wydeptał sobie u Tuska obietnicę, że dostanie stanowisko ambasadora w USA.

Mimo wygranych wyborów plan się skomplikował. Bo po pierwsze, wbrew mocnemu przekonaniu wszystkich w Platformie elekcję w USA wygrał Trump. Po drugie, od dawna jest jasne, że nominacja nie zostanie podpisana przez Andrzeja Dudę. I nic nie wskazuje

Fot. Andrzej Wiktor

na to, aby prezydent zmienił tu zdanie. „Radosław Sikorski i Donald Tusk chcą wysłać na ambasadora do Stanów Zjednoczonych człowieka, który był ministrem obrony, kiedy w polskim samolocie rządowym, tak naprawdę wojskowym, podlegał MON, zginął prezydent RP w katastrofie lotniczej. [...] Przecież to będzie jeden wielki rehot. Nigdy się na to nie zgodzę, dopóki jestem prezydentem jeszcze przez te 14 miesięcy, nigdy nie podpiszę tej nominacji ambasadorskiej” – deklarował twardo w jednym z wywiadów.

Wszystko to sprawia, że Klich będzie dla Amerykanów kimś, kogo można nazwać Mister Nobody. Nawet wtedy, gdy od sierpnia przyszłego roku Platforma będzie miała swojego prezydenta. Administracja Trumpa i tak nie będzie chciała rozmawiać z Klichem, a nawet gdy już zechce, to format nominata Tuska jest zbyt mikry, aby skutecznie wypełniać obowiązki reprezentanta RP w niebezpiecznych czasach. „Przedwojennych”, jak nazywał je sam Donald Tusk.

DLACZEGO SIĘ NIE NADAJE?

Zmiana gospodarza Białego Domu jest ogromnym wyzwaniem dla obecnego polskiego rządu. To sprawa bezdyskusyjna. „Polski premier o liberalnym rodowodzie naprzeciwko amerykańskiego prezydenta populisty. Tego jeszcze w historii III RP nie grano. Zapnijmy pasy!” – pisze mocno zaniepokojony Jarosław Kuisz, liberalny publicysta kibicujący rządowi Tuska. „Łatwo już było” – alarmuje. „Marco Rubio, czyli nowy szef amerykańskiej dyplomacji, to zła wiadomość dla ekipy Tuska” – dodaje Kuisz. I co robi premier? Posyła do USA Klicha.

Długa jest liczba powodów, które wskazują, dlaczego Klich się nie nadaje.

Po pierwsze, wielokrotnie obrażał Trumpa.

Po drugie, nie zostanie akredytowany przynajmniej do sierpnia 2025 r.

Po trzecie, ciągnie się za nim niesława najgorszego szefa MON III RP, likwidatora wojska oraz obciążenie odpowiedzialnością (przynajmniej polityczną) za dwie straszne katastrofy – pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 r. i Mirosławcem 23 stycznia 2008 r.

Po czwarte, niski poziom intelektualny – jego wpisy na portalach społecznościowych to niewyrafinowany partyjny trolling. Nie jest znany z jakiegokolwiek głębszej myśli na jakiegokolwiek temat, nie tylko międzynarodowe.

Po piąte, brak doświadczenia dyplomatycznego.

NA CO LICZYŁ, OBRAŻAJĄC TRUMPA?

Obrażliwe wpisy na temat Trumpa nie były incydem. Klich przez kilka lat systematycznie dawał wyraz swojej niechęci do byłego i obecnego prezydenta USA. W 2019 r. na łamach „Wyborczej” drwił przy okazji wizyty prezydenta Dudy w Waszyngtonie: „Prezydent Donald Trump tradycyjnie zachwycał się Polską, podobnie jak wcześniej Rosją i Koreą Północną. Nie dziwi więc zachwyty gospodarza nad stanem polskiej demokracji, który polskich demokratów wcale nie zachwyca”. Rok później pisał na platformie X: „Zeznania przed Kongresem o tym, że Trump chciał dołą-

czyć do rebeliantów okupujących Kapitol, przerażają, ale nie zaskakują. Pamiętajmy, że to przyjaźń z tym nie równoważonym i nieszanującym demokrację politykiem miała być wg PiS gwarantem bezpieczeństwa Polski”.

W 2023 r. dodał wpis: „Trump echem propagandy Rosji!! Pamiętajmy, z jaką nadzieją politycy PiS czekali na drugą kadencję Trumpa. Jak liczyli, że uda mu się unieważnić głosy oddane na Bidena. Putin też na to liczył. Szczęśliwie dla Ukrainy i dla świata przeliczyli się”. A zaledwie kilka miesięcy temu, gdy już szykował się do wyjazdu za ocean, pisał: „Donald Trump jest pierwszym w historii USA byłym prezydentem, który został skazany przez sąd w sprawie karnej. W demokracji nikt nie jest ponad prawem. Trzymajmy się tego również w Polsce”.

Podczas posiedzenia sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych posłowie opozycji Krzysztof Bosak i Jan Dziedziczyk pytali Klicha o te wpisy. Odpowiedź była rozbijająca. Polityk PO przekonywał, że nie utrudnia mu one pracy w Waszyngtonie, gdyż pisał je jako... parlamentarzysta, a wtedy, jak uważa Klich, wolno więcej: „Tak już jest, że parlamentarzyści idą dalej. Pan idzie dalej. Jako parlamentarzysta szedłem dalej. Natomiast ministrowie idą znacznie bliżej. Ministrowie muszą być bardzo powściągliwi, a dyplomaci muszą być najbardziej powściągliwi z tych wszystkich trzech kategorii. W związku z tym pozwoli pan, że jako ewentualny przyszły szef placówki w Stanach Zjednoczonych nie będę nawiązywał do tamtych zacytowanych przez pana sformułowań”.

Z AMERYKAŃSKIEJ PERSPEKTYWY

Tak łatwo jednak nie będzie. Szymon Szynkowski vel Sęk, minister ds. UE i szef MSZ w rządach PiS, opisał reakcję kilku znajomych republikanów na wiadomość o nominacji dla Klicha: „W rozmowach z amerykańskimi partnerami nieustannie wracają pytania, dlaczego rząd RP podtrzymuje kandydaturę B. Klicha na ambasadora w USA. Nikt nie rozumie, dlaczego w tak kluczowym momencie, przy zmianie administracji, szeregu geopolitycznych wyzwań, Tusk i Sikorski upierają się przy osobie, która ma na starcie zamkniętą większość drzwi do nowych gabinetów w Waszyngtonie i w dodatku nie jest najostrzejszą kredką w piórniku. Ponadto w związku ze słuszną decyzją prezydenta nie będzie ambasadorem, tylko kierownikiem placówki. Ja także nie potrafię tego wytłumaczyć”.

W rozmowie z tygodnikiem „Sieci” Szynkowski vel Sęk dodał, że Amerykanie są w pełni świadomi tego, kim jest Klich i co sobą reprezentuje. Pogardliwe określenie „nie najostrzejsza kredka” wyszło od jego amerykańskich rozmówców.

Niestety Klich nie może liczyć na to, że Trump zapomni o epitetach pod jego adresem. Nie mogą na to liczyć też Donald Tusk i Radosław Sikorski. Amerykański prezydent jest pamiętliwy, co tak samo podkreślają zarówno ludzie mu życzliwi, jak i nieżyczliwi. Właśnie teraz rozstrzyga się sprawa między nim a Kevinem Ruddem, obecnym ambasadorem Australii w USA. Rudd jest zawodnikiem o wiele klas lepszym od Klicha. Bez porównania lepiej wykształconym i doświadczonego, dwukrotnym premier Australii, szefem MSZ. Ale na swym koncie ma otwartą krytykę Trumpa, w tym obraźliwe określenia. Prezydent USA dał już jasny sygnał, że nie chce, aby ktoś taki był ambasadorem w jego kraju.

Dotychczasowy ambasador RP w Waszyngtonie Marek Magierowski zapytany przez rozmawiającego z nim Bogdana Rymanowskiego o reakcje Trumpa na ataki ze strony Tuska odpowiedział: „Obawiam się, że może zapamiętać”.

W tej rozmowie Magierowski podał informacje, które niestety rysują przerażający obraz. Klich jako charge d'affaires – bo nie jest legalnym ambasadorem – będzie traktowany przez stronę amerykańską jak powietrze. Opowiedział to na własnym przykładzie. Na początku swej pracy w Waszyngtonie musiał chwilę poczekać na moment złożenia oryginału listów akredytacyjnych na ręce głowy państwa, czyli prezydenta. Do tego momentu jako dyplomata nie mógł nikogo przyjmować, z nikim się spotykać ani nie był nigdzie zapraszany. Amerykanie są bardzo rygorystyczni w kwestii przestrzegania protokołu dyplomatycznego. Przeszkoda była czysto formalna i znikła wraz ze złożeniem dokumentu. Klich nie dostanie listu akredytacyjnego od prezydenta Dudy, a to znaczy, że nie będzie mógł odbywać spotkań z urzędnikami Białego Domu i Departamentu Stanu.

ANTYAMERYKANIZM DONALDA

Na razie wygrywa inna logika. Klich jest dla Tuska i Sikorskiego bardzo wygodny, bo jako człowiek o zerowej pozycji nie zaszkodzi im jakimś osobistymi ambicjami. Cały czas podlizuje się Sikorskiemu, a to też jest ważne w chwili, gdy odbywają się prawyboły prezydenckie w Platformie. Tusk i Sikorski nie oczekują też od niego aktywności zawodowej. Ma siedzieć w Waszyngtonie, cieszyć się komfortową synekurą i nic więcej nie robić.

Jest wiele powodów, z których Donald Tusk tak lekceważąco traktuje sprawę strategiczną z punktu widzenia bezpieczeństwa Polski. A obsada ambasady w Waszyngtonie niewątpliwie należy do tej kategorii. Premier uwielbia bawić się ludźmi i traktować ich jak mario-netki. W 2007 r., gdy pierwszy raz obejmował władzę, wiele osób otrzymało inne resorty niż te, do których się przygotowywali. Do MON sztykował się Bogdan Zdrojewski, a dostał kulturę. Za to do MON trafił Klich, który przeszedł do historii jako najgorszy szef tego resortu w całym 35-leciu III RP.

To też kwestia zmysłu państwowego Tuska, a właściwie jego braku. Państwo – oczywiście poza słownymi deklaracjami – nie jest dla niego wartością. O premierze jako „państwowcu” nie mówią nawet jego najwięksi lizusi. Postpolityka tak, ciężka praca nie. Trudno nie odnieść wrażenia, że jego perspektywa czasowa to okres oddziaływania wpisu na platformie X. Przykrym przykładem były jego dwa ostatnie posty. W pierwszym chwalił się z satysfakcją, jak sam napisał, tym, że zadzwonił do niego kanclerz Scholz i zrelacjonował przebieg rozmowy z Putinem. A krótko potem zamieścił wpis, w którym krytykował Scholza za prowadzenie „telefonicznej

dyplomacji”. Wygląda to tak, że poniewczasie zauważył, że inicjatywa Scholza została powszechnie skrytykowana, a on wyrwał się przed szereg ze swym zadowoleniem.

Media liberalne, za czasów PiS wrażliwe na to, co o Polsce myślą na Zachodzie, tym razem milczą o sprawie wysłania za ocean kompletnego dyletanta. Brakuje komentarzy i ocen. Choć fakt, że Klich nie ma obrońców przed „hejtem” prawicy jest znaczącym świadectwem. Prezydent Duda w ogóle nie jest grillowany w tej sprawie przez wroga mu media. Widać, że każdy wie o tym, iż kandydat jest beznadziejnie słaby, a na dodatek nieodpowiedni w tej dziejowej chwili. Nie można jednak stanąć po stronie Dudy czy w ogóle prawicy i przyznać, że wysłannik PiS do Waszyngtonu Marek Magierowski jakościowo wyprzedza Klicha o nieskończoną liczbę długości.

Swoje znaczenie ma też antyamerykanizm Donalda Tuska. Skrywany przez niego w Polsce, ale znany w Ameryce. Tusk przekroczył czerwoną linię, oskarżając Donalda Trumpa o zależność od Kremla. A to tylko jeden z przykładów jego nieprzyjaznej postawy nie tylko wobec republikanów, lecz

także w ogóle całej Ameryki. Ledwie dziewięć miesięcy temu nakazywał republikanom się wstydzić, czym sprowokował odpowiedź Marca Rubio, dzisiejszego sekretarza stanu, który ostro odpowiedział, że chętnie podeśle Tuskowi 300 tys. nielegalnych imigrantów. Ten sam Rubio wcześniej brał w obronę rząd PiS przed Brukselą.

Tusk naraził się też obecnemu wiceprezydentowi USA: „Nowy przywódca Polski aresztuje przeciwników politycznych i zawdzięcza bezpieczeństwo swojego kraju hojności mojego [kraju]. Mógłby rozważyć okazanie wdzięczności lub przynajmniej stonować swoje autorytarne

zapędy” – pisał J.D. Vance.

Jako znak nowych czasów trzeba potraktować ostatnie wydarzenie, gdy dwóch współpracowników Trumpa spotkało się (oprócz prezydenta Dudy) z Rafałem Trzaskowskim, ale nie z Tuskiem ani nawet Sikorskim. Widać, że obaj uznali, iż nie ma sensu rozmawiać z ludźmi negatywnie nastawionymi do ich kraju, a Trzaskowski nie ma na swoim koncie ataków na USA ani na samego Trumpa. Potwierdzeniem słuszności ich oceny stała się odpowiedź Sikorskiego, równie arogancka, co głupia, że nie przyjałby ich, bo byli zbyt niskiej rangi.

Wszystkie te okoliczności można podsumować następująco: Tusk wbrew deklaracjom wybrał konfrontację z USA. Nie podjął próby naprawienia swych błędów w relacjach z Trumpem. Wydaje się, że była taka możliwość, bo amerykański prezydent oprócz pamiętliwości jest znany z pragmatyzmu. Wśród jego współpracowników są dawni przeciwnicy. Przestali go zwalczać i podjęli współpracę. Wysłanie Klicha to znak, że Tuskowi nie zależy na współpracy z Trumpem. Nasz największy sojusznik i gwarant bezpieczeństwa szybko zrozumiał ten sygnał.

Wysłanie Klicha do Ameryki jest znakiem, że Tuskowi nie zależy na współpracy z Trumpem. Nasz największy sojusznik i gwarant bezpieczeństwa szybko zrozumiał ten sygnał

Kłamstwo sondażowe

Więcej wydaje się już na badania służące manipulowaniu wyborcami niż na sprawdzanie ich preferencji



STANISŁAW JANECKI

Donald Tusk i Platforma Obywatelska przedstawili sondaż prezydencki przeprowadzony 5–10 listopada 2024 r. przez pracownię Opinia24 (na próbie 2001 osób) jako epokowy. Miał on pomóc członkom partii skupionych w Koalicji Obywatelskiej wybrać między Rafałem Trzaskowskim a Radosławem Sikorskim. Miałoby z niego wynikać, że Trzaskowski ma potencjał wyborczy liczony na 12,1 mln głosów (41 proc.), zaś Sikorski na 7,7 mln (26 proc.). Kandydata Prawa i Sprawiedliwości oszacowano na 9,7 mln głosów (33 proc.), Szymona Hołownię na 7,1 mln (24 proc.), Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk na 5,6 mln (19 proc.), zaś Sławomira Mentzena na 2,9 mln (10 proc.). Zachwyty w partii Donalda Tuska sięgnęły stratosfery. A poszybowywały jeszcze wyżej, gdy z badania wyciągnięto wniosek, że gdyby startował Rafał Trzaskowski, wygrałby pierwszą turę z kandydatem PiS w stosunku 40 do 28 proc. Gdyby kandydował Radosław Sikorski, przegrałby pierwszą turę z kandydatem PiS w stosunku 28 do 30 proc. Ale w drugiej turze wygrałby z kandydatem PiS zarówno Trzaskowski (57 do 43 proc.), jak i Sikorski (54 do 46 proc.). W wariancie z Trzaskowskim (w pierwszej turze) trzeci byłby Sławomir Mentzen (15 proc.), czwarty Szymon

Hołownia (13 proc.), a piąta Agnieszka Dziemianowicz-Bąk (4 proc.). W wariancie z Sikorskim (w pierwszej turze) trzeci byłby Szymon Hołownia (21 proc.), czwarty Sławomir Mentzen (16 proc.), a piąta Agnieszka Dziemianowicz-Bąk (6 proc.). Czy ten sondaż trzeba traktować jako szczególnie i czy Donald Tusk ma powody do triumfalizmu?

Doświadczenie sondaży przed wyborami prezydenckimi w USA (5 listopada 2024 r.), a także wieloma wyborami w Polsce (prezydenckimi, parlamentarnymi, europejskimi), nakazuje daleko idący sceptycyzm. Nie tylko dlatego, że ich wyniki były w wielu wypadkach kompromitacją. Dlaczego więc? Przede wszystkim dlatego, że spełnia się czarny sen demokracji: sondaże zaczęły kreować rzeczywistość, a powinno być odwrotnie. Dyktatura sondaży stała się faktem. Nie są już one elementem obserwacji i analizy polityki, lecz jej uczestnikiem. Sondaże w coraz większym stopniu stają się stroną walki politycznej, co powoduje, że ich wyniki często stanowią kłamstwo sondażowe, a nie odbicie rzeczywistości.

Wiele wskazuje na to, że wybory prezydenckie w maju 2025 r. w Polsce będą największą w historii III RP próbą realizacji dyktatury sondaży, najbardziej otwartą i bezczelną próbą wpłynięcia na wyniki poprzez kłamstwo sondażowe.

PRZYPADKI TRUMPA I DUDY

W wyborach 5 listopada 2024 r. w USA Donald Trump uzyskał 312 głosów elek-

torskich, zaś Kamala Harris – 226, co jest miażdżącą przewagą. Tym bardziej że także w głosowaniu powszechnym Trump miał o 2,615 mln głosów więcej niż Harris. W wyborach prezydenckich w 2015 r. w Polsce obie tury wyborów wygrał Andrzej Duda, zdobywając odpowiednio 34,76 proc. i 51,55 proc. głosów.

Z analizy danych z setek sondaży przeprowadzonych w USA przed wyborami wychodziło, że szanse Kamali Harris i Donalda Trumpa wynosiły 50 na 50, 52 do 48 albo nawet 56 do 43. W kluczowych dla wyniku wyborów stanach „wahających się” (Pensylwania, Georgia, Michigan, Arizona, Nowada, Karolina Północna i Wisconsin) Trump prowadził niewielką przewagą 48 do 47 proc. (margines błędu wynosił 4 proc.). W sondażu Tippi’s Tracking Poll to Harris miała tam przewagę 50 do 47 proc. (margines błędu 2,8 proc.). W sondażu Bloomberg’a Harris była lepsza od Trumpa w stosunku 49,1 do 48,5 proc. (margines błędu 1 proc.).

Kłamstwo sondażowe (i to w wydaniu renomowanej pracowni Selzer) w największym stopniu ujawniło się w badaniach dotyczących preferencji w stanie Iowa. Tam Harris miała wygrać z Trumpem w stosunku 47 do 44 proc., choć w dwóch poprzednich wyborach Trump zdecydowanie był górą. I zdecydowanie wygrał także w 2024 r. (62 proc. do niecałych 53 proc.). Gdy „New York Times” zrobił podsumowanie sondaży z kluczowych stanów w kilku ostatnich cyklach wyborczych, wyszło na to, że sondażownie myliły się o 3–6 pkt proc.

Gdy chodzi o polskie wybory prezydenckie w 2015 r., to żaden sondaż przeprowadzony od początku tego roku nie dawał zwycięstwa Andrzejowi Dudzie. W badaniach dla „Faktów” TVN (Millward Brown) ze stycznia 2015 r. poparcie dla Bronisława Komorowskiego wyniosło 65 proc., Andrzej Duda został zaś oszacowany na 21 proc. W sondażu dla „Wiadomości” TVP ze stycznia 2015 r. (TNS Polska) Bronisław Komorowski miał poparcie 56 proc., a Andrzej Duda – 19 proc. W sondażu Millward Brown (ze stycznia 2015 r.) Komorowski miał 62 proc. poparcia, zaś Duda – 18 proc. W sondażu dla Newsweek.pl (Estymator) z lutego 2015 r. na Bronisława Komorowskiego miało zamiar głosować 51 proc., a na Andrzeja Dudę – 25 proc. ankietyowanych. W sondażu CBOS z lutego 2015 r. poparcie

dla urzędującego prezydenta miało wynosić 63 proc., zaś dla Andrzeja Dudy – 15 proc.

Wiosną 2015 r. poparcie dla Andrzeja Dudy zaczęło rosnąć, choć żaden sondaż nigdy nie wskazywał na jego zwycięstwo nad Bronisławem Komorowskim. W sondażu dla „Faktów” TVN z połowy marca 2015 r. (Millward Brown) Duda mógł liczyć już na 31 proc. głosów, ale Komorowski na 46 proc. W sondażu IBRiS dla „Super Expressu” z kwietnia 2015 r. Bronisław Komorowski miał 40,4 proc. głosów poparcia, Andrzej Duda – 30,6 proc.

W ostatnich dwóch tygodniach przed wyborami tylko jedno badanie (Polska Press Grupa i Regionalny Ośrodek Badania Opinii Publicznej „Dobra Opinia”) dawało Andrzejowi Dudzie wynik powyżej 30 proc. (31,3 proc.), ale poparcie dla Bronisława Komorowskiego miało wynieść 39,3 proc. Ostatni oficjalny sondaż (IBRiS dla Radia ZET) z 8 maja 2015 r. dawał Andrzejowi Dudzie 28,3 proc., a Bronisławowi Komorowskiemu – 36,3 proc.

PROPAGANDOWE TUBY

Szefowie sondażowni w USA coraz częściej wskazują na to, że obywatele nie chcą brać udziału w badaniach. Wynika to z nieufności zarówno do ośrodków, które je prowadzą, jak i do mainstreamowych mediów, które nie tylko manipulują ludźmi, ale wręcz ich ogłupiają. To, jak funkcjonują sondaże, analizowała Ewelina Tyszką z Wyższej Szkoły Informatyki i Ekonomii TWP w Olsztynie. Iz jej badań wynika, że sondażom zarzuca się, iż spełniają funkcje „tub propagandowych dla partii, że są zafalszowane i manipulowane”. Bierze się to z faktu, że „sondaże polityczne i przedwyborcze są najchętniej zamawiane przez media, najczęściej utożsamiane z daną opcją polityczną, a także przez samych polityków i partie, a więc obywatelowi nietrudno zarzucić badaniom tendencyjność, zwłaszcza jeśli ich wynik jest różny od rzeczywistych wyników głosowania”.

Dowody dostarcza choćby opublikowany przez TVN w przedwyborczy wieczór (przed wyborami prezydenckimi w 2010 r.) sondaż, w którym w pierwszej turze Bronisław Komorowski mógł ponoć liczyć na 45,7 proc. poparcia, podczas

gdy Jarosław Kaczyński na niecałe 33 proc. Gdy Państwowa Komisja Wyborcza podała rzeczywiste dane, okazało się, że Bronisław Komorowski dostał 41,54 proc. głosów, ale Jarosław Kaczyński 36,46 proc. Uznano to za wizerunkową klęskę stacji.

Sondaże i powołujące się na nie media oraz partie są obecnie najlepszymi narzędziami do manipulowania wyborcami. Wykorzystują na przykład to, że część wyborców boi się odrzucenia przez społeczność, w której żyją, izolacji, a nawet dyskryminacji, jeśli „źle” zagło-

sują. Za pomocą sondaży wywiera się na nich presję, żeby zachowali się konformistycznie. Preferowane przez nich partie są przedstawiane jako samo zło – na różnych etapach były to Prawo i Sprawiedliwość, Samoobrona, Liga Polskich Rodzin czy Konfederacja. Te ugrupowania nie tylko były atakowane, lecz także wyśmiewane jako zaściankowe

czy wręcz „średnio-wieczne”. W sondażach ludzie nie przyznają się do popierania tych partii, gdyż boją się konsekwencji, a część nie głosuje zgodnie ze swoimi preferencjami, obawiając się zemsty, co wynika m.in. z niewiary w tajność głosowania.

Sondaże umacniają przekonanie, że jest to forma kontroli społeczeństwa przez władzę, a nawet opresji z jej strony, więc lepiej się nie narażać. Ewelina Tyszką wskazuje na bardzo groźne dla demokracji i wolności wyborów zjawisko „sondażowego przepychania” (push poll). Polega ono na „pozyskiwaniu poparcia wyborców poprzez dostarczanie im nieprawdziwych informacji o innym kandydacie lub szkalo-

wanie go pod pretekstem badań preferencji wyborczych”.

Kłamstwo sondażowe stało się rodzajem przemysłu służącego sterowaniu polityką i manipulowaniu wyborcami. A to prowadzi do dyktatury sondaży. Dowodem na to, że taka dyktatura istnieje, jest to, iż więcej wydaje się już na badania służące kłamstwu sondażowemu niż na sprawdzanie preferencji wyborczych. ▀





KONRAD KOŁODZIEJSKI

W branży motoryzacyjnej jak w soczewce widać kondycję gospodarczą państwa. Polska jest tutaj całkowicie uzależniona od obcego kapitału. Próba wyjścia z tego zakłętą kręgu miała być izera, ale ten projekt został zabity przez obecny rząd. Teraz możemy się tylko przyglądać, jak wielkie koncerny opuszczają Polskę, pozostawiając tysiące ludzi na bruku

W połowie listopada zakończyła się likwidacja fabryki, która była symbolem polskiego przemysłu motoryzacyjnego. Chodzi o zakłady w Bielsku-Białej, gdzie powstawały polskie fiaty 126p. Dawna Fabryka Samochodów Małolitrażowych (FSM) w 1992 r. została przejęta przez włoskiego Fiata, który wchodzi dziś w skład koncernu Stellantis. Po zakończeniu produkcji malucha nowy właściciel zdecydował, że samochody będą wytwarzane wyłącznie w Tychach, a Bielsko-Biała wyspecjalizuje się w silnikach samochodowych. Zajmowała się tym specjalnie utworzona spółka FCA Powertrain. W ostatnich latach bielska fabryka produkowała silniki dla całej gamy aut kon-



Motokrach

cernu Stellantis oraz General Motors i Suzuki. Łącznie w Bielsku-Białej powstało 7,3 mln silników Diesla oraz benzynowych. Ale więcej ich nie będzie.

KONIEC PEWNEJ EPOKI

Na początku br. Stellantis poinformował o zamknięciu fabryki i przeniesieniu produkcji silników do Brazylii. Nowoczesna linia technologiczna została już zdemontowana i przewieziona drogą morską do Ameryki Południowej, a hale produkcyjne sprzedano za 25 mln euro firmie deweloperskiej, która na miejscu dawnej FSM chce postawić kompleks biurowy. Wraz z zamknięciem bielskiego zakładu pracę straciło 470 wykwalifikowanych pracowników.

Kłopoty dotyczą również siostrzany zakład koncernu Stellantis w Tychach, gdzie przymierzano się do uruchomienia produkcji małego auta elektrycznego chińskiej firmy Leapmotor. Ta produkcja stała się jednak pod znakiem zapytania po niedawnym nałożeniu przez Unię cel na chińskie samochody elektryczne. Polska, która poparła takie rozwiązanie, naraziła się na restrykcje Chin, ponieważ Pekin

zalecił swoim producentom wycofanie się z inwestycji w krajach głoszących za wprowadzeniem cel. Wiele wskazuje na to, że produkcja chińskiego elektryka zostanie przeniesiona na Słowację lub do Niemiec.

Po dawnej Fabryce Samochodów Osobowych na warszawskim Żeraniu pozostała już tylko nazwa na przystanku tramwajowym. Na naszych oczach znika fabryka w Bielsku-Białej, a jak tak dalej pójdzie, podobny los może czekać również zakład w Tychach. Po kolei umierają wszystkie symbole po wojennej polskiej motoryzacji: FSO nie przeżyła transformacji gospodarczej po upadku PRL, a dawną FSM zabija właśnie Zielony Ład.

MARZENIA O WIELKOŚCI

Niestety polska motoryzacja nigdy nie zdołała zbudować własnej silnej marki samochodowej. Udało się to Czechom (Škoda), a nawet Rumunom (Dacia) i chociaż obie te marki należą dziś do zagranicznych koncernów – Škoda to część Volkswagena, a Dacia to Renault – każda z nich przynosi duże zyski lokalnej gospodarce, napędzając rozwój i dając miejsca pracy.



Pewną nadzieję dawały marki pojazdów użytkowych, takie jak Star i Jelcz czy w bliższych nam czasach Solaris. Niestety marka Star, która dziś należy do niemieckiego Volkswagena, została usunięta z rynku przez nowych właścicieli, Jelcz istnieje chyba tylko dzięki wysiłkom poprzedniego rządu jako producent wyspecjalizowanych pojazdów na potrzeby Wojska Polskiego, a Solaris po osiągnięciu pewnego pułapu został sprzedany hiszpańskiemu koncernowi CAF, ponieważ brakowało mu środków na dalszy rozwój.

Próbą wyjścia z tego zakłętą kręgu niemożności miała być izera – pierwszy polski samochód elektryczny produkowany na masową skalę. Dzięki własnej marce spora część unijnych dopłat do zakupu elektryków zostałaaby w Polsce.

Produkcją izery miała zająć się specjalnie utworzona do tego celu państwowa spółka ElectroMobility Poland. Według zamysłu rządu PiS izera miała być tym, czym w czasach gierkowskich był maluch. W 2016 r. mówiło się o 1 mln aut, które w 2035 r. zelektryfikują polskie drogi (po trzech latach liczbę tę zweryfikowano do 600 tys. w 2030 r.). Produkcja izery miała ruszyć w 2022 r. w nowej fabryce w Jaworznie. Do niczego takiego

nie doszło, ponieważ przedsięwzięcie okazało się bardziej skomplikowane, niż początkowo zakładano, pogorszyła się także koniunktura za sprawą najpierw pandemii, a potem wybuchu wojny na Ukrainie.

ZABIJANIE IZERY

Nie oznacza to jednak, że izera została odłożona na półkę. W 2022 r. podpisano umowę z chińskim koncernem motoryzacyjnym Geely, do którego należy szwedzkie Volvo (a konkretnie jego część produkująca auta osobowe). Chińczycy rozglądali się wówczas za nową inwestycją w naszej części Europy i zwrócili uwagę na projekt izery. W umowie ustalono, że Geely będzie dostarczać do Jaworzna platformy, na których zamierzano instalować polskie nadwozie. Podkreślano, że ponad połowa elementów samochodu, w tym cała karoseria i wnętrze, będą wytwarzane w polskich firmach.

Pierwsze samochody w dwóch wersjach: hatchback i SUV miały wyjechać z fabryki na początku 2026 r. Obliczano, że w pierwszym etapie zakład w Jaworznie powinien wytwarzać 150 tys. aut rocznie z możliwością podwojenia tej liczby w kolejnych latach. Przy produkcji izery miało być zatrudnionych 5 tys. pracowników w Jaworznie oraz kilkadziesiąt tysięcy u dostawców.

Jednak zanim udało się uruchomić produkcję, w Polsce doszło do zmiany władzy. Rząd Tuska natychmiast wstrzymał prace przy izerze pod pretekstem przeprowadzenia audytu. I choć zapewne wbrew nadziejom rządu wypadł on nadspodziewanie dobrze, izery prawdopodobnie i tak nie będzie.

Jak wynika z doniesień medialnych, główną przeciwniczką polskiego auta jest reprezentująca Polskę 2050 minister funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. Jej zdaniem nie da się sfinansować produkcji izery ze środków KPO, ponieważ inwestycja musiałaby zostać rozliczona przed 2026 r. Jeśli do tego momentu produkcja auta nie ruszy, środki unijne przepadną. Jednak produkcja nie ruszyła, ponieważ blokował ją obecny rząd. Zatem chyba nie chodzi wyłącznie o środki z KPO. O co w takim razie?

„Pani minister Pełczyńska-Nałęcz przejęła projekt izery i postanowiła, że będzie on, a właściwie jego unicestwienie, jednym z kół zamachowych rozwoju jej kariery politycznej” – zdradził w rozmowie z Wirtualną Polską anonimowy polityk PO. I rzeczywiście, w wypowiedziach pani minister trudno dostrzec jakąkolwiek sympatię dla izery. Jej zdaniem Jaworzno to „chińska montownia”, więc nie ma sensu jej rozwijać.

Co ciekawe, stoi to w sprzeczności z niedawnymi wypowiedziami ministra aktywów państwowych Jakuba Jaworowskiego, który w rozmowie z „Rzeczpospolitą” zapowiedział nie tylko kontynuację negocjacji z Geely, lecz także możliwą produkcję aut tego koncernu w Polsce. Oznaczałoby to jednak, że produkcję izery miałby zastąpić montaż chińskich aut, a więc to, czego rzekomo najbardziej obawiała się Pełczyńska-Nałęcz. Zdaniem Jaworowskiego izera jako „wizja PiS była ewidentną halucynacją”.

CZYNNIK CHIŃSKI

„Halucynacją” równie dobrze może okazać się rządowa wizja chińskiej montowni w Jaworznie. Chińczycy z Geely są podobno poirytowani niekonsekwencją obecnej władzy, a wprowadzenie ceł na chińskie auta elektryczne może ostatecznie przesądzić o ich wyjściu z Polski. Mówi się, że Geely przeniesie się do Hiszpanii, gdzie chińscy producenci są mile widziani – swoją produkcję zamierza tam uruchomić m.in. koncern Chery.

Hiszpania, która jest drugim po Niemczech producentem aut osobowych w Europie, głosowała przeciwko cłom na chińskie auta elektryczne. Podobnie zrobili zresztą same Niemcy, co stało się pożywką dla dwóch teorii. Pierwsza z nich, którą można nazwać spiskową, mówi, że Berlin, choć ostatecznie przegrał głosowanie, skorzysta na cłach, bo przejmie część chińskich inwestycji wycofanych z krajów głosujących tak jak Polska za wprowadzeniem opłat. Przykładem ma być wspomniany wcześniej Leapmotor, który opuszcza Tychy i rozważa przeniesienie produkcji aut do niemieckiego Eisenachu.

Druga teoria wskazuje, że Niemcy, które są uzależnione od chińskiego

rynku motoryzacyjnego, głosowały przeciwko cłom, bo obawiały się retorsji ze strony Pekinu. Przy czym nie chodzi tutaj tylko o np. Volkswagena, który sprzedaje więcej aut w Chinach niż w Niemczech i obawia się odcięcia od chińskiego rynku, lecz także o dostawy podzespołów i surowców. W tej chwili aż 98 proc. metali rzadkich jest sprowadzanych do Niemiec z Chin. Chińczycy dostarczają także Niemcom niezbędne podzespoły do produkcji samochodów elektrycznych. Bez chińskiego zaplecza niemiecka branża motoryzacyjna, która odpowiada za 10–20 proc. (według różnych wyliczeń) niemieckiego PKB, po prostu padnie. Tak samo jak zapada się dzisiaj reszta tamtejszej gospodarki po wyłączeniu elektrowni atomowych i odcięciu dostaw taniego rosyjskiego gazu.

SZUKANIE RATUNKU

Prawda jest bowiem taka, że Niemcy, które najbardziej forsują agendę klimatyczną, same bardzo na niej tracą. Owszem, wyniszcza przy okazji konkurentów takich jak Polska, ale nie są w stanie sprostać potężniejszym graczom w rodzaju Chin, które cynicznie wykorzystały transformację energetyczną w Europie do zbudowania własnej przewagi na rynku.

Dlatego Niemcy robią, co mogą, aby powstrzymać krach własnej przestarzałej technologicznie branży motoryzacyjnej. Są gotowi poświęcić dla niej europejskie rolnictwo (umowa z krajami Mercosur zakładająca w uproszczeniu otwarcie rynku unijnego na południowoamerykańskie produkty rolne w zamian za eksport samochodów z Unii), a także, co wygląda bardziej obiecująco, wycofać się z zakazu sprzedaży nowych aut spalinowych po 2035 r.

Zdaniem niemieckiego ministra transportu Volкера Wissinga zmniejszenie emisji CO₂ można osiągnąć nie tylko dzięki samochodom elektrycznym, lecz także poprzez neutralne ekologicznie paliwa syntetyczne, które z powodzeniem można stosować w silnikach spalinowych. Taki rodzaj paliwa, które jest wytwarzane z wodoru, bardzo odpowiada zarówno niemieckim firmom motoryzacyjnym, jak i tamtejsze

branży chemicznej, która od II wojny światowej jest liderem technologicznym w tej dziedzinie i dziś również przeżywa duże kłopoty.

Gdyby Niemcom udało się przeforować taki projekt, cała tamtejsza branża motoryzacyjna (nie tylko producenci aut, lecz także zespołów napędowych – silników, sprzęgieł, skrzyni biegów i mnóstwa innych urządzeń) byłaby uratowana. Co więcej, zyskałaby pewną przewagę nad konkurentami.

Unia chce także zakazu serwisowania aut starszych niż 15-letnie, co zmusiłoby Europejczyków do wymiany samochodów i sztucznie podtrzymywało ruch w interesie.

Łącznie w Bielsku-Białej powstało 7,3 mln silników Diesla oraz benzynowych. Więcej ich nie będzie. Nowoczesna linia technologiczna została już zdemontowana i przewieziona do Brazylii

WIELKIE CIĘCIE

Niezależnie od tego, co o tym wszystkim myślimy, kłopoty, w które za sprawą obłędnej polityki klimatycznej wpakowali się Niemcy, dotyczą również nas. Bo przez ostatnie kilka dekad to my byliśmy jednym z dostawców tamtejszego (i nie tylko tamtejszego) przemysłu motoryzacyjnego.

Za sprawą przejścia na auta elektryczne w ciągu najbliższych 10 lat w Niemczech zniknie 190 tys. miejsc pracy. To tyle, ile w tej chwili liczy cała polska branża motoryzacyjna. Jednak w związku z rosnącymi cenami energii w Polsce oraz zapaścią na zagranicznych rynkach liczba zatrudnionych w tej branży będzie się szybko kurczyć również u nas.

Oprócz wspomnianych zakładów FCA Powertrain w Bielsku-Białej zwolnienia dotknęły także producentów autobusów Volvo we Wrocławiu i Scania w Ślupsku, którzy zamknęli swoje interesy. Trwają redukcje w produkujących stalowe elementy nadwozia zakładach MA Polska w Kielcach i Tychach oraz u dostawcy Stellantis, firmie Magneti Marelli w Bielsku-Białej. Z kolei francuski Michelin likwiduje linię produkującą opony do samochodów osobowych w Olsztynie.

Jak donosi „Rzeczpospolita”, zwolnienia objęły także fabrykę uszczeltek SFC Sollutions w Piotrkowie Trybunalskim oraz wytwarzające okablowanie zakłady niemieckiej firmy Dräxlmaier w Jeleniej Górze. Cięcia zapowiedziano również w produkującej wiązki elektryczne firmie Yazaki w Mikołowie, a poważne kłopoty przeżywa Wielton, jeden z największych producentów naczip w Wielunia.

Pewną szansą jest dla nas rynek baterii, ale i to może się wkrótce skończyć za sprawą nieudolności obecnego rządu, który nie zapobiegł zmianie unijnej dyrektywy baterijnej. Zakłada ona bowiem, że ślad węglowy będzie liczony od całości miks energetycznego kraju, w którym mieści się fabryka baterii. Tym samym Polska, która ma najsłabszy miks energetyczny w Unii, zostanie całkowicie wyeliminowana z dochodowego rynku baterii. Straty dla naszej gospodarki mogą być ogromne, jesteśmy bowiem drugim w świecie (po Chinach) producentem baterii litowo-jonowych, a według danych z 2022 r. wartość sektora baterii w Polsce przekracza 38 mld zł. Wiele wskazuje na to, że te pieniądze wyparują, a producenci baterii przeniosą się tam, gdzie energia jest tańsza i czystsza, np. do Francji, która czerpie prąd z elektrowni jądrowych. My atomu nie mamy i jeszcze długo nie będziemy mieć.

W branży motoryzacyjnej jak w soczewce widać kondycję gospodarczą państwa. Polska jest tutaj całkowicie uzależniona od obcego kapitału. Próba wyjścia z tego zakłętą kręgu miała być izera, ale ten projekt został zabity przez obecny rząd. Teraz możemy się tylko przyglądać, jak wielkie koncerny opuszczają Polskę, pozostawiając tysiące ludzi na bruku.

Karetką do porodu



Minister zdrowia Izabela Leszczyna chce, by każda kobieta oczekująca na poród od 2025 r. mogła dostać się karetką do szpitala, jeśli do niego od jej miejsca zamieszkania jest „kilkadziesiąt kilometrów”. Ratownicy obawiają się, że kobiety coraz częściej będą rodziły w ambulansach, a tych może po prostu zabraknąć w sytuacji konieczności ratowania ludzkiego życia



DOROTA ŁOSIEWICZ

Skąd pomysł, by rodzące do porodówek dowoziły karetki? Wynika on z planu reformy sieci porodówek zapowiedzianej przez Ministerstwo Zdrowia. Zdaniem resortu część z tych, które przyjmują zbyt mało porodów i generują długi szpitali, ma zostać przekształcona w inne oddziały.

ZA MAŁO DZIECI

Jak to wygląda w liczbach? Faktycznie, porodów w Polsce jest coraz mniej. W 2017 r. było ich 393 tys., w 2019 r. – 366 tys., a w 2023 r. ich liczba spadła do 266 tys. W związku z tym zmniejsza się liczba oddziałów położniczych przyjmujących powyżej 400 porodów

rocznie. W 2017 r. było ich 320, a w ub.r. już tylko 221. Dlatego ma być ich mniej.

To jednak oznacza, że po zmianach w niektórych regionach droga rodzących do szpitala może się znacznie wydłużyć. Sposobem na to ma być transport ambulansami. W związku z tym powstaje ryzyko, że zdecydowanie więcej porodów będzie się po prostu odbywało w karetkach.

– To jest poroniony pomysł. Każda karetka w Systemie Państwowego Ratownictwa Medycznego jest wyposażona w zestaw do odbierania porodu. Ja już ponad 30 lat pracuję w karetce i parę razy zdarzyło mi się odebrać poród – komentuje Waldemar Kraska, lekarz, były wiceminister zdrowia, senator PiS. – Jednak jeśli do szpitala będzie daleko, może dojść do sytuacji, że porody będą odbierane częściej w karetkach niż na salach porodowych. Dziś zdarza się to rzadko. Jednak jeśli kobieta do najbliższej porodówki będzie miała kilkadziesiąt kilometrów, to się zmieni. A karetka to nie jest najlepsze miejsce na poród. Wszyscy jesteśmy przeszkoleni, wszyscy mamy sprzęt, ale poród nie zawsze przebiega bez komplikacji. Nieraz ułożenie dziecka jest trudne, nawet wytrawni położnicy mają problemy z odebraniem takiego porodu, a co dopiero my, w pogotowiu. Pomysł, żeby przerzucić na ratownictwo medyczne odbieranie porodów i stworzyć jeżdżącą salę porodową, jest bardzo zły – ocenia senator Kraska.

Podobnego zdania jest były marszałek Senatu i lekarz Stanisław Karczewski, który tak mówi o planach Izabeli Leszczyny: – To jest zły pomysł ze względu na bezpieczeństwo rodzących. Sam bardzo dużo pracowałem w pogotowiu ratunkowym, wiele lat temu i wyjazdy do porodu były bardzo niebezpieczne. Zawsze modliłem się, żeby na dyżurze nie mieć takiego wyjazdu, a jak już się zdarzył, to się modliłem, żeby szczęśliwie dojechać z pacjentką i nie odbierać porodu w karetce. Trzeba mieć duże doświadczenie w tej materii. Porodu nie powinny odbierać osoby niedoświadczone, które nie potrafią tego robić. Lekarze ogólni czy innych specjalizacji. Trudno też sobie wyobra-

zić, by karetka mogła być przeznaczona wyłącznie do porodu, to byłyby potężne koszty. To zła droga. Kobieta ma prawo do bezpiecznego porodu w komfortowych warunkach. Gdy zaczyna rodzić, poród nieraz przebiega bardzo szybko i gwałtownie. Karetka nie jest najlepszym miejscem do rodzenia.

Senator Karczewski uważa pomysł likwidacji 30 porodówek za niebezpieczny. – Są takie miejsca, że tych porodów jest bardzo mało, rodzi się np. jedno dziecko tygodniowo. Zmiany jednak należy przeprowadzić tak, by zapewnić maksymalne bezpieczeństwo rodzącym i dziecku. Te podmioty, które mają odpowiednią kadrę i zabezpieczenie techniczne, powinny zostać, to są umiejętności, których nabywa się latami. Zamknięcie oddziałów oznacza, że bezpowrotnie stracimy zasoby położnicze – tłumaczy.

Pomysł minister Leszczyny stanowi zagrożenie nie tylko dla bezpieczeństwa rodzących, lecz także dla bezpieczeństwa innych pacjentów – uważa lekarz, senator PiS Stanisław Karczewski

Krzysztof Żochowski, dyrektor Samodzielnego Publicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej w Garwolinie, mówi mi: – Zdarza się, że wozimy rodzące do porodu. Nie jest to standardowe postępowanie, ale bywa. Sam raz przyjąłem poród w karetce, było to bardzo trudne, ale daliśmy radę. I dziecko, i rodząca przeżyli i mają się dobrze, choć chrestnym nie zostałem – żartuje Żochowski.

DLA KOGO KARETKA?

Żarty żartami, ale to, co do tej pory „zdarzało się”, może po reformie okazać się normą, a to nie jedyny problem. Ratownicy medyczni obawiają się sytuacji, w których dyspozytorzy będą musieli



zdecydować, czy wysłać karetkę do za-wału, czy do rodzącej.

Na profilu Ratownicy Ratownikom czytamy: „Pani minister! Czas dojazdu do pacjentów w tej chwili stanowi zagrożenie dla zdrowia lub życia pacjentów w stanie nagłego zagrożenia życia z powodu czasów dojazdu, co wynika ze zbyt dużej ilości wyjazdów, a zbyt małej ilości karetek”. I tak w pierwszej połowie 2023 r. zakontraktowano łącznie 1607 zespołów ratownictwa medycznego (ZRM), w tym 1284 podstawowych, 316 specjalistycznych i 7 wodnych – wynika ze sprawozdania z działalności Narodowego Funduszu Zdrowia za II kwartał 2023 r. Dane te świadczą o tym, że na 25–30 tys. mieszkańców Polski przypada jedna karetka pogotowia, podczas gdy uznaje się, że modelowa sytuacja jest wtedy, gdy przypadłaby jedna na 15 tys.

– Pomysł minister Leszczyny stanowi zagrożenie nie tylko dla bezpieczeństwa rodzących, lecz także dla bezpieczeństwa innych pacjentów. W sytuacji gdy karetka wyjedzie do rodzącej, mogą się wydarzyć groźne wypadki, udary, zawały, gdzie bezcenna jest pierwsza godzina na udzielenie pierwszej pomocy. To jest irracjonalny pomysł, oderwany od logiki, potrzeb, wiedzy medycznej, organizacyjnej. Ministrowi zdrowia taki pomysł w życiu nie powinien przejść przez gardło, bo to jest po prostu groźne – komentuje Karczewski. – Jest to także zły pomysł ze względu na kwestie organizacyjne. System Państwowego Ratownictwa Me-



dycznego, który został stworzony, gdy ministrem zdrowia był prof. Zbigniew Religa, słusznie przeznaczając całe państwowe ratownictwo medyczne do przypadków ratowania życia i zdrowia ludzi. I tak został stworzony. Celem działania tego systemu jest udzielanie pomocy osobom w stanie nagłego zagrożenia zdrowotnego. Przewożenie kobiet ciężarnych przez zespoły ratownictwa medycznego do planowego porodu może zmniejszyć ich dostępność dla osób, których stan zdrowia wypełnia definicję stanu nagłego zagrożenia zdrowotnego.

Pacjentki powinny mieć swobodny dostęp do oddziałów porodowych – uważa Karczewski.

Zdaniem dyrektora Żochowskiego dziś system ratownictwa w Polsce działa dobrze: – Jest to jeden z lepszych systemów w Europie. Mamy oczywiście do czynienia z przypadkami bezsensownych wezwań karetek do osób, które powinny uzyskać pomoc w ramach podstawowej opieki zdrowotnej, ale gdy nie uda się umówić wizyty domowej, starsi ludzie wzywają karetkę w akcie desperacji i to jest zagrożenie dla systemu.

Już dziś czasy dojazdu karetek wykraczają poza przepisy ustawowe. Wszystko dlatego, że nawet 40–50 proc. interwencji ma nieuzasadniony charakter.

Teraz Izabela Leszczyna chce obciążyć ten system transportem rodzących. Ale i na to pani minister ma pomysł. „Taniej jest opłacić dodatkowe zespoły ratownictwa, które obsługują ten system nie tylko dla kobiety w ciąży, ale też dla innych pacjentów, np. tych, których trzeba dowieźć dalej, np. na ostrą chirurgię. Tak

to widzimy i dlatego tam, gdzie będzie taka potrzeba, zostaną dodane karetki” – stwierdziła. Podkreśliła też, że wiceminister Marek Kos wraz z zespołem pracuje nad rozwiązaniami, które mają pokazać, jak będzie działał system w całości, po to, aby nigdy karetka nie odbiła się od żadnego SOR-u.

WIĘCEJ KARETEK

Rzecz w tym, że nie chodzi o dorzucenie do systemu kilku tysięcy samochodów. Karetka jest ambulansem wtedy, gdy ma zapewnioną obsadę co najmniej podstawowego zespołu ratownictwa medycznego.

– Problem nie w braku karetek, tylko zespołów medycznych. O ile nie mamy problemów z obsadą dyżurów z ratownikiem, o tyle w całej Polsce obsadzonych jest 40–60 proc. dyżurów lekarskich, bowiem lekarze nie chcą wykonywać tej pracy. Nie jest więc tak prosto zwiększyć liczbę karetek, zwłaszcza lekarskich, a przy porodzie przydałby się lekarz. I to taki, który by wiedział, co zrobić. Nie wiem, czy bym chciał, żeby poród mojej żony przyjmował ortopeda. W karetkach jeżdżą lekarze, którym przysługuje tytuł lekarza systemu. Jest nim głównie specjalista w dziedzinie medycyny ratunkowej. Jeżeli takiego nie ma, to drugim wyborem jest anestezjolog, a tych brakuje wszędzie. Są do tego uprawnieni także interniści, chirurdzy, ortopedzi. Nic mi nie wiadomo, żeby byli to ginekolodzy – wylicza Żochowski.

Dyrektor garwolińskiego SP ZOZ dodaje: – Ja bym zalecał pani minister, jeśli chciałaby ode mnie jakąś poradę, by zachowała roztropność w działaniach reformatorskich dotyczących likwidacji istniejących porodówek. Na pewno w związku ze zmianami demograficznymi pewne korekty są konieczne, ale trzeba to czynić w sposób ostrożny i wyważony. Tak by bezpieczne były kobiety rodzące i ich dzieci. Polska jest różnorodna. Nie ma jednej recepty dla całego kraju. Trzeba więc oceniać sytuację w regionach, brać pod uwagę, ile dzieci się rodzi, jakie są uwarunkowania geograficzne, jaka jest sieć dróg, jaki jest czas dojazdu i na podstawie tych informacji podejmować decyzje. Jeśli mamy dwa szpitale w odległości 15 km, sieć dróg

jest dobra, a w każdym szpitalu rodzi się 200 dzieci rocznie, to nie ma problemu, by w jednym ze szpitali rodziło się 400. Jednak jeśli odległość pomiędzy szpitalami wynosi 50 km, to bym się mocno zastanawiał, czy likwidować porodówkę, bo jest to odległość, przy której przekraczamy granicę bezpieczeństwa.

Ministerstwo Zdrowia ustami wiceministra Jerzego Szafranowicza poinformowało, że w wyniku konsultacji publicznych wprowadzono dodatkowe kryterium geograficzne. Ma ono na celu uniknięcie sytuacji, w której odległość do najbliższego oddziału położniczego przekroczyłaby określoną wartość. Dzięki temu nawet oddziały z mniejszą liczbą porodów mogą zostać zakwalifikowane do tzw. sieci szpitali PSZ, jeśli spełniają obniżone progi dotyczące liczby przyjętych porodów. Resort zdrowia zapewnia też, że nowe przepisy nie spowodują zwiększenia odległości do najbliższego szpitala położniczego do 100 km na żadnym obszarze kraju. Maksymalna odległość do najbliższego świadczeniodawcy z zakresu położnictwa i ginekologii zostanie określona w rozporządzeniu. Jednak, jak wiadomo, diabeł zawsze tkwi w szczegółach, a te wcale nie są znane pracownikom resortu zdrowia.

Wróćmy do wywołanego przez ministra Izabelę Leszczynę wiceministra Marka Kosa. Kilka dni temu spotkał się on w Ministerstwie Zdrowia z przedstawicielami organizacji związkowych ratowników medycznych. Był wtedy obecny m.in. Tomasz Wyciszkievicz z Polskiej Rady Ratowników Medycznych, który chciał wiedzieć, ile dodatkowych karetek planuje dorzucić do systemu pani minister.

– Niestety, pan wiceminister Kos nie potrafił wybrnąć z tej zapowiedzi ministra Leszczyny. Zapytałem go, ile będzie dodatkowych karetek, ale wiceminister powiedział, że jeszcze nic nie wiadomo, bo trzeba zrobić analizy i teraz za wcześnie na deklaracje. Nie wiadomo też, ile oddziałów zostanie zlikwidowanych. No po prostu cyrk na kółkach – relacjonuje Wyciszkievicz. – Po prostu nikt nic nie wie – dodaje.

Oby tylko system ochrony zdrowia nie zmienił się nam w system niszczenia zdrowia.

Szantażowany Kościół

Negocjacje między rządem Tuska a Kościołem w sprawie religii w szkołach oraz Funduszu Kościelnego toczą się w atmosferze swego rodzaju szantażu związanego z przestępstwami pedofilii



GORAN ANDRIJANIĆ

Nikt już raczej nie powinien mieć wątpliwości, że jeśli chodzi o agendę kulturową, jednym z głównych celów rządu Donalda Tuska ma być ograniczenie, a właściwie kompletna likwidacja wpływu katolicyzmu na polskie społeczeństwo.

Widać to w wielu krokach podjętych przez koalicję 13 grudnia od chwili dojścia do władzy. Przede wszystkim chodzi o atak na naukę religii w szkołach, którego frontmenką stała się ministra edukacji narodowej Barbara Nowacka. Następnym celem jest likwidacja Funduszu Kościelnego, jednego ze 100 konkretów Koalicji Obywatelskiej – jej słynnego programu

na pierwsze 100 dni rządów. Prawie nic z niego nie zostało zrealizowane i najpewniej nigdy nie będzie oprócz bezsensownego i nieuczciwego ataku na finansowanie Kościoła katolickiego w Polsce, który może mu przynieść poważne kłopoty.

Do tego wszystkiego należy dodać nasilenie wojny kulturowej przeciwko katolickim wartościom oraz narzucenie klimatu nietolerancji wobec księży i całego Kościoła, którą stymulują media zbliżone do koalicji rządzącej, a czasem także politycy grający w niej ważne role. Kiedy rozmawia się z ludźmi Kościoła, często można usłyszeć, że po dojściu do władzy koalicji 13 grudnia w Polsce zapanowała atmosfera, w której bycie księdzem wystarczy, aby budzić podejrzliwość lub pogardę.

Niedawne okrutne morderstwo ks. Leszka Lachowicza ze Szczytna wydaje się tragicznym dopełnieniem tej wrogiej aury wobec Kościoła. Duchowny został zabity w swojej parafii przez 27-letniego

mężczyznę, który uderzył go tasakiem w głowę. Choć nie znamy jeszcze okoliczności morderstwa, symptomatyczne jest to, że żadne mainstreamowe media nie zadają sobie nawet pytania, skąd wzięła się ta nienaturalna nienawiść do księdza.

MEDIALNE NEGOCJACJE

Właśnie w takiej atmosferze trwają negocjacje między rządem Tuska i Konferencją Episkopatu Polski w sprawie nauczania religii w szkołach i uregulowania Funduszu Kościelnego. Odbývają się one podczas spotkań wspólnych ciał przedstawicieli rządu i KEP oraz Polskiej Rady Ekumenicznej, bo wspomniane kwestie mają dotknąć wszystkich wspólnot religijnych w Polsce. Oczywiście Kościół katolicki jako największa wspólnota wyznaniowa na pewno ma pierwszeństwo w tych rozmowach.

Negocjacje, zarówno te dotyczące religii w szkołach, jak i te dotyczące Funduszu

Kościelnego, z uwagą śledzą media III RP. Najnowsze artykuły w odnoszące się do „opiółowania” religii w programie nauczania twierdzą, że Kościół zrobił „krok wstecz”.

Na początku tego miesiąca odbyło się spotkanie podkomisji ds. religii w szkole, powołanej w połowie października przez Komisję Wspólną Przedstawicieli Rządu i KEP. Jak donosiły media lewicowo-liberalne, biskupi delegowani do negocjacji „wyrazili chęć kompromisu”, zgadzając się na jedną godzinę religii tygodniowo zamiast dwóch, ale prosząc o przesunięcie tej decyzji do 2026 r.

Biskupi biorący udział w negocjacjach zaprzeczyli tej opowieści podawanej przez media bliskie Tuskwowi. „Informacje o negocjacjach płynące do opinii publicznej mają niewiele wspólnego z faktycznymi oczekiwaniami, jakie w kontekście zapowiadanych przez resort edukacji zmian wyraziła strona kościelna”, napisał na swoim profilu krakowski bp pomocniczy Damian Muskus.

Jak widać, presja na biskupów rośnie. Nasze źródła kościelne, które ze względu na drażliwość tematu chciały zachować anonimowość, potwierdzają to wrazenie. Według nich Tusk i jego koledzy nie chcą rezygnować ze swoich ataków, a negocjacje toczą się w atmosferze szantażu. Wiele wskazuje na to, iż koalicja 13 grudnia będzie nasilać presję na Kościół.

GRA NA KONFLIKT

– Nastawienie rządu Tuska wobec Kościoła zależy tylko od jednego – sondaży i nastrojów wyborców – mówi nasz informator. – Jeśli sondaże wykażą, że ludzie popierają jego agresywną postawę wobec Kościoła, będzie ją kontynuował. Jeśli okaże się, że wyborcy nie chcą, aby Kościół był atakowany, rząd przestanie. Bardzo proste. Myślę, że już od dłuższego czasu jest jasne, że rząd Tuska nie ma nic do zaoferowania poza konfliktem. Zamiast programu gospodarczego i konstruktywnych rozwiązań dla Polski oferują wojny ideologiczne, zachowując się jak typowa europejska lewica. Politycy tacy jak Barbara Nowacka czy Katarzyna Kotula są idealne do prowadzenia wojen ideologicznych.

Nasz rozmówca uważa, że jest bardzo możliwe, iż Donald Tusk odrzuci wszystkie propozycje Kościoła. Stworzy to oczy-

wiście poważne problemy w organizacji nauczania religii w salach parafialnych, co wymaga dobrej logistyki, nie mówiąc już o nauczycielach religii, którzy stracą pracę.

Wszystko też wskazuje na to, że Tusk będzie nalegał na likwidację Funduszu Kościelnego, choć na razie nie jest jasne, w jaki sposób państwo zrekompensuje Kościołowi otrzymane środki z Funduszu na emerytury i ubezpieczenie zdrowotne księży i zakonników. Sytuacja jest bardzo złożona, gdyż dotyczy emerytur i rent tych członków Kościoła, którzy ze względu na charakter swojego powołania nie mają opłaconych składek na ZUS – misjonarzy, zakonnic w zakonach kontemplacyjnych itp.

Przypomnijmy – Fundusz Kościelny powstał w 1950 r. do złagodzenia decyzji komunistów o upaństwowieniu nieruchomości należących do Kościoła katolickiego. Chodziło o pewną rekompensatę za zagrabione po wojnie nieruchomości kościelne.

„Póki państwo pełni rolę swego rodzaju powiernika upaństwowionych nieruchomości, póty musi istnieć albo Fundusz Kościelny, albo inne rozwiązanie go zastępujące. Powstałe w przeszłości zobowiązania nie mogą być potraktowane jako niebyle tylko dlatego, że tak dla niektórych byłoby wygodniej”, powiedział niedawno w rozmowie z Katolicką Agencją Informacyjną ks. prof. Piotr Stanisław z Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie.

POD PRESJĄ

Tym, co zdaniem naszego źródła martwi najbardziej, jest fakt, że negocjacje toczą się w atmosferze pewnego szantażu związanego z przestępstwami pedofilii popełnionymi przez księży. Jak wyjaśnia nasz rozmówca, nie chodzi o to, aby w negocjacjach przedstawiciele kościelni wysłuchiwać bezpośrednich gróźb (choć podobno pani minister Nowacka zachowuje się podczas negocjacji bardzo arogancko wobec biskupów).

Jak mówi nasz rozmówca, idzie o to, że wśród biskupów panuje przekonanie, iż Tusk może w każdej chwili uruchomić „swoje media” i „swoich lojalnych dziennikarzy”, żeby zbadać (albo wymyślić) nowe afery pedofilskie. Nie będzie miało żadnego znaczenia to, czy te dochodzenia opierają się na prawdzie, czy na insynuacjach.

– Na Kościół jest wywierana duża presja, aby powołać komisję, która

zbada przestępstwa seksualne księży od 1945 r. do chwili obecnej – mówi nam nasz rozmówca.

– Oczywiście każde przestępstwo wymaga zbadania i wyjaśnienia, ale tu mówimy o tym, że potępienie pedofilii jest wykorzystywane jako oręż politycznej walki z katolicyzmem. Będziemy mieli sytuację, w której nikt nie będzie rozliczony za swoją przeszłość z wyjątkiem Kościoła. Komuniści i ubecy nie zostaną rozliczeni, ale Kościół tak. Chodzi o chęć stworzenia obrazu, według którego całe zło, które wydarzyło się w przeszłości, jest winą Kościoła.

BEZ KOMPROMISU

Jak na to wszystko mogą zareagować biskupi? Zaakceptować to, co im zaoferowano?

Nasz drugi rozmówca, ksiądz z Warszawy, dobrze znający wydarzenia w polskim Kościele, mówi nam, że ze złem nigdy nie da się pogodzić.

– Biskupi mogą zareagować na dwa sposoby. Powiedzieć dość i dodać: pozwólcie ludziom zdecydować, czy chcą, aby Kościół był przesyładowany, czy nie. Inną możliwą reakcją jest zwlekanie i kupowanie czasu. Ta władza nie jest wieczna, o czym należy pamiętać.

Nasz rozmówca z Warszawy przypomina, że polityczni przeciwnicy Kościoła już w przeszłości próbowali narzucić mu zbiorową odpowiedzialność za zbrodnie jednostek, aby ograniczyć jego wpływ. Przecież już pod koniec lat 30. naziści rozpoczęli kampanię medialną skierowaną przeciwko księżom katolickim i Kościółowi, oskarżając ich o powszechną pedofilię.

– Ta kampania kłamstw, którą prowadził Goebbels, nie powiodła się dzięki biskupom, którzy wówczas stanęli po stronie prawdy. A teraz w Polsce potrzebujemy biskupów, którzy nie uznają walki z przestępstwami na tle seksualnym za jedyną miarę, która pozwoli ocenić życie Kościoła. Biskupów, którzy powiedzą prawdę. Tak, byli księża, którzy robili straszne rzeczy. Ale czy cały Kościół może być zakładnikiem ich działań?

Wszyscy nasi rozmówcy są zgodni – nawet jeśli Kościół jest szantażowany, nie może i nie powinien wyrzekać się prawdy, dla której istnieje.

Gorąca zima na Ukrainie

W dniu, w którym media zaczęły informować o tym, że siły ukraińskie mogą atakować cele w głębi Rosji, czterokrotnie wzrosła liczba osób poszukujących w internecie informacji na temat schronów. A przecież przed spodziewanymi rozmowami pokojowymi będziemy obserwować narastającą eskalację wojny po obu stronach. Walki na froncie będą coraz intensywniejsze, a bombardowania masowe

Po długim okresie wahania Joe Biden wyraził zgodę na atakowanie przez siły ukraińskie celów w Federacji Rosyjskiej przy użyciu amerykańskich rakiet. Dotychczas Ukraina mogła przeprowadzać uderzenia na terenach okupowanych, np. niszczyć rosyjskie bazy i magazyny znajdujące na Krymie, ale już nie te położone w Rosji. Prezydent Zelenski mówił w związku z tym, że jego kraj musi walczyć z potężniejszym od siebie wrogiem, „mając jedną rękę zawiązaną na plecach”. Jednak amerykańska administracja była nieugięta, uważając, że wyrażenie zgody na użycie pocisków ATACMS będzie krokiem eskalacyjnym pociągającym za sobą ryzyko wciągnięcia Stanów Zjednoczonych do wojny z Rosją. Amerykańska blokada uniemożliwiała też Francuzom i Brytyjczykom udzielenie zgody na analogiczne używanie ich pocisków



MAREK BUDZISZ

Scalp/Storm Shadow, mimo że od miesięcy deklarowali oni gotowość na tego rodzaju krok. Bez amerykańskiego oprogramowania służącego do identyfikacji i naprowadzania rakiet ich skuteczność byłaby wielokrotnie mniejsza, co w praktyce oznaczałoby marnowanie kosztownych pocisków.

KOREAŃSKIE ZAGROŻENIE

Co zatem wpłynęło na zmianę nastawienia bardzo ostrożnej do tej pory administracji Biedna? Raczej nie

jest to chęć odwrócenia losów wojny. Po pierwsze, jak donosił dziennik „The Washington Post” (podobną wiadomość przekazał też dobrze poinformowany portal Axios), Biden zgodził się na atakowanie celów położonych najprawdopodobniej wyłącznie w obwodzie kurskim i tych, które są związane z zaopatrzeniem budowanego przez Rosjan zgrupowania. Ma to pomóc ukraińskim siłom zbrojnym utrzymać zdobyte latem br. przyczółki, czyli tereny, według różnych szacunków, o powierzchni 750–1000 km². Rosjanie skoncentrowali tam 50 tys. żołnierzy, a w skład grupy uderzeniowej wszedł również kontyngent wojskowy z Korei Północnej. I ten ostatni fakt, a także pojawiające się doniesienia o wysłaniu przez Pjongjang na front gen. Kim Yong Boka, dowódcę wojsk specjalnych i zastępcę szefa sztabu północnokoreańskiej



armii, człowieka numer trzy w wojskowej hierarchii, na serio zaniepokoiły Amerykanów.

Równoległe wywiad południowokoreański doniósł, że Koreańczycy z północy mają przede wszystkim szkolić się w realiach współczesnego pola walki, a w skład kontyngentu wysłanego na front jest 500 oficerów, którzy zostali zaopatrzeni w fałszywe dokumenty tożsamości. W opinii Parka Sun-wona, zastępcy szefa południowokoreańskiego wywiadu, który spotkał się na początku minionego tygodnia z parlamentarzystami, nabycie umiejętności, w tym obsługi dronów, by potem szkolić północnokoreańską armię, jest głównym powodem wysłania przez Kim Dzong Una swych żołnierzy na Ukrainę. Zarówno te doniesienia, jak i informacje o przekazaniu przez reżim Kima do Rosji ciężkiego sprzętu, w tym haubic samobieżnych, świadczą o pogłębiającej się współpracy wojskowej między Moskwą a Pjongjangiem.

Zaniepokojenie pogłębiły doniesienia ukraińskiego wywiadu, którego przedstawiciele informowali, że jednym z rezultatów niedawnej wizyty północnokoreańskiej minister spraw zagranicznych w Rosji jest decyzja o zwiększeniu nawet do 100 tys. żołnierzy kontyngentu dyslokowanego do Rosji. Amerykanie są przekonani, że w zamian Kim Dzong Un, który po raz kolejny w najbliższym czasie ma się udać do Rosji, zażąda transferu technologii wojskowych. W minionym tygodniu adm. Samuel Paparo powiedział w Brookings Institute, znanym amerykańskim think tanku strategicznym, że w zamian za pomoc Korea Północna może otrzymać technologie rakietowe oraz umożliwiające budowę nowoczesniejszych okrętów wojskowych. Jeśli zatem Pjongjang, którego armia jest znacznie liczniejsza od południowokoreańskiej, dostanie zastrzyk nowych technologii i pod wpływem ukraińskich doświadczeń zmieni swój sposób szkolenia oraz walki, będziemy mieć do czynienia ze zmianą relacji sił na Półwyspie Koreańskim.

Jest to tym bardziej niepokojące, że znacznie zaostrzyła się retoryka północnokoreańskiego reżimu, który pod koniec ub.r. zrewidował swą wielolet-

nią politykę wobec Korei Południowej. Do tej pory od czasów Kim Ir Sena Seul był traktowany jako przeciwnik, ale nie wróg. Kim Dzong Un postanowił odejść od polityki swego dziada oraz ojca i coraz częściej mówi o konflikcie zbrojnym, a nawet, jak doniósł południowokoreański wywiad, miał wydać swym wojskowym polecenie, aby ci przygotowali się do wojny.

Amerykanie, którzy mają na półwyspie liczący 25 tys. żołnierzy kontyngent wojskowy, są na serio zaniepokojeni sytuacją, ponieważ wzrost napięcia zmuszałby Waszyngton do podjęcia trudnych decyzji. Kontyngent wojskowy w Korei Południowej musiałby zostać wzmocniony, a to oznacza konieczność wycofania części sił albo z Europy, albo z Bliskiego Wschodu. Obie te możliwości, zwłaszcza w związku z trwającymi wojnami, z pewnością nie są komfortowe.

O tym, że w tej sytuacji Biden postanowił działać, a jego celem jest deeskalacja, czyli zmuszenie Kim Dzong Una do porzucenia swych planów, świadczą też doniesienia, iż przy okazji szczytu państw G20, który odbywał się w Rio de Janeiro, amerykański prezydent miał zamiar rozmawiać z chińskim przywódcą Xi Jinpingiem na temat obecności żołnierzy z Korei Północnej na ukraińskim froncie.

KARTA PRZETARGOWA

Utrzymanie przez siły ukraińskie przyczółka w obwodzie kurskim ma też istotne znaczenie w związku ze zbliżającymi się negocjacjami w sprawie zakończenia wojny. Z pewnością Kijowowi bardzo na tym zależy, o czym zdaniem rosyjskich korespondentów wojskowych ma świadczyć ciągła rotacja walczących tam sił, co nie jest praktyką na innych kierunkach frontu, gdzie ukraińscy żołnierze często nie są luzowani przez długie miesiące. Kijów chciałby – takie tezy można spotkać w rosyjskich mediach – dokonać wymiany swych zdobyczy w obwodzie kurskim na Zaporoską Elektrownię Atomową oraz miasto Enerhodar i właśnie dlatego przygotowuje się do obrony zajętych tam terenów.

Odzyskanie kontroli nad zaporoską elektrownią, największą na Ukrainie, było jednym z 10 punktów „planu zwycięstwa” Zelenskigo, o którym rozmawiano w czasie konferencji pokojowej w Szwajcarii latem br. i jednym z trzech punktów, wokół którego udało się zbudować międzynarodowy konsensus. W świetle ujawnionych w mediach opinii nieoficjalne rozmowy, które mają trwać dzięki pośrednictwu Kataru, mają też dotyczyć powstrzymania się obu stron konfliktu przed atakowaniem infrastruktury energetycznej przeciwnika. Ukrainie zależy na tym, aby Rosjanie nie niszczyli jej elektrociepłowni i energetyki jądrowej, jeśli zaś mowa o Rosji, to strona ukraińska miałaby powstrzymać się przed uderzeniami w zakłady przetwórstwa ropy naftowej.

Należy pamiętać, że latem br. dwóch przedstawicieli ukraińskich władz (minister obrony Umarow i szef administracji Zelenskigo Jermak) miało przedstawić na spotkaniu w Białym Domu listę celów, które miałyby zostać zaatakowane przy użyciu systemów ATACMS. Chodziło o 245 obiektów, takich jak punkty dowodzenia i magazyny amunicji. Ale wtedy zarówno przedstawiciele Pentagonu, jak i CIA byli przeciwni udzieleniu na to zgody, ponieważ ich zdaniem Rosjanie wycofali swe siły (np. lotnictwo) poza zasięg rażenia tego rodzaju systemów. W efekcie, jak argumentowano, Ameryka, udzielając zgody na ostrzał celów w Federacji Rosyjskiej, podjęłaby działania o charakterze eskalacyjnym, nie mogąc spodziewać się pozytywnych efektów z militarnego punktu widzenia. Wejście do gry Korei Północnej zmieniło jednak tę kalkulację.

KILKANAŚCIE RAKIET

Jest jeszcze jedna kluczowa kwestia, jeśli oceniamy militarny wymiar tej decyzji. Otóż nie wydaje się, aby Ukraina dysponowała obecnie większą liczbą niż kilkadziesiąt rakiet ATACMS. Jak informował „Kiev Post”, do tej pory Amerykanie realizowali dwie dostawy tej broni – pod koniec 2023 r. Ukraina otrzymała starszy model (o zasięgu 160 km) i w marcu br. drugą partię nowszych konstrukcji, które mają zasięg do

300 km. Nie wiadomo, jaka liczba rakiet została w dyspozycji ukraińskich sił zbrojnych, ale zdaniem specjalistów nie przekracza ona kilkudziesięciu, a może nawet kilkunastu sztuk. Tego rodzaju szacunki wynikają z oficjalnych informacji na temat pakietu pomocy wojskowej, który otrzymała wówczas Ukraina.

W przypadku pierwszej dostawy przedstawiciele Pentagonu mówili o „tuzinach” dostarczonych rakiet, co jest zwyczajowym określeniem dostawy nieprzekraczającej kilkunastu sztuk. Natomiast jeśli chodzi o drugą, trzeba przeprowadzić bardziej szczegółowe obliczenia. Dostawa z marca była objęta ogłoszonym miesiąc wcześniej kolejnym, wartym 300 mln dol., pakietem amerykańskiej pomocy wojskowej. Obejmował on rakiety Stinger, amunicję do systemów HIMARS oraz amunicję artyleryjską kalibru 155 i 105 mm. W tym pakiecie znajdowały się też 84 systemy przeciwpancerne i amunicja mniejszego kalibru, a także duża ilość części zamiennych. Zważywszy, że jedna rakietka ATACMS kosztuje ok. 1 mln dol., to zdaniem specjalistów Ukraina nie dostała ich w tej partii więcej niż kilkanaście. To przemawia za ich oszczędnym używaniem na ograniczonym terytorium, np. obwodzie kurskiego.

Jest jeszcze kwestia użycia francusko-brytyjskich konstrukcji Scalp/Storm Shadow, ale nawet jeśli zgoda w tej sprawie zostanie wydana, co wydaje się bardzo prawdopodobne, to strona ukraińska ma ich do dyspozycji zapewne jeszcze mniej niż rakiet amerykańskich. Wynika to z relatywnie szczupłych zapasów magazynowych, które obydwa państwa miały przed wojną, a także ze względu na to, że pewna liczba tych rakiet została już zużyta.

Ukraińscy eksperci wojskowi zwracają uwagę na jeszcze inne ograniczenia. Otóż do wystrzelenia systemów ATACMS używa się tych samych wyrzutni co dla HIMARSÓW. Tych ostatnich Ukraina ma ok. 40 i z operacyjnego punktu widzenia są one dla Kijowa bardzo cenne. To zaś oznacza, że nie będą one ściągane w pobliże linii frontu, bo wówczas stałyby się łatwym celem. Przyjmuje się, że dowo-

dzący ukraińskimi siłami gen. Syrski nie podejmie zapewne takiego ryzyka i zaleci używanie tych wyrzutni tak jak obecnie, czyli z dystansu. Mowa o ich oddaleniu od linii walk nawet o 120 km w głąb ukraińskiego terytorium, co w efekcie zmniejsza zasięg operacyjny i w konsekwencji liczbę celów, które mogą być rażone na obszarze Federacji Rosyjskiej.

Jeśli zatem Pjongjang, którego armia jest znacznie liczniejsza od południowokoreańskiej, dostanie zastrzyk nowych technologii i pod wpływem ukraińskich doświadczeń zmieni swój sposób szkolenia oraz walki, będziemy mieć do czynienia ze zmianą relacji sił na Półwyspie Koreańskim

ROSJA ODPOWIADA

W odpowiedzi na decyzję Bidena Rosjanie zdecydowali się na kolejne posunięcia o jednoznacznie eskalacyjnym charakterze. Można nawet powiedzieć, że mamy do czynienia ze szczególnego rodzaju licytacją. Kreml opublikował znówelizowany tekst doktryny użycia broni jądrowej, w której zawarto znacznie więcej tego rodzaju przesłanek niż w poprzednim dokumencie. Zdaniem ekspertów oznacza to obniżenie progu użycia broni masowego rażenia, w tym jądrowej. Aby uwiarygodnić swe deklaracje, a także buńczuczne wypowiedzi byłego prezydenta Miedwiediewa mówiącego o zbliżającej się III wojnie światowej, rosyjskie siły uderzyły na ukraińskie miasto Dniepr rakietą RS-26 Rubież. Jest to międzykontynentalny pocisk o zasięgu 5,5 tys. km, a jego użycie nie było związane ani z sytuacją na froncie, ani z planowymi atakami na

ukraińską infrastrukturę energetyczną, bo Rosja wznowiła zmasowane ataki raketowe na nią dopiero po decyzji Bidena. Ma też, jak się uważa, w swych arsenalach co najmniej kilkaset rakiet o mniejszym zasięgu.

Innym nieprzypadkowym posunięciem eskalacyjnym było przerwanie przez statek handlowy zarejestrowany w Chinach połączeń światłowodowych na Morzu Bałtyckim. W związku z tym incydentem niemiecki minister obrony Pistorius mówił o celowym sabotażu, co może potwierdzać fakt, iż kapitanem zatrzymanej przez Duńczyków jednostki był Rosjanin.

MOCNE UDERZENIA

Obywatele Federacji zareagowali na decyzję Bidena inaczej niż oficjalna propaganda. Jak informuje portal Viorstka, powołując się na dane najpopularniejszego providera internetu w Rosji firmę Yandex, w dniu, w którym media zaczęły informować o tym, że siły ukraińskie mogą atakować cele w głębi Rosji, czterokrotnie wzrosła liczba osób poszukujących w internecie informacji na temat schronów. Skala tego zjawiska nie jest jeszcze masowa, ale wzrost zaniepokojenia jest odczuwalny.

Przed spodziewanymi rozmowami dotyczącymi zakończenia wojny na Ukrainie będziemy obserwować szczególnego rodzaju grę eskalacyjną. I Kreml, i Zelenski, nie mówiąc już o Amerykanach, będą się starali przeko-
nać rywali, że są w stanie wygrać wojnę, a z pewnością skokowo zwiększyć koszty, które ponosi przeciwnik. Tego rodzaju postawa ma na celu poprawę pozycji negocjacyjnych przed spodziewanymi negocjacjami po tym, jak 20 stycznia Trump obejmie obowiązki prezydenta. W związku z tym walki na ukraińskim froncie będą coraz intensywniejsze, a bombardowania masowe. Musimy też się spodziewać prowokacyjnych działań ze strony Rosjan, które będą skierowane przeciw państwom NATO. Innymi słowy zapowiada się gorąca zima.

Rząd wojowników

Nie pamiętam, aby kiedykolwiek w przeszłości nominacje do nowego rządu amerykańskiego wzbudziły taki popłoch i taką falę wrogości



JAN ROKITA

W czerwcu 2024 r. Pete Hegseth opublikował swoją kolejną książkę poświęconą amerykańskiej armii, tym razem pod tytułem „Wojna przeciw wojownikom” („The War on Warriors”), która wkrótce trafiła na szczyt listy bestsellerów „The New York Times”. Hegseth był wtedy popularnym komentatorem politycznym konserwatywnej telewizji

zji Fox, do której przyszedł po latach służby w Gwardii Narodowej, m.in. w bazie Guantanamo na Kubie oraz w Iraku i Afganistanie, gdzie dosłużył się stopnia majora, czyli dowódcy batalionu. Kariera tej książki wśród czytelników „Timesa” była wyraźnym znakiem nowych czasów nadchodzących właśnie w USA, bo jej przesłanie to nic innego, jak żarliwe wezwanie do walki z ideami głoszonymi przez ową sławną gazetę. Podtytuł wyjaśnia zresztą kluczową ideę autora: to książka „o zdradzie mężczyzn, którym zawdzięczamy naszą wolność”.

Hegseth napisał w gruncie rzeczy wielki akt oskarżenia lewicowych rządów USA od Obamy po Bidena o to, iż

osłabiły amerykańską armię, czyniąc z niej poletko dla swoich ideologicznych eksperymentów. Budowę jej siły zastąpiono irracjonalnym w wojsku celem „różnorodności”, co w praktyce oznacza, że dobrym dowódcą jest ten, który przyciąga do swojego oddziału transwestytów, gejów i kobiety, a nie ten, który troszczy się o normalnych żołnierzy. Hegseth dowodzi, iż ci, na których naprawdę spoczywał ciężar walki w wojnach, które prowadziła ostatnio Ameryka, zostali teraz zdradzeni przez swoich „przebudzonych” generałów, narzuconych armii przez lewicowe rządy. Owi zdradzeni to właśnie ci mężczyźni wojownicy, o których mowa w tytule książki.

HEGSETH DO PENTAGONU

Autor przedstawia cztery zadania stojące dzisiaj przed armią. Pierwsze to eliminacja ideologicznych eksperymentów. Drugie – usunięcie z Pentagonu generałów, którzy zaprowadzali je na siłę. Trzecie – skończenie z rekrutowaniem kobiet do oddziałów komandosów, czego przez lata żądała piechota morską. Ale w logice Hegsetha najważniejsze jest czwarte zadanie, któremu mają służyć tamte trzy: spowodowanie, aby wrogowie Ameryki na powrót byli pewni, iż „ogień i furia” amerykańskiej armii to nie jakaś fantazja ani czza pogróżka, tylko coś, co w każdej chwili naprawdę może na nich spaść. W jednym z popularnych podcastów Hegseth mówi, iż „za Trumpa nasze rakiety naprawdę spadały na głowy terrorystów”. I dodaje: „Tacy ludzie jak Kim Dzong Un wiedzieli, że kiedy Trump mówi o ogniu i furii, to mówi poważnie. Groźba użycia naszej siły musi znów stać się realna. A ci lewicowi globaliści myślą, że załatwią wszystko w świecie za pomocą swoich sankcji”.

Major Hegseth, jaki wyłania się ze swoich książek, a w ostatnich dniach także z licznych i długich wywiadów w amerykańskich podcastach, to ideowy spadkobierca twórców klasycznej doktryny powstrzymywania z czasów zimnej wojny. Oni też mieli pełną świadomość, iż tylko zdolność oraz gotowość użycia militarnej potęgi USA może ocalić wolny świat przed agresją i zagładą. Najwyraźniej Donaldowi Trumpowi musiało się spodobać takie myślenie o armii, skoro Hegseth ma zostać szefem Pentagonu w nowym rządzie.

Jednak, co charakterystyczne, głośna debata, która rozgorzała nad nominacją Hegsetha, w znikomym stopniu dotyczy konceptów przyszłego ministra obrony na temat armii i jej użycia dla powstrzymania wrogów Ameryki. Podobnie zresztą jak w przypadku innych kluczowych ministrów Trumpa, czołówki stacji telewizyjnych, gazet i portali od wielu dni zajmują dwie główne kwestie dotyczące kandydatów do rządu: pierwsza – ich rzekomego „ekstremizmu” i „fanatyzmu”, druga – ich życia seksualnego. W przypadku Hegsetha mogliśmy się dowiedzieć (także z czołówek polskich gazet), że to „fanatyk” i „ekstremista”, a do roli ministra dyskwalifikuje go wytatuowany na ciele krzyż jerozolimski i amerykań-

ska flaga. Same tatuaże, tak powszechne na dzisiejszym Zachodzie, zapewne nie stanowiłyby problemu, ale te zdobiące Hegsetha symbolizują jego religijną gorliwość i patriotyzm, są więc dyskwalifikujące. A gdy idzie o seks, to okazuje się, że co do joty powtarza się tu historia, która miała zdyskwalifikować Trumpa – ponoć zapłacił kobiecie, gdy ta szantażowała go oskarżeniem o molestowanie seksualne.

GAETZ REZYGNUJE Z PROKURATURY

Seks był także kluczowym punktem debaty nad przyszłym prokuratorem generalnym, którym miał zostać Matt Gaetz. Tutaj intryga rozwinęła się o wiele dalej, gdyż zaraz po jego ministerialnej nominacji objawił się prawnik, który z dnia na dzień stał się gwiazdą amerykańskich telewizji od ABC, CBS po CNN tylko z jednego powodu. Obwieszcza on bowiem, iż ma dwie anonimowe klientki, które uprawiały z Gaetzem płatny seks, a nadto jedna z nich na własne oczy widziała, jak przyszły prokurator generalny uprawiał seks z kobietą w wieku 17 lat. Po tym wszystkim, o co oskarżano Trumpa w ciągu ostatnich czterech lat, rozsądnemu obserwatorowi nie sposób rozeznaczyć się w prawdziwości tego typu zarzutów.

W każdym razie te kiepskie opinie o prywatnym życiu Gaetza skłoniły Bena Domenecha, redaktora naczelnego prestiżowego pisma „The Spectator World” (i nawiasem mówiąc, zięcia nieżyjącego senatora McCaina), do wyrażenia poglądu, iż nominat Trumpa do resortu sprawiedliwości to „uzależniony od seksu i narkotyków kawalek g...a” („sex trafficking drug addicted piece of shit”). Cytuję tę jedną z typowych opinii wyrażanych przez członków amerykańskiej elity w dyskusjach o nowym rządzie, aby unaocznąć skalę upadku debaty publicznej w USA. W Polsce jest kiepsko w tej materii, ale mimo wszystko nadal trudno sobie wyobrazić, aby naczelny jakiegos prestiżowego pisma publicznie przedstawił tego rodzaju pogląd na temat ministra sprawiedliwości.

Tymczasem prawdziwy polityczny problem z nominacją Gaetza brał się stąd, iż ów kongresman z Florydy nie krył się z zamiarem przeprowadzenia czystki w Ministerstwie Sprawiedliwości obejmującej

prawników, którzy w ciągu ostatnich lat wykorzystywali swoją władzę do utraty kandydatury prezydenckiej Trumpa i wsadzenia go do więzienia. Jakiś czas temu republikanie nazwali tę praktykę metodą „uzbrojonego wymiaru sprawiedliwości”, czyli takiego, który staje się narzędziem represji wobec przeciwników politycznych.

W ubiegły czwartek Matt Gaetz postanowił jednak wycofać się z ubiegania o fotel prokuratora generalnego. „Sprawa mojego zatwierdzenia niesłusznie zaczynała odwracać uwagę od kluczowej pracy nad przejściem władzy przez administrację Trump/Vance. Nie możemy tracić czasu na niepotrzebnie przedłużające się utarczki w Waszyngtonie, więc wycofam swoje nazwisko ze starań o stanowisko prokuratora generalnego. Departament Sprawiedliwości Trumpa musi być gotowy do działania już od pierwszego dnia” – wyjaśnił swoją decyzję Gaetz na platformie X.

GABBARD DO WYWIADU

Eksplodującą nienawiść wśród wrogów Trumpa wzbudziła również nominacja nowej dyrektorki amerykańskich służb wywiadowczych – byłej kongresmenki Tulsi Gabbard. Powód jest szczególnie łatwy do zrozumienia. Przez lata Gabbard była jedną z czołowych figur Partii Demokratycznej i próbowała nawet ubiegać się o nominację prezydencką, więc jest zdraczkinią partii. Jej dawna koleżanka partyjna z Florydy Debbie Wasserman skonstruowała ostatnio nawet polityków lewicy, zapewniając w telewizji MSNBC, że przyszła zwierzchniczka amerykańskich szpiegów jest... agentką rosyjskich służb. Pretekstem ma być niedysiejsze spotkanie Gabbard z syryjskim tyranem Baszarem al-Asadem, którego uważała za lepszego partnera dla Ameryki od mordowanych przezeń radykalnych islamistów. W tamtych latach Gabbard nie zyskała jednak zrozumienia Obamy dla swoich poglądów. Więc Asad, jak wiadomo, został w końcu ocalony przez Moskwę i Teheran, stając się zakładnikiem Putina i perskich ajatollahów. Sam jestem sceptyczny wobec poglądów Gabbard na Syrię i jej krwawego tyra. Ale jak widać, polski premier, uznający swego czasu za oczywistość to, iż Trump został zwerbowany przez rosyjskie służby, ma dziś w USA nieświadomych naśladowców.

KENNEDY DO RESORTU ZDROWIA

Osobną i ciekawą historią jest wojna na śmierć i życie, którą lewicowy establishment (nie tylko w Ameryce) wypowiedział nominatowi Trumpa do ministerstwa zdrowia Robertowi Kennedy'emu (temu, któremu zamordowano ojca, prokuratora generalnego, i stryja, prezydenta USA). W tym przypadku wrogie potęgi, które uruchomiła ta nominacja, nie powinny nikogo dziwić.

Owa potężna triada wrogów Kennedy'ego to *primo* – wielkie koncerny farmaceutyczne (tzw. big pharma), *secundo* – przemysł spożywczy produkujący toksyczną, wysoko przetworzoną żywność i *tertio* – uprzemysłowione wielkotowarowe rolnictwo zatruwające ziemię i produkty rolne. W Ameryce, ale przecież nie tylko tam, taka kombinacja sił wrogich wobec jakiegoś polityka z góry każe wątpić, czy w ogóle będzie on w stanie osiągnąć swoje cele. Trump mówi o Kennedy'ym: „Chce zdrowych ludzi, chce zdrowej żywności. I to robi. Będzie miał dużą szansę, żeby to zrobić, bo tego potrzebujemy”. Po czym z odcieniem ironii dodaje jednak: „Pozwolimy mu trochę poszaleć, a potem będę musiał go może powstrzymać, bo ma kilka naprawdę szalonych pomysłów, ale większość z nich jest naprawdę dobra”.

Te „dobre”, choć „szalone” pomysły Kennedy'ego to m.in. wsparcie dla amerykańskich sądów walczących z rakotwórczym roundupem (czyli toksycznym pestycydem na bazie glifosatu), którym rolnicy zalewają ziemię rolne nie tylko w Ameryce, lecz niestety także w Polsce. Oraz zahamowanie wszechwładzy nad systemami opieki zdrowotnej, jaką mają dziś koncerny big pharma, których interesy w coraz większym stopniu są gwarantowane przez demokratyczne rządy kosztem zdrowia publicznego. Kennedy zamierza przeciąć styk administracji i big pharma, a zwłaszcza masowe, korupcyjne w gruncie rzeczy zjawisko przepływania urzędników z rządowych agencji od zdrowia do największych koncernów. I sympatyzuje z przeciwnikami szczepionek, przekonany, że zwłaszcza te antycovidowe nie miały wpływu na rozwój epidemii. Dziś do

identycznych wniosków dochodzą komisje parlamentarne i eksperckie badające tę kwestię we Włoszech czy w Niemczech.

Kennedy jako amerykański minister zdrowia to być może największe wyzwanie rzucone przez Trumpa całemu obowiązującemu na Zachodzie konglomeratowi przesądów i poprawności. Minister zdrowia, który mówi, iż ludzie masowo chorują na przewlekłe i niszczące ich zdrowie choroby, bo jedzą trującą żywność, piją toksyczną, zafluorowaną wodę i są zatrutowani przez masową konsumpcję farmaceutyków jest ewenementem nie tylko w Ameryce, lecz także byłby nim w Polsce.

To trochę tak, jakby w naszym kraju tę rządową tekę objęła pewnego dnia Syl-

Kennedy jako minister zdrowia to być może największe wyzwanie rzucone przez Trumpa całemu obowiązującemu na Zachodzie konglomeratowi przesądów i poprawności

wia Spurek, autorka świetnego raportu na temat dramatycznych skutków przemysłowej hodowli zwierząt w Polsce. Ale kogoś idącego tak bardzo pod prąd tym łatwiej pokazywać antytrumpistowskiej propagandzie jako wariata, który zamierza odkręcić osiągnięcia nowoczesnego rolnictwa, szczepień i farmaceutyki. I straszyc ludzi zarówno nim, jak i stojącym za nim Trumpem. Dopiero za jakiś czas się okaże, czy i jak długo sam amerykański prezydent wytrwa we wspieraniu swojego ministra, skazanego na konfrontację z prawdziwie wielkimi interesami.

NOEM, MUSK I INNI

Tę opowieść o kampaniach przeciw trumpsowemu nominatowi można by kontynuować. Nie wspominałem dotąd np. o nowej minister spraw wewnętrznych Kristi Noem, która jako gubernator

Dakoty Południowej zasłynęła z akcji na rzecz deportacji nielegalnych imigrantów. Ale obecna debata na temat jej nominacji toczy się tylko wokół tego, iż swego czasu opisała, jak musiała na swojej farmie zastrzelić psa (o którym sama mówi: „wytrawny zabójca”) oraz niebezpiecznego kozła. Wrogowie Trumpa przestali się zatem zajmować jej planem dotyczącym migrantów, świadomi, że jest on pożądanym przez Amerykanów, ale próbują zrobić z niej krwawą fanatyczkę, która marzy tylko o strzelaniu do psów. Więc Noem jest teraz porównywana ze słynnym w USA, nieżyjącym już seryjnym mordercą Jeffreyem Dahmerem.

Jeszcze inna długa historia to kampania wrogości i wyzisk wobec Elona Muska, którego nawet europejskie media traktują teraz (ostatnio hamburski „Der Spiegel” na okładce) jako „wroga numer dwa”, największego po samym Trumpie.

Nie pamiętam, aby kiedykolwiek w przeszłości nominacje do nowego rządu amerykańskiego wzbudziły taki popłoch i taką falę wrogości. Można to tłumaczyć na dwa sposoby, które zresztą nie wykluczają się nawzajem. Sam Trump nominacjami takimi jak Gaetza, Kennedy'ego czy Hegsetha daje do zrozumienia, że podczas swojej drugiej kadencji zamierza pójść ostro pod prąd współczesnej dekadencji politycznej i kulturowej, naruszając potężne interesy i zwalczając panujące przesady. Zupełnie jakby przestał się obawiać siły wrogów, których w ten sposób napędza przeciw swojej prezydenturze. Ale Trump nie może być prezydentem USA po raz trzeci, ma więc tylko cztery lata, aby próbować odwrócić kierunek dekadentkich trendów, które osłabiają nie tylko Amerykę, lecz także cały demokratyczny Zachód. Jest i drugie wytłumaczenie. Otóż zdaje się, iż cały antytrumpsowy establishment podskórnie spodziewał się, że po czterech latach nieustannej nagonki i represji Trump jest zmęczony i będzie chciał bardziej spokojnej, umiarkowanej prezydentury. Tymczasem nominacje rządowe niczym grom z jasnego nieba uświadomiły im, iż cztery lata nagonki i represji uczyniły ze starego Trumpa politycznego hazardzistę zamierzającego stworzyć rząd wojowników. Stąd popłoch i nowa eksplozja antytrumpsowej zapalczywości. ▀



Komentarze (nie)mile widziane

Cenzura świętuje come back, szczególnie w mediach społecznościowych. Jest używana zarówno przez polityków, by zdusić sprzeciw i krytykę, jak i przez aktywistów, by podtrzymać ortodoksję jedynie słusznej doktryny



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Wicekanclerz Niemiec i minister gospodarki Robert Habeck osiągnął swój cel i został kandydatem swojej partii – Zielonych – na kanclerza. Na zjeździe w Wiesbaden w Nadrenii Północnej-Westfalii uzyskał 96,5 proc. głosów partyjnej bazy. Owacje na stojąco, skandowanie: „Robert, Robert!” i uśmiechnięte zdjęcia w towarzystwie kolegów. Pozostała już tylko triumfalna runda po studiach telewizyjnych. Tam jednak szybko padają pytania o coś zupełnie innego niż polityczne plany ewentualnego kanclerza.

Podczas gdy Habeck świętował swój triumf, policja przeszukała dom emeryta samotnie opiekującego się niepełnosprawną córką w bawarskim Bambergu. Mężczyzna w czerwcu opublikował mem na portalu X ze zdjęciem Habecka i logo firmy Schwarzkopf. Pod zdjęciem widniał napis: „Schwachkopf [kretyn] Professional”.

Emeryt został wyciągnięty z łóżka o godz. 6.00, jego mieszkanie przeszukane, a laptop zabezpieczony. Dlaczego? Bo Habeck zawiadomił prokuraturę, a ta zakwalifikowała mem jako „podżeganie do nienawiści”, ogólne zniesławienie polityka i utrudnianie mu pracy jako członka rządu federalnego. Pozwala na to par. 188 Kodeksu karnego wprowadzony w 2021 r. i złośliwie nazywany „paragrafem obrazy majestatu”. Dotyczy on polityków, a za jego złamanie grozi do trzech lat więzienia.

ZAMKNIĘTA PRZESTRZEŃ DEBATY

Nie wiadomo, co się stanie z bawarskim emerytem, ale przy okazji okazało się, że Habeck zatrudnił agencję, która sprawdzi dla niego wszystkie media społecznościowe. Jak twierdzi „Tagesspiegel”, do tej pory zaowocowało to 805 wnioskami do prokuratury. Minister spraw zagranicznych Annalena Baerbock, też z Zielonych, także nie lubi, gdy ktoś się z niej nabija – złożyła 513 takich wniosków do organów ścigania. Można by uznać, że Zieloni to partia wrażliwców, jak napisał portal „AchGut”, takich „delikatnych kwiatuśzków”. Przekaz jest jednak jasny: to, co może ci się wydawać nieszkodliwe, może wpędzić cię w poważne problemy. Lepiej nic nie pisz!

Przekonał się o tym publicysta „Die Welt” Rainer Meyer, pseudonim Don Alphonso, który w lutym 2023 r. skrytykował na platformie X wygląd Habecka. Wcześniej minister dodał na swoim koncie zdjęcie, na którym widać go z rozczochranymi włosami, nieogolonego i ubranego w niezbyt schludną bluzę. „Nie wyróżniałby się w gronie bezdomnych alkoholików na dworcu” – napisał Mayer. Minister natychmiast złożył skargę do prokuratury. Przegrał w drugiej instancji, gdyż sąd okręgowy w Monachium uznał, że wypowiedź publicysty mieści się w ramach wolności słowa. Tyle że Mayer jest dość znany za Odrą i ogłosił, że jeśli będzie trzeba, pójdzie aż do Strasburga. Kto inny miałby znacznie mniejsze szanse w starciu z politycznym majestatem.

Ściganie tzw. mowy nienawiści i politycznej przemocy na portalach społecznościowych oraz w tradycyjnych mediach stało się modne w ostatnich latach. Niemiecka policja co roku organizuje „dni akcji” przeciwko nienawiści w sieci, przeszukując mieszkania autorów „nielegalnych” postów. W każdym landzie istnieją specjalne strony internetowe prowadzone przez lokalne władze, gdzie można zgłaszać nienawiść w sieci. I jest to dość skuteczne. W 2022 r. zarejestrowano ok. 3400 takich postów, rok póź-

nie już tylko 2410. Ściganiem nienawiści w sieci zajmują się także NGO, hojnie finansowane przez państwo. Wszystkie są lewicowe.

W ten sposób powstaje zamknięta przestrzeń debaty politycznej, której ramy określa lewicowo-liberalny mainstream. Każdy, kto je kwestionuje, jest albo wrogiem demokracji, albo prawnym radykałem.

WOKE SECURITATE

„Z całych sił zwalczano wolność słowa, by wywołać wrażenie jednomyślności w społeczeństwie”. To zdanie nie jest opisem dzisiejszych czasów, tylko okresu stalinowskiego w Rosji. Pochodzi z książki „Komunizm” amerykańskiego sowietologa Richarda Pipesa. Sowietci określali takie działania jako „profilaktykę”. Winny był identyfikowany, a następnie poddawany reedukacji. Należało się wpasować w coraz ciaśniejsze ramy społeczne. Dzisiejsze „woke securitate”, jak nazwał wojowników politycznej poprawności były premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson, ściga za słowo z nie mniejszym zapalem. Dziennikarka „The Daily Telegraph” Allison Pearson stała się przedmiotem trwającego rok policyjnego śledztwa z powodu postu na platformie X, w którym krytycznie odniosła się do propalestyńskich protestów w Wielkiej Brytanii. Policja przeszukała jej dom i odmówiła podania powodu najścia ani tego, kto złożył na nią skargę. Były poseł Partii Pracy Ian Austin był przesłuchiwany przez funkcjonariuszy, bo określił Hamas jako organizację islamistyczną. Oboje mieli popełnić tzw. czyn z nienawiści niezwiązany z przestępczością (non-crime hate incydent – NCHI).

Sprawa Pearson stała się głośna i skłoniła ministra spraw wewnętrznych Chrisa Philpa do stwierdzenia, że brytyjska policja „powinna zajmować się poważnymi przestępstwami”. Tyle że łatwiej zajmować się myślozbrodniami. Według brytyjskiej policji NCHI to „incydent, który może później doprowadzić do przestępstwa”. Dlatego należy „zdusić go w zarodku”.

Szkoda, że nie da się tego zastosować w przypadku groźnych kryminalistów. We wrześniu z zakładów karnych na Wyspach Brytyjskich z powodu prze-

pełnienia wypuszczono 1,1 tys. więźniów, w tym skazanych za porwanie i gwałt. Według Unii Wolności Słowa w latach 2015–2021 w przypadku 964 197 włamań do domów nie udało się ustalić sprawców. Jednocześnie policja w Wiltshire zatrzymała dzieci, które nazwały 11-letniego kolegę „kurduplem” i „śmierdzielem”.

ŁATWIEJ ŚCIGAĆ ZA SŁOWO

Liczba NCHI zarejestrowanych w Anglii oraz Walii jest ogromna i rośnie z roku na rok. Od czasu opublikowania wytycznych College of Policing w 2014 r. przekroczyła 250 tys. Średnio 66 dziennie. Tylko w ub.r. było ich ponad 13 tys. Każdy taki incydent trafia do rozszerzonego rejestru karnego sprawcy i może mu uniemożliwić znalezienie pracy. Dlaczego jest ich aż tak dużo? Bo są to łatwe punkty, które policja może zdobyć, oprócz poklasku aktywistów różnych maści. Wewnętrzny przegląd policji wykazał ponadto, że funkcjonariusze nie potrafią odróżnić przestępstwa od NCHI oraz obu tych rzeczy od incydentu, który nie jest ani jednym, ani drugim.

29 lipca, kilka godzin po zabójstwie trzech małych dziewczynek w Southport przez Brytyjczyka pochodzącego z Ruandy, 41-letnia przedszkolanka z Northampton Lucy Connolly zamieściła w mediach społecznościowych następujący wpis: „Teraz masowe deportacje” – napisała – „podpalcie wszystkie pieprzone hotele pełne s.....ów”. Chodziło jej oczywiście o imigrantów. Wpis był obrzydliwy. Ale czy rzeczywiście zasługiwał na 2,5 roku więzienia? A na tyle została skazana, podczas gdy były prezenter BBC Huw Edwards otrzymał za ledwie sześć miesięcy w zawieszeniu za wytwarzanie i posiadanie pornografii dziecięcej.

Na wysokie kary więzienia po zamieszkach w Southport oprócz samych sprawców zamieszek zostali także skazani ci, którzy je filmowali i wrzucali te nagrania do mediów społecznościowych. Jednocześnie zabójca 14-latka w Newcastle (za pomocą maczety) spędził w więzieniu mniej niż pół roku. Isabel Vaughan-Spruce, brytyjska proliferka, została aresztowana za milczącą modlitwę przed kliniką aborcyjną

w Birmingham. Jakie było to przestępstwo? Naruszyła zakaz przebywania w „chronionej przestrzeni publicznej”. Ostatecznie kobieta wygrała proces przed sądem i otrzymała 13 tys. funtów odszkodowania.

TRUMP, MUSK I UNIA EUROPEJSKA

Oprócz krajowych przepisów wolność słowa w UE reguluje unijny Digital Services Act (DSA). Wzywa on operatorów mediów społecznościowych do podjęcia działań przeciwko „szkodliwym informacjom i działaniom”, a także „treściom wprowadzającym w błąd i oszukańczym, w tym dezinformacji”.

Przyszły wiceprezydent USA J.D. Vance szeroko relacjonował w mediach list, który właściciel platformy X Elon Musk otrzymał od unijnego komisarza ds. rynku wewnętrznego Thierry’ego Bretona. Polityk miał w nim grozić Muskowi konsekwencjami, jeśli ten z powrotem aktywuje zablokowane w 2020 r. konto Donalda Trumpa i nie będzie mu cichu cenzurował treści. „Wykorzystamy wszystkie nasze narzędzia w celu ochrony obywateli UE” – przekonywał. Musk odpowiedział komisarzowi na platformie X: „Zrób duży krok w tył i chrań się”.

Miliarder mocno poluzował kontrolę treści na swoim portalu i wydaje się, że w przyszłości będzie to jednym z głównych punktów zapalnych między Waszyngtonem a Brukselą. UE chce nałożyć na Muska dotkliwe kary finansowe, wynoszące do 6 proc. dochodów platformy X. Vance sugerował, że w przyszłości Waszyngton mógłby uzależnić amerykańskie wsparcie w ramach NATO od przestrzegania wolności słowa w Unii.

Jak będzie, czas pokaże, ale wygląda na to, że zostaniemy świadkami poważnej batalii o ramy debaty publicznej. Bo nie da się ukryć, że cenzura świętuje come back i jest używana zarówno przez polityków, by zdusić sprzeciw i krytykę, jak i przez ideologicznie zacządzonych działaczy, by podtrzymać ortodoksję jedynie słusznej doktryny. Jak napisał poseł niemieckiej FDP Wolfgang Kubicki na łamach magazynu „Cicero”: „Trucizna nieufności i strachu trwale przeniknęła do debaty publicznej”. 



MAKE AMERICA
GREAT AGAIN

Donaldzie, uwważaj!

A więc stało się to, co przewidywali różni obserwatorzy amerykańskich wyborów prezydenckich – zwyciężył Donald Trump. Ze względu na silną pozycję USA w globalnej gospodarce i polityce jest to wydarzenie ważne dla całego świata. Warto się zastanowić, co oznacza to dla nas, żyjących w Europie

Trump i jego doradcy nie ukrywają, że zamierzają odbudować zdolności produkcyjne amerykańskiego przemysłu. W tym celu rozważają wprowadzenie ceł na import do USA (40-proc. na produkty z Chin i 10-proc. na wyroby z pozostałych państw świata). Na amerykańskim rynku pojawiają się więc droższe towary, a to będzie oznaczać, że dla biedniejszej części społeczeństwa zabraknie pewnych wyrobów.

Uruchomienie własnej produkcji wielu rzeczy, które dotychczas pochodziły z importu, nie będzie łatwe w USA. Wiele lat temu w ramach prochińskiego manewru Henry'ego Kissingera doszło bowiem do przeniesienia produkcji przemysłowej z USA do Chin. Wiele fabryk zostało po prostu zamkniętych. Odbudowanie tych zdolności produkcyjnych, które przez lata nie działały, nie będzie zatem proste i szybkie. Nie jest bowiem prawdą, że amerykański przemysł dysponuje wolnymi mocami produkcyjnymi w tak wielu dziedzinach.

Dziś w USA po prostu już nie ma wielu gałęzi przemysłu. Na nowych cłach straci amerykański konsument, zwłaszcza ten, który należy do warstwy ludzi słabo uposażonych. Chiny będą natomiast zmuszone przesunąć na inne rynki strumienie wyrobów eksportowanych do USA, czyli m.in. do państw Unii Europejskiej. Kraje Wspólnoty znajdują się pod silną presją konkurencji chińskich produktów. Wiele firm w Europie, sprzedających swe towary w USA, ucierpi, czyli będzie się musiało pogodzić z mniejszym zbytem.

Nowe bariery w handlu oznaczają zatem kłopot dla wielu producentów w Europie i ograniczenie koniunktury. Nie wiemy, czy i jak bardzo gospodarka USA zyska na cłach wprowadzonych przez Trumpa, ale to nie nasz problem. Jako Europa będziemy natomiast ponosić konsekwencje utrudnionego dostępu do rynku amerykańskiego. Reasumując, Trump zamierza napisać nowy rozdział w sporze, który od 300 lat toczą zwolennicy protekcyjizmu ze zwolennikami wolnego handlu.



JAN PARYS

Cła to nie wszystkie niespodzianki, które szykuje nowa amerykańska administracja. Trump zapowiedział twardą politykę migracyjną. Zamierza także odblokować wydobycie paliw kopalnych, by obniżyć ich ceny w USA i na świecie. Spadek cen surowców energetycznych może złagodzić schłodzenie koniunktury wywołane amerykańskim protekcyjizmem.

Obie wymienione dziedziny, czyli ekologia i migracja, były fundamentem dotychczasowej polityki UE. Teraz państwa Unii znajdą się w zupełnie nowej sytuacji. Nie musimy naśladować nowych priorytetów USA, lecz trudno ignorować to, że bliski partner gospodarczy i polityczny kreuje nową politykę. Na tę zmianę trzeba jakoś zareagować i nie muszą to być protesty, bo nie na tym polega konstruktywna reakcja na wydarzenia. Trzeba myśleć o tym, jak osiągać korzyści, a nie o odwecie.

W OBRONIE CYWILIZACJI ZACHODU

Objęcie władzy przez Trumpa oznacza nie tylko istotne zmiany dla globalnej gospodarki. Wiele wskazuje, że zmieni się także polityka zagraniczna USA, np. wobec Rosji. Taka zmiana bezpośrednio dotyczy też państw UE. W trakcie kampanii wyborczej Trump wiele razy mówił, że zamierza szybko zakończyć wojnę na Ukrainie. Jest oczywistą sprawą, iż ta obietnica spodobała się wielu ludziom w Stanach i Europie, bo każdy normalny człowiek woli pokój niż wojnę. Nie jestem jednak pewien, czy zwolennicy szybkiego zawarcia pokoju pamiętają, o co jest ta wojna. Wprawdzie toczy się na Ukrainie, lecz nie dotyczy tylko niej. „Daj mi

Europę” – apelował Jelcyn do Clintona na szczycie w Stambule w 1999 r. Te słowa pokazują pewne cele stałe w rosyjskiej polityce. Liderom na Kremlu idzie zatem o to, by przekreślić sukces Reagana, który wygrał zimną wojnę.

Rozpoczynając wojnę, Rosja nie ukrywała, że nie chce jedynie jakiegoś kawałka ukraińskiej ziemi. Idzie jej bowiem o zmianę całej architektury bezpieczeństwa w Europie zbudowanej po zakończeniu zimnej wojny. Atak na Ukrainę to narzędzie, by wymusić geopolityczne zmiany na kontynencie i w Sojuszu Północnoatlantyckim. Każdy zachodni polityk powinien zatem pamiętać, że cele Putina nie są ograniczone do Ukrainy. Może być mu obojętny los jej wschodnich kresów, a państwa zachodnie nie mają żadnych sojuszy z Ukrainą. Z formalnego punktu widzenia nie ma zatem konieczności, by dalej pomagały Kijowowi. Można zaraz zrobić deal na zasadzie: ukraińska ziemia za pokój z Rosją. Jednak od polityków, zwłaszcza mocarstw takich jak USA, wymagamy czegoś więcej niż reakcji na bieżące wydarzenia. Oczekujemy myślenia i działania, które zapewni trwały i korzystny dla Zachodu układ sił militarnych i gospodarczych. Nie zapewnią tego doraźne rozwiązania polityczne korzystne dla agresora.

Jak wiadomo, w Europie nie wszyscy politycy dziś identyfikują się z interesami zachodniej cywilizacji, która ma trwałych konkurentów w postaci Rosji, Chin i państw muzułmańskich. Wiele z nich uważa, że więcej korzyści zyska, prowadząc bilateralną politykę ustępstw wobec rywali. Są więc gotowi zawrzeć rozejm z Rosją, głosząc, że zawierają pokój. W rzeczywistości będzie to tymczasowe przerwanie działań wojennych. Jednak w mediach przedstawia to jako swój wielki sukces. Dla niektórych polityków coś takiego jak zachodnia cywilizacja i jej bezpieczeństwo wręcz nie istnieje. Wydaje się, że zwłaszcza teraz, kiedy integruje się blok państw tzw. Południa, zwany BRICS, w interesie mieszkańców USA i Europy jest wrócić

do myślenia i działania w kategoriach interesów całej cywilizacji zachodniej. Czy politycy w Europie, czy osoby odpowiedzialne za politykę UE, są do tego zdolni? Czas pozwoli szybko odpowiedzieć na to pytanie.

W listopadzie 1990 r. mocarstwa skonfliktowane podczas zimnej wojny podpisały tzw. Paryską Kartę Nowej Europy. W związku z tym w czasie ostatnich 30 lat mało kto wierzył, że wróci epoka wojen. Przyzwyczajono się do rozwiązywania sporów w pokojowy sposób. Wielu polityków, zwłaszcza w Europie Zachodniej, uznało, że Rosja nie ma agresywnych zamiarów i stanowi już część normalnego świata. Dziś tym politykom trudno sobie wyobrazić budowę bezpieczeństwa w Europie bez udziału Rosji. Próby przekonywania Putina do zaprzestania agresji, które podejmowali Macron i Scholz w 2022 i 2023 r. były bezowocne i są dowodem ich naiwności. Świadczą o braku właściwej diagnozy przyczyn rosyjskiej agresji. Putina nie interesuje, do kogo należy to czy inne ukraińskie miasto lub wioska. Tak naprawdę idzie mu o coś więcej.

Mam nadzieję, że teraz, kiedy zakończyła się kampania wyborcza, Trump i jego doradcy będą pamiętali, że wojna na Ukrainie dotyczy bezpieczeństwa całego Zachodu. Tym samym jej właściwe rozstrzygnięcie ma wpływ nie tylko na sytuację Europy, lecz także na bezpieczeństwo USA. Każdy metr ukraińskiej ziemi, który zatrzyma Rosja w wyniku wojny, będzie bardzo ważnym sygnałem. Dla Chin to wiadomość, że Zachód nie chce walczyć o swoje interesy. Dla Rosji – że Zachód jest słaby i ustępuje przed siłą. Dla Europy – że USA wyżej ceni relacje z Rosją niż z innymi państwami, a w obliczu agresji Kremla trudno liczyć na amerykańską pomoc. To byłby sygnał dla wszystkich tzw. państw rewizjonistycznych, których celem jest zmiana granic, takich jak Rosja, Chiny, Iran, Korea Północna i innych, że agresja się opłaca, że siłą można zmieniać granice państw. Oznaczałoby to, że Zachód jest bezradny wobec agresji, bo żaden potencjał nie wystarczy, kiedy brakuje woli walki

i decyzyjnej sprawczości. Gdyby doszło do ustępstw wobec Rosji na Ukrainie, w Europie nowe argumenty zyskają ci politycy, którzy od lat przekonują, iż lepiej dogadać się Moskwą, niż liczyć na sojusz z USA. Czy upowszechnienie takiej postawy na Starym Kontynencie jest w interesie USA?

ZATRZYMAĆ ROSJĘ

Kiedy szukamy rozwiązania problemu wojny na Ukrainie, warto odróżnić rozejm od pokoju. Rozejm to chwilowe zawieszenie broni i zapowiedź dalszej wojny w przyszłości. Pokój to sytuacja, w której obie strony godzą się na poszanowanie wspólnej granicy. Czy ro-

Rosja musi pojąć, że nie wygra, że nigdzie na świecie nie będzie zmieniać granic siłą, że Zachód nie pozwoli, by nim rządziła

zejm będzie rozwiązaniem obecnego konfliktu zbrojnego? Na pewno nie. Pozwoli tylko na zamrożenie go oraz ogłoszenie pozornego i chwilowego sukcesu, dzięki czemu będzie można oszukiwać opinię publiczną, że skończyliśmy wojnę, gdyż walki ustały. Tymczasem w ten sposób tylko odwołujemy dalsze działania wojenne, czyli pogłębiany problem. Deal zawarty z Kremlu za chwilowy brak dalszej agresji to nic innego jak kapitulacja. Wojna, którą Rosja prowadzi z Zachodem na Ukrainie, jak każdy poważny konflikt zbrojny potrzebuje rozstrzygnięcia militarnego. Moskwa musi pojąć, że nie wygra, że nigdzie na świecie nie będzie zmieniać granic siłą, że Zachód nie pozwoli, by nim rządziła.

Wiadomo, że nie da się wygrać wojny, walcząc tylko na linii frontu. Rozumiem obawy Joe Bidena i Antony'ego Blinkena przed poszerzaniem obszarów strefy starcia militarnego. Nikt na Zachodzie nie chce pełnoskalowej

wojny z Rosją. Jeżeli dziś nie zamierzamy jednak walczyć z Rosjanami na Ukrainie, to znaczy, że prędzej czy później ustąpimy im także gdzie indziej. A rewizjonizm terytorialny Moskwy trzeba zatrzymać.

Jeżeli chcemy, by Zachód wygrał konfrontację z Rosją, Ukraina musi otrzymać środki umożliwiające uderzenia na rosyjskie pozycje w pasie kilkuset kilometrów jej terytorium. Nie musimy mieć skrupułów. Rosja od dawna uderza na całe terytorium Ukrainy. Zgodnie z prawem międzynarodowym Kijów ma prawo do obrony, a to oznacza także symetryczną odpowiedź.

Aby w Moskwie zrozumiano, że Zachód nie ustąpi przed agresją, konieczne są ukraińskie uderzenia na rosyjskie obiekty wojskowe i infrastrukturę krytyczną. Bez tego skazujemy Europę na polityczną i militarną klęskę. Nie da się wygrać wojny, walcząc tylko na linii frontu. Trzeba uderzać również w zaplecze agresora. Rozumem, że kogoś na Zachodzie nie obchodzi los wschodniej Ukrainy, jednak sukcesy terytorialne Rosji będą klęską nie tylko Kijowa, lecz także całego obozu państw zachodnich.

Dużego i poważnego problemu, czyli relacji Zachodu z Rosją, nie da się rozwiązać, dzieląc go na drobne kwestie, takie jak front na Ukrainie, w Syrii, na Litwie, w Finlandii czy Polsce. Każdy, kto raz ustąpi szantażyście, może być pewien, że ten wkrótce przyjdzie po nowy haracz. Eufemizmy typu redukcji drabiny eskalacyjnej nie zastąpią siły, których użycie jest konieczne, by obronić geopolityczne *status quo*. A to jest cel państw obozu zachodniego.

* * *

Kamala Harris, czyli demokraci w USA, przegrali. Mam nadzieję, że razem z nimi do przeszłości odchodzi polityka lęku i uległości wobec Rosji. Mam nadzieję, że teraz odstraszenie będzie dla USA ważniejsze niż eksport liberalnego modelu demokracji. Jednak na wszelki wypadek postanowiłem opublikować obawy, jakie mam w związku z planami nowej republikańskiej administracji. Dlatego Mr Trump, be careful. 



Kierunek: niepodległość

194 lata temu w Warszawie wybuchło powstanie listopadowe.

Był to jeden z największych zrywów niepodległościowych w dziejach Polski.

Jak po latach powinniśmy je oceniać?



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Wnocy z 29 na 30 listopada 1830 r. grupa młodych wojskowych z tajnego sprysiężenia Wysockiego wszczęła bunt w Szkole Podchorążych w warszawskich Łazienkach Królewskich. Następnego dnia z pomocą ludności cywilnej stolica została wyzwolona z rąk Rosjan. Powstanie było skierowane przeciwko

działaniom cara, nieprzestrzeganiu konstytucji i planowanemu poborowi do wojska. Po przejęciu kontroli nad stolicą rozpoczęły się pertraktacje z Rosją, które nie przyniosły rezultatu. Wobec tego 25 stycznia 1831 r. obradujący na Zamku Królewskim w Warszawie Sejm Królestwa Polskiego uchwalił de-tronizację Mikołaja I Romanowa. 5 lutego 1831 r. rosyjska armia przekroczyła granice Królestwa, a 7 lutego doszło do pierwszych starć zbrojnych.

Ok. 140 tys. polskich żołnierzy stanęło do walki z największą potęgą militarną Europy, odnosząc w niej poważne sukcesy. Marsz Rosjan na Warszawę powstrzymała bitwa pod Olszynką Grochowską 25 lutego

1831 r., po której dyktatorem powstania został gen. Jan Skrzynecki. Dowództwo nie wykorzystało jednak zwycięstw nad Rosjanami w bitwach pod Puławami, Dębem Wielkim, Wawrem czy Iganiami do podjęcia śmielszej inicjatywy w tej wojnie. Punktem zwrotnym zrywu stała się klęska powstańców pod Ostrołęką 26 maja 1831 r. 8 września ostatecznie skapitulowała Warszawa, 9 października twierdza Modlin, a 21 października twierdza Zamość. 5 października w okolicach Brodnicy ostatni duży, liczący ponad 20 tys. żołnierzy oddział polskiej armii przekroczył granicę z Prusami, gdzie został internowany. Powstanie upadło.

KONIEC AUTONOMII

Za próbę odzyskania niepodległości Polacy musieli zapłacić wysoką cenę. Car Mikołaj I zlikwidował autonomię Królestwa, unieważnił konstytucję, zastępując ją statutem organicznym. Zniesione zostały polski sejm, armia i budżet oraz odrębna koronacja w Warszawie na polskiego króla. Zamknięto uniwersytety w Warszawie i Wilnie, słynne Liceum Krzemienieckie, a w ciągu najbliższych lat po stłumieniu powstania również wszystkie gimnazja w Królestwie Polskim. W szkołach ograniczono naukę języka polskiego i historii, a na Ziemiach Zabrzanych szkolnictwo całkowicie zrusyfikowano. Ponadto do Petersburga wywieziono wiele cennych zbiorów przechowywanych dotychczas w instytucjach kultury i nauki.

Surowe represje dotknęły także powstańców. Tysiące polskich żołnierzy zostało karnie wcielonych do armii rosyjskiej i następnie wysłanych do walki z Czerkiesami na Kaukazie. Przywódców i czołowych uczestników zrywu czekały wyroki śmierci, dożywotnie więzienia, zesłania na Syberię oraz konfiskaty majątków. Wywłaszczenie majątków ziemskich przybrało szczególnie wielkie rozmiary na Kresach, skąd przesiedlono w głąb Rosji ok. 90 tys. rodzin szlacheckich. Aby uniknąć prześladowań, tysiące powstańców zdecydowało się opuścić ojczyznę, udając się na emigrację. Większość znalazła schronienie we Francji, część trafiła do Wielkiej Brytanii, Belgii, Niemiec i Stanów Zjednoczonych.

ZAMKNIĘTE KOŚCIOŁY

Pamięć o powstaniu jednak pozostała. Kolejne grupy konspiracyjne (powstające w dużej mierze z inicjatywy Polaków pozostających na emigracji) wspominały tamten zryw i przygotowywały się do następnego. Początek lat 60. XIX w. to okres wielu manifestacji patriotycznych w Królestwie Polskim. Poprzedzał je pogłębiający się proces radykalizacji postaw politycznych.

Pierwszą taką manifestacją był pogrzeb generałowej Katarzyny Sowińskiej, wdowy po Józefie Sowińskim – bohaterze powstania listopadowego, który odbył się 11 czerwca 1860 r. na war-

szawskim cmentarzu kalwińskim. Choć uroczystość miała spokojny przebieg, czuć było jednak, że nastroje społeczne coraz bardziej się radykalizują. 25 lutego 1861 r. rosyjskie wojsko rozpędziło burzliwą demonstrację zorganizowaną w 30. rocznicę bitwy grochowskiej. Dwa dni później podczas zjazdu Towarzystwa Rolniczego w Warszawie Józef Narzowski, jeden z jego uczestników, zamówił nabożeństwo żałobne w kościele karmelitów na Lesznie, a po mszy rzucił hasło pochodu w kierunku Zamku Królewskiego z żądaniem uwolnienia więźniów politycznych. Po spotkaniu tłumu manifestantów z kozakami Rosjanie otworzyli ogień. Kilka osób odniosło rany, a pięć zostało zabitych.

Zorganizowane 2 marca 1861 r. nabożeństwo w kościele św. Krzyża, procesja żałobna na cmentarz Powązkowski oraz pogrzeb poległych były kolejną wielką, patriotyczną demonstracją relacjonowaną przez wszystkie warszawskie dzienniki. Ku zaskoczeniu przebieg wydarzeń był bardzo spokojny. Niestety zorganizowana następnego dnia manifestacja zakończyła się masakrą i śmiercią ponad 100 osób.

Te dramatyczne wydarzenia spowodowały, że Kościół katolicki ogłosił żałobę narodową, co zapoczątkowało powszechne noszenie oznak żałobnych w postaci ubiorów i symboli narodowych. Nadal organizowano msze za pomyślność ojczyzny zamawiane przez różne środowiska i zawody, bojkotowano oficjalne uroczystości itp. W wielu miejscowościach Królestwa, Litwy, Rusi i Galicji manifestowano także jedność Rzeczypospolitej Obojga Narodów. 10 października 1861 r. z udziałem wielu tysięcy ludzi odbył się w Warszawie demonstracyjny pogrzeb zmarłego kilka dni wcześniej abp. warszawskiego Antoniego Melchiora Fijałkowskiego, żarliwego patrioty, który przewodniczył uroczystościom pogrzebowym pięciu poległych. Manifestacje patriotyczne rozpoczęte w Warszawie, przeniosły się również na prowincję. Po uroczystych mszach upamiętniających rocznice wydarzeń z czasów powstania listopadowego czy nabożeństwach żałobnych rozpoczynały się pochody z narodowymi sztandarami, podczas których śpiewano patriotyczne pieśni.

W celu spacyfikowania Polaków Rosjanie decyzją namiestnika 14 października 1861 r. zdecydowali się wprowadzić stan wojenny. Od tego momentu wszystkie sprawy o udział w nabożeństwach i demonstracjach patriotycznych podlegały sądom wojennym. 15 października mimo zakazów warszawiacy wzięli udział w obchodach rocznicy śmierci Tadeusza Kościuszki. Rosyjskie wojska kolejny raz spacyfikowały ludność cywilną, tym razem zebraną w katedrze św. Jana. Na znak protestu przeciwko aresztowaniu wierznych w świątyni, do której wtargnęło wojsko, administratorzy diecezji nakazali zamknięcie wszystkich kościołów i kaplic w Warszawie. Zostały one otwarte w następnym roku. Z kolei stan wojenny został zniesiony w grudniu 1862 r., a więc tuż przed wybuchem powstania styczniowego.

32 LATA PÓŹNIEJ

22 stycznia 1863 r. w Królestwie Polskim i 1 lutego 1863 r. na Litwie wybuchł kolejny narodowowyzwoleńczy zryw. Od końca powstania listopadowego minęły nieco ponad 32 lata. Walki partyzanckie trwały do jesieni 1864 r. Zginęło kilkadziesiąt tysięcy powstańców, drugie tyle zesłano na Syberię, a na polskie społeczeństwo spadła kolejna fala represji. Mimo militarnej klęski powstanie styczniowe osiągnęło część stawianych przez spiskowców celów politycznych, zwłaszcza tych długofalowych. Zahamowana została polityka ugody wobec rosyjskiego zaborcy popierana przez część elit Królestwa i reprezentowana przez hr. Aleksandra Wielopolskiego. W wyniku brutalnego stłumienia powstania i zaostrożenia represji ugodowa postawa wobec zaborcy straciła uznanie w społeczeństwie.

Powstanie przyczyniło się do korzystniejszego niż w dwóch pozostałych zaborach i w etnicznej Rosji uwłaszczenia chłopów, zarówno w Królestwie, jak i na Ziemiach Zabrzanych. To z kolei wpłynęło na gwałtowny wyzł demograficzny w końcowych trzech dekadach XIX w., nie mniej potężny wzrost produkcji przemysłowej, urbanizacji i podniesienie się stopy życiowej. Mimo intensywnej rusyfikacji w polskim społeczeństwie nastąpił także bujny rozwój



Ok. 140 tys. polskich żołnierzy stanęło do walki z największą potęgą militarną Europy, odnosząc w niej poważne sukcesy. Marsz Rosjan na Warszawę powstrzymała bitwa pod Olszynką Grochowską 25 lutego 1831 r.

czasopiśmiennictwa, literatury pięknej, teatru, malarstwa. Równie istotny dla sprawy polskiej niepodległości był fakt, że mimo usilnej akcji wynaradawiania, polskie czytelnictwo zaczęło się szerzyć na wsi.

Po upadku powstania znaczna część działaczy niepodległościowych zwróciła się ku pracy organicznej, która wkrótce zaczęła przynosić efekty. Pamięć o powstańcach była przekazywana w społeczeństwie, stała się ważnym motywem w literaturze (warto wspomnieć o dziełach Bolesława Prusa, Elizy Orzeszkowej czy Stefana Żeromskiego) i malarstwie (Artur Grottger, Jan Matejko, Maksymilian Gierymski). Kilkadziesiąt lat później w bój ruszyło pokolenie wychowane na pamięci o powstańcach. W 1918 r. ci ludzie wywalczyli niepodległość, o którą musieli się bić przez kolejne trzy lata.

MIT ZAŁOŻYCIELSKI II RP

II RP doskonale wiedziała, jak wiele zawdzięczała uczestnikom powstań narodowych. Dlatego dokładała wszelkich starań, żeby godnie uczcić poległych oraz zaopiekować się tymi, którzy dożyli odzyskania niepodległości. Już 21 stycznia 1919 r., a więc w trakcie walk o kształt nowych granic Polski, Józef Piłsudski podpisał rozkaz specjalny, zgodnie z którym weterani powstania styczniowego uzyskali uprawnienia żołnierzy Wojska Polskiego. Z kolei 2 sierpnia 1919 r. została uchwalona ustawa o stałej pensji dla powstańców listopadowych i styczniowych. Przepisy te dotyczyły przede wszystkim

powstańców styczniowych, gdyż ostatni uczestnik powstania listopadowego Łukasz Przybylski zmarł 21 lutego 1922 r. w miejscowości Lipno.

Na pamiątkę grupy podchorążych, która pod wodzą Piotra Wysockiego wzniciła bunt w 1830 r., 29 listopada ustanowiono Dniem Podchorążego. Po raz pierwszy to święto obchodzono jeszcze pod zaborami w 1908 r. w konspiracyjnej Szkole Podchorążych we Lwowie. Pod koniec I wojny światowej w 1917 r. tradycję kontynuowała Szkoła Aspirantów Oficerskich w Ostrowi Mazowieckiej. Następne obchody w niezwykle uroczysty sposób zorganizowano już po odzyskaniu niepodległości w 1918 r.

Upamiętnianie powstania styczniowego także ma swój początek w czasie zaborów. Pierwsze uroczyste obchody tego zrywu odbyły się w 1903 r. we Lwowie. Później tę rocznicę obchodzono także w innych miastach i miasteczkach Galicji, m.in. w Boryslawiu, Brodach, Cieszynie, Drohobyczu, Krakowie, Przemyślu, Stanisławowie i Tarnowie.

W dwudziestolecie międzywojennym hucznych obchodów doczekały się oba zrywy z okresu zaborów. Pod koniec listopada podchorążowie w galowych mundurach maszerowali z bronią i pochodniami ulicami Warszawy od Łazienek do Grobu Nieznanego Żołnierza lub Arsenału. W trakcie przemarszu jeden pododdział wyłączał się z kolumny i szedł do Belwederu. Do dziedziniec do przyszłych oficerów wychodził marsz. Józef Piłsudski, a po jego śmierci prezydent Ignacy Mościcki. Przyjmowali oni uroczysty meldunek i składali podchorążym życzenia. Powstańcy styczniowi

byli obecni na wszystkich większych uroczystościach państwowych, otaczani powszechną czcią i szacunkiem. Z wielkim rozmachem zorganizowane zostały zwłaszcza obchody 70. rocznicy wybuchu powstania styczniowego w 1933 r.

POWSTANIA DZISIAJ

Do dziś trwają spory wśród historyków co do oceny powstań, zarówno listopadowego, jak i styczniowego. Jedni negują ich szanse na zwycięstwo i patrzą na zryw przyzmat bardzo dotkliwych represji carskich, które spadły po ich stłumieniu na ziemię zaboru rosyjskiego. Drudzy z kolei uważają, że należy spojrzeć na nie z szerszej perspektywy, traktując powstania jako kolejne kroki wytyczające drogę Polaków prowadzącą do odzyskania niepodległości. W ten sposób przekreślona została filozofia kompromisu z Rosją, bo nie było na niego miejsca.

To na powstaniach listopadowym i styczniowym wzorowały się kolejne pokolenia, to one obrosły legendą wspomnianą przez dziesięciolecia i motywującą ludzi do działania na rzecz odzyskania własnego suwerennego państwa. Pamięć o powstańcach była kultywowana także w okresie komunistycznego zniewolenia, a kolejne protesty przeciwko czerwonej władzy odwoływały się właśnie do tej powstańczej, niepodległościowej tradycji. W dzisiejszych czasach wciąż niezbędna jest pamięć o powstaniach, ich celach, przebiegu i uczestnikach. Spuścizna tamtych zrywów ukształtowała bowiem naród polski i powinna wyznaczać nam kierunek działania. Ku wielkiej i niezależnej Polsce.

Trudno o dobrego Niemca

„Król Olch” Magdaleny Ogórek to poruszająca historia zła, które nie zawsze przegrywa, i dobra, które wcale nie triumfuje

Ta opowieść jest jak najlepsze westerny. Dobro i zło są w nich wyraźnie oddzielone. Ale puenta jest jak z antywesternu, gdzie jednak się mieszają. W „Królu Olch” Magdaleny Ogórek zło wprawdzie nie triumfuje, ale też jednoznacznie nie przegrywa. Z kolei dobro wygrywa indywidualnie, ale nie bezwzględnie. Po stronie zła mamy Ottona von Wächtera (bohatera dwóch wcześniejszych książek Ogórek: „Lista Wächtera” oraz „Kat kłania się i zabija”), po stronie dobra Wilma Hosenfelda. Wächter to SS-Gruppenführer, gubernator dystryktu krakowskiego Generalnego Gubernatorstwa oraz dystryktu Galicja, zbrodniarz wojenny i złodziej polskich dóbr kultury. Hosenfeld to kapitan Wehrmachtu, ale przede wszystkim głęboko wierzący katolik, mąż, ojciec, człowiek. W książce Ogórek niebywale są sceny, gdy Hosenfeld wchodzi w mundurze do polskich kościołów, przyjmuje komunię. Modli się razem z Polakami, w żaden sposób nie daje im odczuć, że czuje się kimś lepszym. Jeśli coś demonstruje, to pokorę.

Zupełnie inny jest Wächter, który ma w sobie wręcz zwierzęcą wolę przetrwania za wszelką cenę. Ten nigdy nie wzbrania się przed demonstrowaniem przynależności do rasy panów, a nawet do jej szpicy. Jest bezwzględny i cyniczny, wręcz zachłanny w tym, by nakraść jak najwięcej cennych dzieł sztuki. On nawet nie był koneserem sztuki, podobnie jak Hermann Göring, bo prawdziwy koneser nie może być barbarzyńcą. Zrabowane dzieła sztuki, czy raczej wspólnota grabieżców, później pomagają Wächterowi, gdy szlakiem zbrodniarzy uciekających najczęściej do Ameryki Południowej jako Otto Reinhardt dociera do Rzymu. Trafia do szpitala, gdzie wydiera losowi każdy kolejny dzień życia, jakby mu się to należało. Ale 13 lipca 1949 r. nadchodzi kres. W dziwacznych okolicznościach: „Poszukiwany przez wywiady trzech państw zbrodniarz wojenny Otto von Wächter zmarł w ramionach austriackiego biskupa będącego amerykańskim szpiegiem. Ten biskup to Alois Hudal”.

Wilm Hosenfeld powinien żyć, i to godnie, bo bez wątpliwości na to zasłużył, ale nie było mu to dane, gdyż wpadł w tryby drugiego obok nazistowskiego niemieckiego totalitaryzmu – tego sowieckiego. A Sowieci nie obchodziło, czy ktoś jest dobry, bo nie patrzyli na losy ludzi indywi-

dualnie. Zanim trafił do niewoli, pośród tysięcy niemieckich zbrodniarzy w Warszawie czasów wojny Hosenfeld był jak zagubione dziecko. Wiemy o tym z jego dzienników wydanych w Niemczech dopiero w 2004 r. W sierpniu 1944 r. notował: „Na płonących ulicach rozgrywają się sceny rozdzierające serce. [...] Wczoraj zabijano tylko mężczyzn, dzień wcześniej również kobiety i dzieci. [...] Pogodziłem się z myślą, że nie wydam się już z Warszawy”. Nie mylił się: w styczniu 1945 r. trafił do sowieckiej niewoli. Przenoszono go do kolejnych obozów dla jeńców wojennych w Sowietach. W lipcu 1947 r. doznał wylewu krwi do mózgu. W 1950 r. został skazany na 25 lat więzienia za zbrodnie wojenne, których nie popełnił. I wtedy starają się go ratować ci, których on ocalił, jak słynny mistrz fortepianu Władysław Szpilman. Udał się do Jakuba Bermana, który, gdyby chciał, mógł w komunistycznej Polsce wszystko. Ten odparł, że nic nie da się zrobić.

Hosenfelda chciało ocalić wielu ludzi, gdyż to ten dobry Niemiec ich uratował. „W Warszawie siedziba Hosenfelda przy stadionie Legii staje się powoli miejscem przetrwania dla Polaków i Żydów, którym Niemiec pomaga wyrobić fałszywe dokumenty i zatrudnia w szkole sportowej Wehrmachtu pod nową tożsamością” – rekonstruuje ten czas Ogórek. Np. Leona Warma, uciekiniera z pociągu jadącego do obozu zagłady w Treblince. Już 29 marca 1944 r. 27 uratowanych przekazało Hosenfeldowi dyplom dziękczynny. Wzruszył on córkę Wilma Jordine Krejci, która późno zaczęła poznawać losy ojca z czasów wojny. O Hosenfeldzie świadczą jego dzieci, jakże inne od syna Wächtera Horsta. Najstarszy syn Helmut został lekarzem. Podobnie jak córka Jorinde i syn Detlev. Córka Annemone została pielęgniarką, a jej siostra Ute psychologiem.

W czerwcu i lipcu 1952 r. Hosenfeld doznał dwóch kolejnych wylewów. W obozowym szpitalu męczył się jeszcze miesiąc. Zmarł 13 sierpnia 1952 r. W 2007 r. na zaproszenie prezydenta Lecha Kaczyńskiego do Warszawy przyjechali córka Jorinde i syn Detlev. Odebrali Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski przyznany pośmiertnie ich ojcu. Dwa lata później został Sprawiedliwym wśród Narodów Świata. Dzieci nigdy nie odnalazły grobu swego ojca, człowieka, który stanął po stronie dobra w czasach, gdy tak trudno było o dobrego Niemca.

Stanisław Janecki



K

ULTURY

*Obejrzyć poruszającą
kreację Marcina
Dorocińskiego w filmie
„Minghun” Jana P.
Matuszyńskiego?
Koniecznie! I jeszcze
zobaczyć, jak Maciej
Zakościelny tworzy
zupełnie nową
jakość – w tańcu
i swoim artystycznym
wizerunku*

Dziękuję,
że byłaś



Marcin Dorociński (rocznik 1973) i Maciej Zakościelny (rocznik 1980). Oba od lat kochają kamery i widzowie. Dziś wiemy, że obaj potrafią nie tylko oczarować, lecz także zafascynować odbiorcami, przykuć ich uwagę skupioną do środka ekspresją, ścisnąć za gardło, by na koniec pozwolić wyjść ze spiętrzenia emocji z przeświadczeniem, że przeżyło się coś wyjątkowo poruszającego i zarazem uwalniającego.

POZA SKALĄ

Obaj tworząc swoje najnowsze kreacje, dotarli do najwyższego emocjonalnego poziomu i nie licząc podziwu, a nawet entuzjazmu widzów, nie zostali za to



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

odpowiednio docenieni. „Minghun” Jana P. Matuszyńskiego wyjechał z gdyńskiego festiwalu bez nagród, w tym bez tej, która wydawała się oczywistością – dla Marcina Dorocińskiego.

Maciej Zakościelny – największe zaskoczenie, a podczas kilku występów wręcz objawienie 15. edycji „Dancing with the Stars. Tańca z Gwiazdami” – zakończył show na trzecim miejscu. I choć zestawianie kinowego filmu z króciutkimi choreograficznymi układami może się wydawać karkołomne, niech o wartości tych drugich zaświadczą trzy występy (które można i warto odnaleźć w internecie): tango „na krzesłach”, taniec współczesny do utworu „Ne rozumiju” Vixena i finałowy freestyle.

Te minispektakle czy taneczno-aktorskie etiudy przejdą do historii nie tylko tego show, bo koncepcyjnie i wykonawczo wyszły daleko poza skalę podobnych produkcji. Dla Macieja Zakościelnego stały się szansą na przełom. Również fizycznie aktor daleko odszedł od dawnego wizerunku: pełnego młodzieńczego uroku polskiego Brada Pitta, co dało mu nowy, mocny punkt zawodowego podparcia. I odbicia.

WEWNĘTRZNE EKSPLOZJE

Podobnie spektakularnego przesilenia nie doświadczył w ostatnim czasie – nieprzerwanie pnący się – Marcin Dorociński. Pokazujący swoje możliwości i poszerzający aktorskie doświadczenia zarówno w produkcjach polskich, jak i zagranicznych. Od czasu głośnego „Gambitu królowej” (2020) przechodzący przez plany międzynarodowych hitów, takich jak „Wikingowie: Walhalla” czy „Mission: Impossible – Dead Reckoning. Part One”. A także wchodzący w mroczny świat „Erynii” czy związki z „Niebezpiecznymi dzentelmenami”, zostawiając również przestrzeń na zdystansowaną do własnego wizerunku komediową odsłonę m.in. w kinowych „Teściach” czy kontynuacji przeboju „Vinci”. Na szczęście w tej rozpiętości aktorskich zadań przyjmuje też takie wyzwania, jak rola w filmie „Minghun”.

O tym, że przy minimalnej ekspresji potrafi wewnętrznym eksplozować ukrytymi głęboko przeżyciami, wiedzieliśmy już dzięki wcześniejszym rolom. M.in. w takich obrazach, jak „Róża” Smarzowskiego, „Obława” Krzyształowicza, „Miłość” Fabickiego czy „Lęk wysokości” Konopki, by wymienić tylko niektóre z naprawdę długiej listy.

„Minghun” to zamknięty pod powierzchnią niemal nieruchomej twarzy głównego bohatera gejzer uczuć i emocji. Przełożone na filmowe kadry przepracowanie traumy po stracie

najbliższych osób i poruszający obraz męskiego doświadczania żałoby, a także budujący obraz siły miłości. Zwłaszcza tej ojcowskiej. To również bezcenna, niosąca przeblyski uśmiechu i trzymająca przy życiu wola działania. A także potrzeba znalezienia tej właściwiej w danym momencie, ale niekoniecznie wyrosłej z naszej tradycji, formy przejścia kolejnych etapów ostatniego pożegnania. Bo dodatkową wartością filmu jest też spotkanie z pozornie nieprzystającą do rytuałów zachodniego świata pośmiertną ceremonią wyniesioną z kultury Wschodu.

czajnie czarna – mówi reżyser Jan P. Matuszyński.

Marcin Dorociński tak przedstawia doświadczania związane z „Minghun”: – Dla mnie ten film jest o nadziei, potędze miłości i o tym, że cuda mogą się zdarzyć. To wielkie szczęście dla aktora, kiedy dostaje do przeczytania scenariusz i już wie, że będzie ciężko, ale pięknie. Na początku bardzo się bałem, bo pomyślałem, że trzeba będzie wejść w to całym sobą, nie wiedziałem, że aż tak głęboko z Jankiem Matuszyńskim – reżyserem – zajdziemy.

Pytany o wewnętrzną

stanowi i odbyli z nami głęboką podróż w głąb siebie – dodaje.

Dorociński podkreśla: – Człowiek ma prawo do swojej wrażliwości i nikt inny nie może tej wrażliwości oceniać ani wartościować. Jurek nie myśli o tym, czy ktoś go obserwuje, czy nie. On przeżywa po swojemu. Chciałbym powiedzieć to dorosłym facetom i facetom rosnącym, czyli nastolatkom, że nie ma nic złego w tym, iż damy upust swoim emo-



CIEŻKO, ALE PIĘKNIE

Tytułowe minghun, czyli chiński rytuał zaślubin po śmierci nie pojawia się w filmowej opowieści w czystej postaci, co mocno podkreśla reżyser. To forma przefiltrowana przez wspomnienia i wyobrażenia jednego z bohaterów – Chińczyka, który od lat żyje w Wielkiej Brytanii, tam wychował i wykształcił swoją córkę, która stała się żoną Polaka (Dorociński) i matką Meixiu, zwanej przez ojca Masią. Teść i zięć najpierw tracą ukochaną córkę i żonę, a potem, gdy jeszcze nie podnieśli się po pierwszej stracie, jedyną wnuczkę i córkę. To dla Masi trudno dogadujący się ze sobą mężczyźni decydują się znaleźć jak najlepszego „męża”. Wytrąca ich to ze stuporu bólu, każe działać. Choćby w niekonwencjonalny sposób.

– Zawsze widziałem w tym rytuale romantyczną i jednocześnie metaforyczną nutę, która powoduje, że żałoba nie jest taka po prostu, zwy-

siłą, ekspresję i dramatyzm swoich ról, podkreśla, że jest tylko „nośnikiem emocji, elektro-nem”, że nie ma jednego sposobu czy metody na pokazanie głębi i prawdy przeżyć bohatera. – Zbieram jak najwięcej danych i potem mam je jak najlepiej przekazać widzom – tłumaczy.

CO NAS BOLI

Jego zdaniem „Minghun” to w pierwszym odbiorze film o stracie, a także o niepokodzeniu się z tą stratą, o tym, czym ją zastąpić i o tym, że czasami jest to bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe.

– Dla Janka Matuszyńskiego i dla mnie to bardzo ważny, osobisty film i jest w nim dużo naszych prywatnych emocji i przeżyć – mówi aktor, zdradzając, że w czasie przygotowań i realizacji zdjęć obaj doświadczali bolesnych sytuacji, a także za sprawą filmowej historii przepracowywali prywatne traumy. – Jeden z widzów pięknie powiedział, że „Minghun” jest jak medytacja i chciałbym, aby widzowie poddali się temu

cjom w różny sposób. Że nie ma się czego wstydzić, powiemy, co nas boli, nie będziemy wszystkiego tłamsili w sobie.

Zwraca też uwagę na inny aspekt przeżywania żałoby: gotowości otwarcia na czyjś ból. – Kiedy widzimy człowieka przeżywającego stratę, nie wiemy do końca, jak wielka miłość, jak wielka namiętność się za tym kryje, dopóki go o to nie zapytamy – mówi.

SIŁA MIKROOPOWIEŚCI

Filmowe „Minghun” trwa 94 minuty. Przy wielkoekranowej, pełnometrażowej projekcji, dwuminutowy taneczny występ może się wydawać mgnieniem, drobiazgiem, ale i on, jak się okazuje, potrafi skupić w sobie i przenieść siłę emocji. Widać to w choreograficznej mikroopowieści o braku i stracie (tak też można odczytać bezwładność partnerki) do piosenki „Ne rozumiem” czy w finałowym freestyle’u Macieja Zakościelnego i Sary Janickiej, który da się również odebrać jako piękną metaforę wspólnej drogi dwojga ludzi. U kresu tej drogi kluczowym słowem, nawet jeśli wypowiedzianym przez lży, jest: „Dziękuję”.

Nawiązywanie zerwanej ciągłości

Sztuka sakralna będąca „duszą Kościoła” właściwie przestała istnieć. Jej odrodzenie wiedzie przez nawiązywanie przerwanej ciągłości. Inaczej opuszczone przez nią miejsce natychmiast zajmuje kicz, brzydota lub wschodnia ikona



Jacka Hajnosa OP, dr. Krzysztofa Klimka, Bogny Podbielskiej, Beaty Stankiewicz, prof. Grzegorza Wnęka i przedstawicielki młodego pokolenia artystów Ewy Czwartos. Nie sposób opisać wszystkich tych prac, ale nie ma wątpliwości, że ich autorzy podpisują się na nich własnym językiem malarzkim. Bardzo łatwo rozpoznać pełen umiarkowania styl Modzelewskiego, bliską realizmowi fotografii twórczość o. Hajnosa, studium portretowe Stankiewicz czy barokową ikonę Czwartosa. Układają się też już w pewien cykl.

ZWIĘCZENIE STAREGO TESTAMENTU

Nawiedzenie to właściwie scenka rodzajowa – radosne spotkanie dwóch kobiet. Elżbieta jest krewną Marii, żoną Zachariasza, kapłana i ostatniego proroka Starego Testamentu. Byli oni starszymi ludźmi, którzy nigdy nie doczekali się potomstwa. To pewna sytuacja psychologiczna, gdzie dwie kobiety niosą w sobie dwa życia – Jezusa i Jana Chrzciciela, poprzez które ludzkość dostąpi zbawienia. Z punktu widzenia teologii jest to też domknięcie dziejów Starego Testamentu i zapowiedź Nowego. Malarz, jak mówią specjaliści, musi więc przedstawić to, co niewidzialne. Najczęściej to spotkanie było ujmowane nie tyle w samym domu Zachariasza, ile przed nim. Znajdował się on przecież w górach, gdzie dotarcie było dla ciężarnej kobiety pełną trudnością. Krzysztof Klimek przyznaje, że tym razem praca była prostsza. Na jego obrazie mamy zimowy krajobraz widziany z domu na Bysinie



MACIEJ WALASZCZYK

Jak malować obrazy sakralne, charyzmatyczne i przeznaczone do kultu? Takie, przed którymi wierni będą się modlić? A do tego teologicznie spójne i wyrażające zachodnią tożsamość? – Są dwa imperatywy, które powinny tu działać. Pierwszy to: „Poza Kościołem nie ma zbawienia”, a drugi: „Troska o dom Twój pożera mnie” – uważa Jan Michalski, historyk sztuki, krytyk znanej krakowskiej galerii „Zderzak”. Przywołując fragment psalmu, o którym uczniowie Jezusa

przypomnieli sobie, gdy byli świadkami wypędzenia przez niego bankierów i kupców ze świątyni, z pewnością trafnie opisuje intencje pomysłodawców projektu „Namalować katolicyzm od nowa”. – Kultura katolicka jest dzisiaj na OIOM-ie – przyznaje Dariusz Karłowicz z „Teologii Politycznej”, inicjator przedsięwzięcia.

W podziemiach katedry warszawsko-praskiej do 15 stycznia przyszłego roku można zobaczyć obrazy przedstawiające tajemnicę nawiedzenia św. Elżbiety. Powstały one w ramach trzeciego etapu tego artystycznego, duchowego i intelektualnego przedsięwzięcia zaplanowanego aż na 21 lat. Malarzkie interpretacje drugiej tajemnicy radosnej różańca wyszły spod pędzla prof. Jarosława Modzelewskiego, Ignacego Czwartosa, prof. Jacka Dłuzewskiego, Wojciecha Głogowskiego,

niedaleko Myślenic. – Uchwycona jest tam bliskość, ciepło, pewna alchemia spotkania młodszej i starszej kobiety. Pierwsza chce ją uczyć, pomagać, czym ta druga czuje się zażenowana – tłumaczy. Grzegorz Wnęk to nie tylko artysta, lecz także pedagog krakowskiej ASP. W jego wyobrażeniu brzemienista i wyraźnie dojrzała Elżbieta siedzi na krześle, a na jej kolanach spoczywa smartfon, który jest też nawiązaniem do Zwiastowania, w którym podobnym rekwizytem był list trzymany w rękach archaniola Gabriela. Maria wchodzi przez drzwi, w których widoczny jest próg. Tak wprowadza nadzieję dla świata.

JAK NAMALOWAĆ BOGA?

Wszystko zaczęło się trzy lata temu od próby namalowania na nowo wizerunku Jezusa Miłosiernego z mistycznej wizji św. siostry Faustyny Kowalskiej zapisanej w słynnym „Dzienniczku”. Realizacja tego przedsięwzięcia pokazała, że nie jest to wcale takie proste. I nie chodziło o stronę materialną, ale o sytuację, w której znaleźli się malarze na co dzień nietworzący obrazów sakralnych, tzn. takich, które zostaną poświęcone i umieszczone w kościołach czy kaplicach. Przed którymi ktoś będzie się modlił, a nie oglądał je na wystawach. Wobec tego przed każdą kolejną turą malarze spotykają się, by wysłuchać wykładów biblistów i teologów, np. znanego patrologa ks. prof. Marka Starowieyskiego.

Czy ich prace są wyznaniem wiary, czy jedynie aktem estetyzującym? Jan Michalski uważa, że współcześni artyści stali się grupą jednostronnie uprzywilejowaną społecznie, wyodrębnioną z życia, funkcjonującą niejako pod kloszem, co spowodowało, że cechuje ich pewien egocentryzm. Problemem jest więc postawienie w centrum osobistych przeżyć artystów, a nie samego Boga. Nie każdy obraz ma jednak charyzmę duchową, choć może być dziełem religijnym. – Przedmiotem malarstwa sakralnego jest Bóg, a właściwie Chrystus. Tylko obraz Chrystusa może, poprzez to co widzialne, prowadzić do tego, co niewidzialne – zaznacza Karłowicz.

W ocenie Dłużewskiego to piękno jest czymś nadrzędnym, a samo dzieło nie może być jedynie odpowiedzią na założenia teoretyczne, np. teologiczne. Zdaniem Klimka taki obraz pojawia się znienacka, przez co osobistej inwencji jest w nim jak najmniej. – Malarz musi stać schowany za tym obrazem, bo ten ma pierwszeństwo. Nie wyobrażam sobie innej sytuacji – dodaje Wnęk.

Zdaniem Dłużewskiego trudność stworzenia obrazu religijnego sprowadza się do konieczności odkrycia religijnej tajemnicy, a więc tego, co zakryte i niedostępne. Jak twierdzi, malarz musi więc lawirować między dosłownością a metaforą, w nieoczekiwany sposób rozświetlić owo zdarzenie. – Malowanie takiego obrazu to nie tyle zuchwałość malarza, ile raczej jakieś oświecenie, natchnienie Duchem Świętym. To są momenty dynamiczne i skokowe, pozahistoryczne, nadprzyrodzone spoza naszego świata – wyznaje. W przekonaniu Wnęka obrazy powstają z obrazów, cała jego praca bazuje na tym, co powstawało przez wiele poprzednich lat. – Mój profesor mawiał, że nowoczesność szybko się starzeje. Muzea są pełne tego rodzaju przykładów, dlatego obraz musi prowadzić dialog z tradycją, musi do niej nawiązywać.

REANIMACJA SZTUKI KOŚCIELNEJ

„Jako wierni nie zmieniamy kościoła i parafii tylko dlatego, że to, co widzimy nam się nie podoba. Jesteśmy na to skazani” – mówił Juliusz Gałkowski, krytyk i filozof, który prowadził jedną z debat towarzyszących wystawie. Rzeczywiście, wiara stoi dziś w sprzeczności ze zmysłowo postrzeganymi formami jej wyrazu, architekturą sakralną, wystrojem nowoczesnych świątyń. Nie mówiąc już o tym, że otaczająca nas architektura, zalewająca nas zewsząd obrazy są duchowo martwe, będąc, jak się ktoś wyraził, „ruinami sensu”. Jak to zmienić? Cierpliwie, krok po kroku zacząć nawiązywać zerwaną łączność z tym, co piękne i sprawdzone. To trochę wyprawa pod prąd.

Karłowicz przyznaje, że jest niewielu artystów, którzy tworzą obrazy

służące do kultu sakralnego, nie ma mecenasów, którzy chcieli by je zamawiać, a kościoły są tak zbudowane, że tych obrazów nie ma gdzie powiesić. – Udowodniliśmy przynajmniej tyle, że malarstwo sakralne jest możliwe i istnieje. W ramach tego projektu namalowano już ok. 60 obrazów – podkreśla. Ma jednak świadomość, że wyzwaniem jest nie tylko powszechna sekularyzacja kultury, wskazuje także na sam na Kościół i zjawisko nowego ikonoklazmu oraz swoistej protestantyzacji katolickiej wyobraźni. To także sytuacja, w której obrazy sakralne, o dużej wartości artystycznej i historycznej, znalazły się po prostu w muzeach. Tę próżnię natychmiast wypełniają tradycje obce łacińskiemu Zachodowi. Bp Jacek Grzybowski zauważa, że brak katolickiej i figuratywnej sztuki sakralnej spowodował zalew ikoną, czasem zupełnie tandetną. – Odczuwam przesyt tego. Kiedy widzę na nich św. Tomasza z Akwinu i św. Faustynę, jest to po prostu słabe. Nie potrafię odnaleźć się w tej estetyce i zupełnie tego nie rozumiem. Mam wrażenie, że zaciągamy i zapożyczamy duchowość, która nie jest związana z tą częścią Europy, i robimy to na masową skalę – przyznaje.

Dlatego, jak wyjaśnia Karłowicz, inicjatywa, którą koordynuje, ma być impulsem do odrodzenia zachodniej sztuki sakralnej. Tylko jak ma ona wyglądać? Krzysztof Klimek był uczniem Jerzego Nowosielskiego, prawosławnego mistrza ikony. Jego zdaniem obrazy, które powstają, są dziś sposobem nawiązania zerwanych nici z przeszłością, które na nowo włączają twórców do tradycji Kościoła. – Żywym kanałem komunikującym nas z poprzednimi pokoleniami, dla których ówczesna sztuka była drogą do wiary – tłumaczy, ale przyznaje, że nikomu dziś „nie grozi” kariera Michała Anioła, a raczej przyszość twórców z katakumb.

Jacek Dłużewski przyznaje, że jako malarz w nowoczesnym świecie znalazł się w sytuacji braku obowiązującego stylu, ale równocześnie ma nieograniczony dostęp do tego, co istniało wcześniej. – I to, co dawne, staje się bliskie – twierdzi.

Inżynieria masturbacji

Jeden z kapłanów w trakcie prowadzonych przeze mnie dwa tygodnie temu warsztatów na temat wojny kulturowej i wojny duchowej opowiedział historię, która wbiła mnie w fotel. Młoda dziewczyna przyszła wypowiadać się z tego, że nie mieszka razem ze swoim narzeczonym. Uznała bowiem, że naruszyła normę. Wszystkie znane jej pary rówieśników mieszkaly ze sobą przed ślubem lub w ogóle nie rozpatrywały małżeństwa. Tak wygląda całkowite zwycięstwo rewolucji obyczajowej. Również w Polsce. Miara marksistowskiego odwrócenia wartości w kulturze. Postawienia świata na głowie.

Aby wykluczyć możliwe nieporozumienia: ksiądz nie zdradził tajemnicy spowiedzi, bo żadnym sposobem nie można zidentyfikować penitentki.

Lewicowa inżynieria społeczna dotyka nie tylko obyczajów. Okazała się tak skuteczna, ponieważ po zawłaszczeniu kultury rewolucja użyła instytucji do narzucenia swoich kolejnych ideologicznych pomysłów: państw narodowych, ONZ i UE. Dziś w Polsce lewicowi politycy zabrali się za państwową szkołę, równie niepokojące wieści dochodzą z Brukseli, a dotyczą gospodarki.

Wiele osób zastanawia się, jak to możliwe, by politycy dążyli do zbiednienia rządzonych przez siebie społeczeństw. A tak jest w Unii Europejskiej, gdzie kandydat na komisarza do spraw klimatu Wopke Hoekstra zapowiedział właśnie zintensyfikowanie walki z węglem, ropą, benzyną i gazem poprzez kolejne podniesienie kosztów pozwoleń emisyjnych, co doprowadzi do spadku poziomu życia w krajach UE. Działanie na własną szkodę wydaje się tak absurdalne, że odruchowo rezygnujemy z prób jego rozumienia. A tu mamy działanie celowe. Pauperyzacja społeczeństw jest bowiem jasno wyłożonym celem ideologii zrównoważonego rozwoju.

Pauperyzacja społeczeństw, nie establishmentu.

Ideologia zrównoważonego rozwoju to koncept lewicowy – jak piszą sami zainteresowani, „jest to dążenie do sprawiedliwości społecznej”. W raporcie z 1972 r. „Granice wzrostu” Klubu Rzymskiego zawarto przekonanie, że naszej cywilizacji grozi upadek z powodu wyczerpania surowców i żywności. Okazało się jednak, że wszystkie prognozy Klubu się nie sprawdziły. Ropy naftowej i gazu ziemnego miało zabraknąć w 1990 r., dziś

*Działanie na własną szkodę
wydaje się tak absurdalne,
że odruchowo rezygnujemy
z prób jego rozumienia.
A tu mamy działanie celowe.
Pauperyzacja społeczeństw
jest bowiem jasno
wyłożonym celem ideologii
zrównoważonego rozwoju.
Pauperyzacja społeczeństw,
nie establishmentu*

ich produkcja jest prawie dwukrotnie (ropa) i ponadtrzykrotnie (gaz) większa. Nie ma mowy o żadnym wyczerpaniu złóż. Tak samo jest z rolnictwem: od 1972 r. całkowita produkcja rolna wzrosła prawie trzykrotnie przy dwukrotnym wzroście populacji globu. Dziś jest jasne, że nie ma obiektywnych czynników, które groziłyby upadkiem naszej cywilizacji, a mimo to promowany przez Klub Rzymski postulat gwałtownego ograniczenia przyrostu naturalnego i produkcji przemysłowej jest wprowadzany w życie.



ROBERT TEKIELI

W 1983 r. powstała Światowa Komisja ds. Środowiska i Rozwoju ONZ, której przewodniczącą została była premier Norwegii, socjalistka Gro Harlem Brundtland. Komisja zaczęła implementować stworzoną przez Klub Rzymski ideę „ograniczonych możliwości” w praktykę instytucji międzynarodowych m.in. poprzez Program Narodów Zjednoczonych ds. Ochrony Środowiska (UNEP) i Program Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju (UNDP). Z ONZ ręką w rękę idą instytucje UE: Parlament Europejski, Komisja Europejska i Europejski Komitet Ekonomiczno-Społeczny. Ich narzędziami są: Agenda 21 ONZ (1992), Cele Zrównoważonego Rozwoju – Agenda 2030 ONZ (2015), karta lipska narzecz zrównoważonego rozwoju miast europejskich (2007). W wyniku działania ONZ, a potem również UE, zrównoważony rozwój stanowi dziś ważny element systemu prawa międzynarodowego. A w Polsce idea zrównoważonego rozwoju wpisana jest do konstytucji (!), tak jak do konstytucji PRL był wpisany socjalizm i przyjaźń ze Związkiem Radzieckim. Nad Wisłą nic się zatem nie zmieniło z krótką przerwą na dziki kapitalizm, od 80 lat ciągle dążymy do „sprawiedliwości społecznej”.

Marsz przez instytucje w wykonaniu rewolucjonistów 1968 r. okazał się skuteczny. Organizacje międzynarodowe i państwa narodowe realizują ideologiczne cele przy miazdzącej przewadze kulturowej i medialnej. I o ile dzisiejsi sześćdziesięciolatkowie oraz starsi mogą się odnieść do twardej wiedzy niezniekształconej przez sieciowe narzędzia

marksizmu kulturowego, o tyle wychowane już w cyfrowej infosferze młode pokolenie jest całkowicie bezbronne wobec tych manipulacji.

Mały przykład. Z nieistotnego w tej chwili powodu otworzyłem hasło „kanibalizm” w Wikipedii. Zanim doczytałem się zajmującej 338 znaków dość oczywistej informacji: „Do początku XX w. (a lokalnie nawet do lat 50. XX w.) kanibalizm nadal był praktykowany u wielu ludów Afryki, Oceanii i wysp Morza Karaibskiego”, musiałem przebrnąć

przez liczące 4058 znaków akapity o incydentalnych przypadkach kanibalizmu głównie popełnianego przez białych ludzi. A to w angielskiej kolonii w Ameryce Północnej, a to w trakcie wyprawy Kozaków na Syberię czy też przez uczestników zaginionej ekspedycji Franklina z 1845 r. lub pasażerów urugwajskiego samolotu, który rozbił się w 1972 r. w Andach. Dziś niewygodnych informacji się nie przemilcza, lecz je ukrywa, np. w gąszczu słów. Mecz biali kontra niebiali: 4058 do 338. Sędzią – ideolog woke. Żyjemy w świecie,

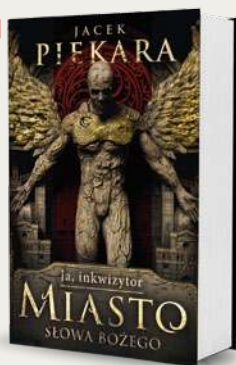
w którym aksamitnymi metodami dokonano całkowitej przebudowy infosfery.

Obyczaj, gospodarka, kultura. Pola przegranej bitwy. Zwycięstwa inżynierii społecznej. Najbardziej szkoda bezbronnych. Więc, Polaku, nie pytaj, czemu dzieci mają oglądać drag queens. Zapytaj, dlaczego drag queens chcą mieć dziecięcą widownię.

Swoją drogą, ciekawe, czy rodzice minister Nowackiej uczyli ją masturbować się, gdy miała 7 lat i czy ona uczyła tego swoje dzieci.

WOJNA CYWILIZACJI

POP KULTURA



Warte Od wielu tygodni nie mogłem się zdecydować na napisanie omówień dwóch nowości ważnych dla wielu czytelników. Powód jest taki sam, ale po kolei. 18. książka z cyklu inkwizytorskiego Jacka Piękary „*Ja, inkwizytor. Miasto Słowa Bożego*” nie zaskakuje. Znowu mamy kryminalną intrygę z paranormalnym tłem. Jednak tym razem wyprawa Mordimera Madderdina do Italii pozostawia mnie całkowicie obojętnym. Czemu? Macierz możliwości serii się

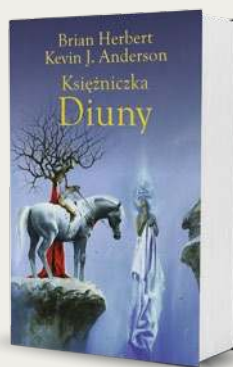
wyczerpała. Powielające swój istotny sens refleksje filozoficzno-społeczne głównego bohatera stały się męczące, bluźnierczo-antyklerykalne wątki – nudne, no i cóż nas obchodzą relikwie św. Alodiusza... Swego czasu mocna wizja chrześcijaństwa widzianego oczami demona – Jezus schodzi z krzyża, do czego prowokował go przecież szatan, i morduje złych ludzi – sprawiała, że uniwersum Inkwizytora miało w sobie okrusz oryginalności i nieoczywistości. Dziś natomiast czytam taką refleksję na temat życia zakonnego: „Marnujecie życie w zamknięciu i zajmujecie się bezmyślnymi i beużytecznymi śpiewami. Zabierzcie się do porządnej pracy, zejdźcie pomiędzy bliźnich”. Nie jest mi ona obca, bowiem na jednym z posiedzeń Rady Programowej TVP wygłosił wręcz identyczną – niemal słowo w słowo – były sekretarz zakładowej organizacji PZPR.

Ale w sumie nic dziwnego. Skoro wydawca chce przyciągnąć czytelnika do lektury książki takimi zachętami: „Ucztę i pijatyki. Orgie i pojedynki. Romanse i filozoficzne dyskusje”, to czego więcej oczekiwać? Np. tego, że dopiero na 58 stronie zakończy się otwierający „Miasto Słowa Bożego” wątek, którego głównym tematem jest orgietka z m.in. przeznaczoną do klasztoru 17-latką.

Jednocześnie dalej jest to solidna literatura. Piękara nie wyżył się pisarskiego warsztatu, trzyma intrygę w ryzach, opowiada swobodnie, bawi się kulturowymi odniesieniami. Rzecz dla fanów, choć może i nieznający wcześniejszych książek czytelnik nie zmarnuje czasu.

Pomiędzy 1965 a 1985 r. Frank Herbert napisał sześć tomów sagi o Diunie. Dzięki nim jest stawiany w pierwszym szeregu światowych twórców science fiction i fantasy. A od dwudziestu paru lat spółka autorska jego syna Briana Herberta i Kevina J. Andersona dołożyła do kanonu chyba z 20 kolejnych „uzupełniających” go powieści. Do tego porządku należy „*Księżniczka Diuny*”.

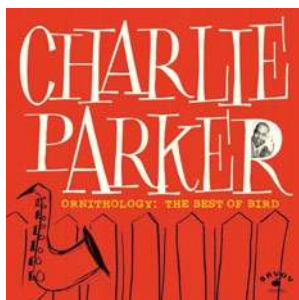
Cykl ma czytelników, więc jest kontynuowany. Z różnym szczęściem. Akurat „*Księżniczka*” nie należy do najgorszych odsłon tych prequeli i sequeli. Przełożona świetną polszczyzną przez Andrzeja Jankowskiego czyta się dobrze. Historie dwóch najważniejszych kobiet w życiu superbohatera serii Paula Muad'Diba – córki Padyszacha Imperatora Irulany i Fremenki Chani – przeplatają się z ciekawymi wątkami pobocznymi, z których opowieść o samorealizującym się powstaniu przeciwko tyranowi jest chyba najciekawsza, choć konkuruje z nią intryga przebrzydłego zakonu Bene Tleilaxan. A pointa zaskakuje. „*Księżniczka Diuny*” pokazuje, że potencjał uniwersum Diuny nie został wyczerpany. Ale wcale nie wiem, czy powinien powstać kolejne eksploatujące go książki.



Warte „Wysoko na wzgórzu stał spalony warowny zamek – kamienny pajak wczepiony w szczyt osmalonymi kamiennymi nogami. Przed zięjącą paszczą zdruzgotanej bramy kiwali się na szubienicach wisielcy niczym muchy złapane w pojedyncze nici pajęczyn. Wioska poniżej stała się placem zabaw demonicznych dzieci, zidiociałych olbrzymów, które znudziły się zabawą wioską i rozniosły ją na strzępy”. Takie obrazy robią na mnie wrażenie, w końcu prawdziwa sztuka to tak samo obraz odsłaniający ukryte, jak i opowiadająca o istocie rzeczy fabuła. Jednak tym cytatem tylko robię Państwu smaku. Dziś nic więcej na ten temat. Za tydzień o tym, skąd pochodzi i o całej reszcie.

Robert Tekieli, Polskie Radio

POP KULTURA



Zgiełk wielkiego miasta

To typowa kompilacja typu „the best of” zawierająca wybór klasycznych utworów studyjnych Charliego „Birda” Parkera sięgających aż połowy lat 40. XX w. Jest jednak dobrym wprowadzeniem do dokonań legendarnego saksofonisty altowego.

Jak niesie legenda, przydomek „Bird” przylgął do niego, gdyż słynął z pochłaniania kurczaków pod każdą postacią oraz oczywiście alkoholu i heroiny. Choć nagrania powstały już w Nowym Jorku, to trzeba pamiętać, że wywodził się z Kansas City, innego jazzowego ośrodka ówczesnej Ameryki. Miasta pełnego klubów i scen, będącego epicentrum aktywności zarówno jazzmanów, jak i gangsterów. Sesje zawierają jednak oryginały najbardziej pamiętnych nagrań muzyka, takich jak „Ko-Ko”, „Now’s The Time”, „Cheryl”, „Parker’s Mood”, „Billie’s Bounce” i „Donna Lee”. Zbiór ten uzupełnia również próba kilku utworów zarejestrowanych na żywo w latach 1945–1953, właśnie po przeprowadzce do Nowego Jorku, gdy stał się jednym z głównych prekursorów bebopu. Poza „Birdem” słysząc na nich również grę wirtuozów gatunku: Dizzy’ego Gillespiego i Milesa Davisa, dzielących się obowiązkami na trąbce, Curley’ego Russella i Tommy’ego Pottera, tworzących znakomity tag-team na basie, Buda Powella, Johna Lewisa przy fortepianie, i znakomitego Maxa Roacha za zestawem perkusyjnym. Do tego np. „Salt Peanuts” pochodzi z koncertu w Jazz at Massey Hall z maja 1953 r., który często nazywano najlepszym koncertem jazzowym wszech czasów. Jest to tym bardziej interesujące, że po odpowiedniej studyjnej obróbce nagrań dokonanych ok. 70 lat temu słucha się, jakby powstały kilka dekad później. Dźwięk zarejestrowany na oryginalnych taśmach został bowiem poddany pewnej renowacji. Uchwycono na nich żywiołowy jazz z okresu, gdy przekształcił się z rozrywkowej, tanecznej i swingowej odmiany w ostry bebop będący nerwowym i energetycznym echem życia wielkomiejskiego molocha. A na pewno rewolucyjny styl gry Parkera nie miał sobie równych. Nabierające momentami szalonego tempa popisy solowe nie tracą swej wirtuozerii, jednak zawsze są pełne harmonii i melodii.

Niestety wraz pogłębianiem się uzależnień także życie „Birda” wymknęło się spod kontroli. Parker zmarł 12 marca 1955 r. w nowojorskim mieszkaniu słynnej mecenaszki jazzu baronowej Pannonicy de Koenigswarter w wieku zaledwie 34 lat.

Charlie Parker, „Ornithology: The Best Of Bird”, Concord Records 2024

Mija rok od śmierci Shane’a MacGowana, w latach 80. wokalisty i założyciela grypy The Pogues. Z tej okazji odbyło się wiele koncertów, a irlandzka poczta wyemitowała znaczek z jego podobizną. Victoria Mary Clarke, była żona wokalisty, przyznała, że był zawsze pełnym Irlandczykiem, a irlandzkie znaczki pocztowe uważała za symbol niezależności od Wielkiej Brytanii i statusu Irlandii jako niepodległej republiki.

The Pogues była grupą, która łącząc punkową nonszalanę z celtyckim folkie, na zawsze odmieniła oblicze tej muzyki. Miała też silny wydźwięk polityczny, towarzyszyły jej echa konfliktu w Irlandii Północnej, a także wybuchających w Londynie bomb podkładanych przez IRA. „Zawsze czułem się winny, bo nie poświęciłem życia za Irlandię. Wstydiłem się, że nie miałem odwagi wstąpić do IRA, więc Pogues byli moim sposobem na przewyższenie tego poczucia winy” – wyznał wokalista w 2015 r. Wchodząc na sceny i listy przebojów całego świata, The Pogues wzmacniali więc poczucie dumy irlandzkich emigrantów. Ich bardem stał się MacGowan – nonszalancki, trochę mroczny, surowy, z głosem gryzącym jak tytoniowy dym w pubie, a także potrafiącym koić jak atlantycka bryza.

MacGowan ikoną Irlandii



Szczególnie słysząc to w tradycyjnych pieśniach, takich jak „Dirty Old Town” czy „Irish Rover”.

MacGowan tworzył też intrygującą rockową poezję celebrującą trudy życia, gęsto okraszoną dowcipem i oparami irlandzkiego piwa. Album „Red Roses for Me” nawiązywał do postaci Seana O’Casey’ego, dramaturga zaangażowanego w irlandzki ruch narodowy, „Streams of Whiskey” były z kolei holdem dla poety i członka IRA Brendana Behana, a obecny w tekstach czarny humor echem satyr i powieści Flanna O’Briena. Terrorysta-bojownik tzw. prawdziwej IRA Dominic McGlinchey stał się bohaterem skocznej polki „Paddy Public Enemy No. 1”, którą MacGowan nagrał już po wyrzuceniu go z The Pogues w latach 90.

Dorastał w Carney, niedaleko Borrisokane, które stało się dla niego mikrokosmosem sielankowego życia wiejskiej Irlandii. Tam nasiąkał tradycyjną mu-

zyką, opowieściami o irlandzkim buncie przeciw brytyjskiemu uciskowi i katolicyzmowi, który ku zdziwieniu wielu pielęgnował do samego końca. Jego pogrzeb zgromadził tysiące ludzi śpiewających jego piosenki. Został pochowany w wiklinowej trumnie, którą do kościoła wniesiono przykrytą irlandzką flagą narodową.



Maciej Walaszczyk

Cynizm i obojętność

Platforma Obywatelska to partia przesunięta na pozycje liberalno-lewicowe symbolizowane przez Annę Barcz. Pod tym pseudonimem Donald Tusk już w latach 80. XX w. próbował syntezy lewicy z liberalizmem

Dlaczego PO jest dziś partią liberalno-lewicową łąwiącą głosy lewicowego elektoratu i wchłaniającą w siebie, jak pisze autor, „odpady osobowe lewicowego pochodzenia” (Arlukowicz, Nowacka itp.), umożliwiając im nieproporcjonalny do ich rzeczywistego potencjału politycznego wpływ na polityczne i społeczne życie kraju? Liczy się wyłącznie władza i ustawienie do wiejących wiatrów. Towarzyszy temu autentyczny oportunizm, pogardliwy stosunek do narodowych tradycji i obojętność na interes państwa.

O tym, jak to tego doszło, opowiada w swojej krótkiej, ale bardzo wnikliwej pracy Lech Mażewski, naukowiec, a równocześnie świadek historii, poseł na Sejm I kadencji z ramienia KLD. Analizując ewolucję ideowo-polityczną środowiska tzw. gdańskich liberalów, w którym tkwi polityczny rodowód Donalda Tuska oraz wielu polityków obecnej KO, pokazuje, że nic, z czym mamy dziś do czynienia, nie jest przypadkiem. W 1991 r. ugrupowanie to znalazło się na szczycie powodzenia (rząd Jana Krzysztofa Bieleckiego), stając się „antychłopską partią prywatnego biznesu” (Tusk). A do tego nieposiadającą żadnej wizji polityki społecznej, skierowaną wyłącznie do postępowej inteligencji, której jedynym celem była europeizacja wiodąca przez Niemcy. Jej politycy stali się też, oprócz dawnych funkcjonariuszy PZPR, twórcami systemu polityczno-gospodarczego III RP. Jego podstawą jest kapitalizm polityczny, a więc wykorzystywanie więzi istniejących na styku z aparatem państwowym w celu osiągnięcia dominującej pozycji w życiu publicznym. To zjawisko opisała Jadwiga Staniszkis w słynnej pracy „Postkomunizm”, choć zdaniem autora nastąpiło po prostu ukształtowanie się demoliberalnej klasy panującej charakterystycznej dla kapitalizmu i liberalnej demokracji, a przedstawiciele dawnej władzy chcieli zachować swoje polityczno-społeczno-gospodarcze znaczenie w nowym ustroju.

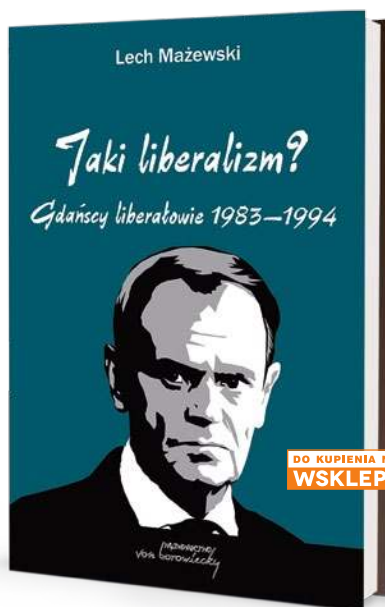
Także gdańscy liberalowie chcieli się odnaleźć w tych realiach. Niestety już od początku lat 80. to środowisko nie formowało ani jasnego programu politycznego, ani gospodarczego, funkcjonując jedną nogą w cieniu buntu solidarnościowego, a drugą próbując odróżnić się od niego ide-

ami wolnego rynku, co autor analizuje na podstawie tekstów publikowanych w „Przeglądzie Politycznym”. Nic więc dziwnego, że ich wejście do wielkiej polityki za sprawą prezydentury Lecha Wałęsy ujawniło brak wizji, w którym kierunku powinna zmierzać Polska. Po latach przyznawał to sam Tusk. Działali na oślep, będąc np. doktrynersko przekonani o konieczności budowy prywatnego kapitału na mocy decyzji państwowych przez prywatyzację. Okazało się to błędną drogą, gdyż kluczem pomyślnej transformacji były konkurencja, praworządność, solidny nadzór i zarządzanie bez względu na typ własności. Tymczasem nastąpiła deindustrializacja, bezrobocie i katastrofa polityczna KLD z 1993 r.

Także w warstwie ideowej grupa gdańska od początku była socjalliberalna, przesiąknięta wiarą w postęp, traktująca konserwatywny komponent jak dekorację, co potwierdziły potem losy „Deklaracji krakowskiej” PO z 2003 r. porzuconej jako zbędny balast w ferworze walki politycznej z PiS. Ich formacja ideowa oparta na teoretykach liberalizmu spowodowała również, że gdańscy liberalowie zakwestionowali istnienie wspólnoty narodowej, widząc społeczeństwo jedynie jako zbiór jednostek – konsumentów. A skoro nie istnieje naród, to nie będzie też suwerennego państwa narodowego. Zdaniem Mażewskiego negatywnie odbiło się to na polityce w latach 90., bo dosyć szybko się okazało, że owe wartości chrześcijańskie kolidowały z pojmowanym przez nich liberalizmem, a słowo „Polak” kojarzyli z nacjonalizmem. Konieczność zajęcia stanowiska w kwestii ustawy aborcyjnej pokazała zaś, że stanęli po stronie lewicy.

Od początku ujawniła się też orientacja niemiecka. To w KLD przekonywano, że Europa jest kontynentem autonomicznych regionów, a nie antagonistycznych państw (Bielecki), by w 1992 r. potwierdzić konieczność „uznania jurysdykcji ponadpaństwowych trybunałów i innych organów europejskiego systemu praw i wolności człowieka”. Choć nawet późniejsza konstytucja z 1997 r. przypominała, że to ona jest wciąż najwyższym prawem Rzeczypospolitej.

Lech Mażewski, „Jaki liberalizm? Gdańscy liberalowie 1983–1994”, Von Borowiecki 2024



BEATA I TETSU*

Wokół ryżu

Tetsu to mieszanka dwóch kultur – jest w połowie Japończykiem, w połowie Polakiem. Urodził się w malowniczym Sanjō w prefekturze Niigata w Japonii, a edukację zdobywał w Polsce. Razem z Beatą od lat tworzą zgrany zespół i dzielą się z odbiorcami swoją pasją do gotowania, zachęcając do eksperymentowania w kuchni i odkrywania nowych smaków. Tak autorów książki „Want a Bite? Wokół ryżu” (Znak Horyzont) przedstawia wydawca.

Sami bohaterowie i twórcy tego kulinarno-wydawniczego zamieszania wspominają, że kilka lat temu, gdy na swoim profilu dodawali pierwszy film na TikToka, nie spodziewali się, że „przyrządzą” kiedyś autorską książkę.

– Tworzenie filmów kulinarnych było i nadal jest dla nas sposobem na dzielenie się pasją do gotowania – podkreślają. Kiedy pojawiła się wydawnicza propozycja, postanowili pokazać kuchnię azjatycką poprzez dania skupione wokół ryżu.

– Pomysł ten wydawał nam się bardzo ciekawy z kilku powodów. Ryż jest jednym z najważniejszych składników



w formie napojów. Można z niego przygotować całą gamę przepisów: od bardzo tradycyjnych po te nowoczesne i szalone.

I taką też drogą – szerokiego kulinarnego wachlarza – poszli autorzy, zakładając jednocześnie, że w książce pojawią się przepisy jedynie na te potrawy, które sami naprawdę lubią i zazwyczaj

przygotowują w domu. W opisach zaproponowali dwie perspektywy: Tetsu, który wychowywał się w Japonii i wiele z tych smaków jest dla niego sentymentalną podróżą do czasów dzieciństwa, oraz Beaty, która stopniowo odkrywała różne oblicza kuchni azjatyckiej.

Biorąc pod uwagę niejednokorny stopień zaawansowania czytelników, dodali też sporo podstawowych informacji, podpowiadając np. jakie są najlepsze metody gotowania ryżu czy przygotowując przewodnik po azjatyckich składnikach, które pojawiają się w ich przepisach (i są dostępne w polskich sklepach).

Zamieścili również kilka kodów QR prowadzących do filmików, na których przygotowują wybrane potrawy. Warto sprawdzić, czy są wśród nich koreańskie kluski ryżowe w aromatycznym i pikantnym sosie gochujang. – To jedno z naszych ulubionych szybkich dań jednogarnkowych – deklarują Beata i Tetsu. – Nie ma się co dziwić, że z roku na rok popularność tej potrawy rośnie, a w internecie znajdują się przeróżnej warianty. Tteokbokki to wersja podstawowa, w której głównym składnikiem są kluski oraz sos, natomiast wersja z dodatkiem makaronu to rabokki.

Jolanta Gajda-Zadworna

*Twórcy profilu kulinarnego „Want a bite?”

Tteokbokki – koreańskie kluski ryżowe w ostrym sosie



Poziom trudności: łatwe. **Poziom ostrości:** ostre.

Składniki (2 porcje): 3 ząbki czosnku, ok. 300 ml wody, 2 łyżki pasty gochujang, 2 łyżki papryki gochugaru, 3 łyżki sosu sojowego, 3 łyżki cukru, 1 cebula, koreańskie kluski ryżowe (garaetteok), olej, 1 łyżeczka MSG (opcjonalnie), 1 garść szczypiorku.

Dodatki (opcjonalnie): 1 parówka, makaron błyskawiczny (z 1 zupki instant, ok. 70 g), 1 garść sera mozzarella, 1–2 jajka, biały sezam.

Przygotowanie: Na patelni rozgrzej olej i wrzuc pokrojony czosnek. Smaż do momentu, aż się zarumieni. Następnie wlej wodę, dodaj paprykę gochugaru oraz pastę gochujang i wymieszaj, aż pasta się całkowicie rozpuści. Dodaj cukier, sos sojowy i opcjonalnie MSG. Dokładnie wymieszaj. Następnie dodaj cebulę pokrojoną w półksiężycy. Kiedy cebula zmięknie, a sos lekko zgęstnieje, wrzuc koreańskie kluski ryżowe i wymieszaj. Całość gotuj przez chwilę. Opcjonalnie dodaj pokrojone parówki, makaron instant (jeśli makaron zaabsorbuje zbyt dużo wody, możesz jej trochę dolać), ser oraz jajko ugotowane na półmiękkko. Posyp szczypiorkiem i sezamem. ▀



SŁODKO-SŁONY

Moc kolorów

ANNA MONICKA

Listopad to bez dwóch zdań najgorszy miesiąc. To o nim Julian Tuwim pisał, że jest jak jeden z dotkliwych wrzodów na dwunastnicy roku. Nic dziwnego, że osoby z wrażliwymi jelitami czy żołądkiem, a także wrzodowcy, mogą cierpieć o tej porze. Ale tak naprawdę wszystkim nam brakuje słońca oraz ciepła i to jest główny powód złych humorów oraz niechęci do wychodzenia z domu, nie tylko do pracy czy szkoły, lecz także na spacer z psem (te zresztą też z mniejszym zapalem rwą się na dwór, wyskakują z odrazą, szybko załatwiają swoje sprawy i gnają do chałupy, a konkretnie na kanapę pod koc).

Nie ma rady, trzeba sobie jakoś poprawiać nastrój. Na każdego działa coś innego, ale dobre jedzenie czy miłe zapachy, zwłaszcza takie, które przywołują wspomnienia lata, lubimy chyba wszyscy. Ja odpalam kadzidelka, do dyfuzora wlewam krople olejków cytrynowych, pomarańczowych i geraniowych, które pomagają mi przetrwać jesienny spleen, piję napary z cytrusów, imbiru i goździków, kuruję się wybitnie rozgrzewającymi i stawiającymi na nogi złotym mlekiem (mam nawet gotową mieszankę przypraw z miodem, pachnącą kurkumą, wanilią, cynamonem, kardamonem i pieprzem), zamiast słodczy podjadam suszone na słońcu morele, śliwki oraz bogate w witaminy z grupy B orzechy i staram się robić sobie różne kulinarne przyjemności z rybami w roli głównej, zwłaszcza takimi, które mają dużo witaminy D3.

Nie ma to jak grillowany łosoś z czosnkowo-cytrynowym sosem albo witaminowa misa różnorodności z tuńczykiem. Taki bowl daje kopa energii na wiele godzin, a przy tym wygląda pięknie i kolorowo. Co w nim ułożyć oprócz ryby w sosie własnym? Hinduska receptura mówi, że powinno być 10 wegetariańskich składników, ale można dodać trochę sera, kawałek zgrillowanego indyka, kilka krewetek, jeśli ktoś lubi. A obok porcji białka poszatkowaną czerwoną paprykę, plasterki ogórków, kilka łyżek kukurydzy lub ciecierzycy albo fasoli, ugotowane jajko, kilka pomidorków koktajlowych, garść czarnych oliwek lub łyżkę kaparów, szczypior lub cieniutko pokrojoną czerwoną cebulę. Do tego wyrazisty sos – ja lubię jogurtowy z czosnkiem, ale pyszny jest również z pasty sezamowej, miso i sosu sojowego lub limonkowego. Kompozycji może być mnóstwo, zamiast kukurydzy czy fasoli do misy mocy można dosypać naszą kaszę gryczaną albo bulgur. Ważne, żeby było różnorodnie i kolorowo. 

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Ogławianie wierzb

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Mало jest tak pożytecznych przyrodniczych czynności jak ogławianie wierzb. I tak prostych. Zaczęć jednak od czegoś jeszcze prostszego, co może zrobić każdy.

Każdego roku na każdej z wierzb wyrastają sadzonki czekające na posadzenie. Nie są to sadzonki w typowym tego słowa znaczeniu, ale efekt jest ten sam, a nawet lepszy.

Obcięta pod koniec zimy cienka wierzbowa gałązka wsadzona do ziemi łatwo się ukorzeni i szybko zacznie rosnąć, wkrótce przemieniając się w drzewko, a nieco później w drzewo. Wystarczy obciąć gałązkę lub gałązki o grubości np. ołówka i długości kilkadziesiąt centymetrów. Trzeba to zrobić, kiedy kończy się zima, a wiosna jest już na horyzoncie. Kiedy z suchego patyka gałązka znowu stanie się żywą częścią drzewa, ale zanim wyrosną liście. Jeżeli taką gałązkę wbijemy w ziemię na głębokość kilkunastu centymetrów, najlepiej w wilgotnym miejscu, szybko zacznie rosnąć.

Optymalnym miejscem są brzegi rzek – wówczas takiej sadzonki nie trzeba nawet podlewać (w suchszym miejscu podlewanie z początku jest konieczne). Rzeki potrzebują zadrzewień wzdłuż swoich brzegów. A to najprostszy sposób, żeby im to zapewnić, przy okazji przyczyniając się do wytworzenia masy zieleni produkującej tlen, wchłaniającej dwutlenek węgla, będącej miejscem gniazdowania ptaków itp. Żeby taka praca miała sens, gałązki trzeba sadzić blisko brzegów – jest to optymalne siedlisko dla wielu gatunków wierzb (pamiętajmy, że powinny być to gatunki polskie, rodzime), a poza tym wąski pas wzdłuż brzegów na ogół nie podlega corocznemu koszeniu. To ważne – sadząc wierzbę, trzeba ją wsadzić w miejscu, w którym ma szansę urosnąć. I przyczynić się do odtwarzania zadrzewień i lasów łęgowych, czyli siedlisk ginących w skali całej Europy.

Wróćmy do ogławiania. Wierzyby rosną bardzo szybko, ich gałęzie przyrastają nawet na kilka metrów rocznie. Coroczne obcinanie dostarcza biomasy, którą można wykorzystać jako opał albo materiał do wyplatania. To najdawniejsze wykorzystanie wierzbowych gałęzi.

Własną wierzbę do ogławiania można posadzić nawet blisko domu. W ten sposób będziemy mieli drzewo o pniu grubym, lecz niskim, które nie stworzy zagrożenia dla budynku. A przy okazji dostarczy pędy do corocznego sadzenia. A może kiedyś, gdy będzie dziuplasta, zagnieździ się w niej dudek, zamieszka nietoperz lub rzadkie chrząszcze. 

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Żaden skymaster

Dziś tekst o braku praktycznej możliwości korzystania z wolności odbioru cyfrowych programów telewizyjnych zatwierdzonych przez polską władzę konstytucyjną, jaką jest Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. Tekst o niemożności i niebezpieczeństwach dla demokracji i wolności słowa w Polsce w sferze nadawania cyfrowego i emisyjnego. W tytule felietonu widnieje nazwa firmy, która nie jest żadnym niebiańskim skymasterem czy jakimś tam mistrzem. To nazwa producenta dekodera do odbioru naziemnej telewizji cyfrowej sprzedawanego przez niemiecką firmę Skymaster z siedzibą w Szczecinie.

21 czerwca 2024 r. KRRiTV postanowiła, że dwa wolne miejsca na MUX-8, naziemnej cyfrowej telewizji, wypełnią TV Republika i wPolsce24. 3 lipca 2024 r. przewodniczący KRRiTV podpisał koncesję dla tych dwóch stacji. W związku z tym Republice przyznano 51. pozycję na liście kanałów (LCN), a wPolsce24 kanał 52. Według Emitela, który jest operatorem naziemnej telewizji cyfrowej, zasięg MUX-8 obejmuje 98 proc. terytorium Polski. Ale to tylko teoria, gdyż MUX-8 jest nadawany nie na UHF (jak inne multipleksy), ale w zakresie VHF, co wymaga specjalistycznej anteny dopasowanej do odbioru częstotliwości na VHF i sprawnego dekodera.

Co musi zrobić odbiorca, który chce skorzystać z możliwości oglądania cyfrowej telewizji naziemnej z oferowanego nowego pakietu kanałów cyfrowych telewizji naziemnej nadawanych na multipleksie 8 (MUX-8) w częstotliwości VHF 174-230 MHz?

Co winien zrobić odbiorca, jeśli chce mieć pełny dostęp do nowych kanałów telewizyjnych w domu niekoniecznie odbieranych przez internet, komputer czy komórkę? Jeśli jego kablowy lub satelitarny operator nie daje takiej możliwości, musi zakupić cyfrowy odbiornik (dekoder) oraz specjalną antenę.

We wspomnianym zakresie VHF znajdują się te dwie nowe telewizje, które decyzją KRRiTV w połowie tego roku znalazły swoje miejsce na multipleksie nr 8, jakby zamykając ten zakres częstotliwości, po Zoom TV, Mero TV, Nowa TV i TVWP, ViDocTV.

Zainteresowany odbiorem MUX-8 kupuje najnowszy odbiornik cyfrowy (dekoder) DVB-T/T2, np. typu Skymaster, dostępny w każdym sklepie ze sprzętem RTV, a także, co bardzo ważne, odpowiednią antenę, najlepiej dookólną 4K Ultra HD DVBT/T2 i instaluje na swoim telewizorze. I choćby nie wiem, jak próbował dobrać odbiornik zlokalizowany nawet bardzo blisko

stacji nadawczej, otrzyma tylko 49 kanałów, bez oczekiwanych kanałów programów telewizyjnych z programami wPolsce24 i TV Republika. Choćby próbował kombinować w menu dekodera, zmieniać jego funkcje z wybierania kanałowego na częstotliwościowe, nic nie wskóra. Nie da się odbierać MUX-8 w pełnym jego zakresie częstotliwości i kanałów.

Jak to możliwe? Niemiecki producent Skymaster do każdego dekodera dołącza ulotkę o treści: „Aby w pełni skorzystać z możliwości odbiornika, należy używać w nim najnowszej wersji oprogramowania. Aktualizacje oprogramowania dla produktów firmy Skymaster dostępne są na portalu: <http://updanme.skymaster.de>.

O tym, że skorzystanie z tej pomocy jest niemożliwe, świadczą liczne grono zainteresowanych klientów wymieniających się krytycznymi uwagami na forach społecznościowych. Firma nie ma w ofercie najnowszego oprogramowania, nie odpowiada na zapytania telefoniczne i mailowe. Ostatnia wersja aktualizacji software pochodzi z połowy 2023 r. i nie uwzględnia pełnego zakresu MUX-8. Przez cały rok masterzy od Skymaster nie zrobili nic, aby ich cyfrowe tunery DVB-T, notabene sprzedawane w cenie prawie 140 zł za sztukę (bez jednego grosza), mogły pracować zgodnie z polskim prawem, czyli uwzględniać aktualny stan kanałów telewizyjnych obowiązujący w Polsce.

To lekceważenie polskiego prawa, lekceważenie polskiego klienta jest też charakterystyczne dla firmy, która od lat reklamuje się, że ma niskie ceny, czyli sieci firm Media Expert. Wielokrotnie się przekonałem, że

do sprzedawanych przez siebie produktów nie potrafią nawet przygotować i dołączyć instrukcji w języku polskim, co jest szczególnie przykre, gdy widzi się instrukcje w językach mniej licznych państw narodowych. I jak widzimy, sklepy tej sieci sprzedają niewłaściwie działające dekodery, o czym klienci przekonują się dopiero po zakupie. Oczywiście sieć sklepów nie odpowiada za brak aktualnego oprogramowania, ale powinna poinformować klientów o tym fakcie.

Jako zwolennik spiskowej praktyki, a nie teorii, jestem przekonany, że utrudnienia, które napotykamy przy odbiorze wspomnianych nowych telewizji, nie są przypadkowe. To jedyne dwie telewizje prezentujące konserwatywny ogląd Polski i świata. Mówią prawdę, przez to są niewygodne dla politycznego i medialnego mainstreamu.

www.wojciechreszczyński.pl



OGNIEM NA WPROST

Koniec wojny według Putina



Andrzej Rafał Potocki

Kancelerza Olafa Scholza zaswedziały ręce, chwycił więc za słuchawkę i zadzwonił do Putina. Ponieważ Niemcom grożą nowe wybory, a obecny przywódca z prawdopodobieństwem granicznym z pewnością będzie musiał niebawem opuścić swój urząd (podobnie jak jego kolega po fachu w USA Joe Biden), postanowił coś wymyślić. Niestety, jedynym co przychodzi do głowy niemieckim politykom, jest ubłaganie Putina, żeby wpadł na jakiś pomysł, który pozwoli wrócić do dawnych, dobrych czasów, kiedy gaz i ropa były za pół darmo, a Rzesza – krajem płynącym mlekiem i miodem. By poudawać, jak to Niemcy są przeciwne wojnie, zaznaczyć, że ewentualne rozmowy z Kremlem nie mogą się odbyć bez udziału Kijowa. Na takie *dictum* Moskwa posłała Scholza na przysłowiowy szczaw, bo Putin czuje się na fali i nie ma zamiaru rezygnować z ekspansji. Telefon kanclerza wywołał konsternację i oburzenie. Nie dość, że zrobił z siebie politycznego krety, to przejechali się po nim francuscy eksperci i w ostrych słowach skrytykował go prezydent Zelenski, który podkreślił, że stanowisko prezydenta elekta Donalda Trumpa jest zgodne ze stanowiskiem Kijowa. „Z administracją Trumpa wojna skończy się szybciej” – podsumował niemieckie starania o pokój. No i krawciarze w Kijowie, macie swoich Niemiaszków.

A Moskwa, widząc słabość i wahania przeciwników, zaproponowała swoją wersję zakończenia wojny. Kremlowskie Ministerstwo Obrony przygotowało dokument zawierający „prognozę rozwoju sytuacji wojskowo-politycznej na świecie do 2045 r.”,

w którym zakłada się, że należy zlikwidować ukraińską państwowość, a terytorium Ukrainy powinno zostać podzielone na trzy części. „Nowe regiony Rosji” – w tym rozdziale dokumentu przewiduje się oficjalne wejście do Federacji Moskiewskiej obwodów donieckiego, ługańskiego, zaporoskiego, chersońskiego i Autonomicznej Republiki Krymu oraz miasta Sewastopol. Na tym zadaniu skupiają się dziś główne wysiłki militarne Kremla.

W czytujemy się w dokument MON. Pojawia się termin: „Prorosyjska edukacja państwowa”, czyli utworzenie podmiotu państwowego z prorosyjskimi władzami na terenach współczesnych obwodów kijowskiego, czernihowskiego, sumskiego, charkowskiego, połtawskiego, kirowogradzkiego, dnipropietrowskiego, odeskiego, czerkaskiego, winnickiego, żytomierskiego i miasta Kijów. Obejmuje to także odrzucenie integracji europejskiej i euroatlantyckiej oraz rosyjskiej obecności wojskowej (lokalizacja baz wojskowych m.in. w Naddniestrzu, Osetii Południowej i Abchazji). Jest też coś dla nas. Chodzi o Zachodnią Ukrainę, czyli jak to nazywa Moskwa, „terytoria sporne”. Obejmują one Wołyń, Równie, Chmielnicki, Lwów, Iwano-Frankiwsk (polski Stanisławów), Tarnopol, Czerniowce, obwody zakarpacie. Kreml uważa, że o przyszłości tych terytoriów powinien decydować Kreml, a także inne sąsiednie państwa – Węgry, Rumunia i w końcu Polska. Czy ktoś na Zachodzie łącznie z Trumpem dokładnie rozumie, co się dzieje? Chyba nie. Bo gdyby rozumieli, to już dawno by dali Ukraińcom tyle broni, że ci pogналиby Ruska daleko na Wschód. Cały ten chocholi taniec pod wodzą ta-

kich tegich głów, jak nie przymierzając kanclerz Scholz, skończy się tym, że Ruski zajmie Kijów. A wtedy „po małątki na Podole 6. pułk wyrusza w pole”. Tylko przy obecnej władzy w Warszawie równie dobrze może się skończyć tym, że Moskal nam wejdzie w szkodę.

Ostatnio na Ukrainę runęło w jednym nalocie 101 rakiet manewrujących Ch-101/55CM, 90 dronów różnych typów, 8 rakiet balistycznych Ch-47M2 Kindżał, 5 kierowanych rakiet Ch-59/69, 4 rakiety przeciwradarowe Ch-22/31-P, 1 rakiet balistyczna 3M22 Cyrkon, 1 rakiet balistyczna Iskander-M. Z tego przez ukraińską obronę przebił się iskan-der, kindżał, 16 rakiet Ch-101/55CM oraz 58 dronów. Celem uderzenia były przede wszystkim obiekty infrastruktury energetycznej, a także budynki mieszkalne. Choć w tym typowym ataku terrorystycznym zginęło 12 osób, trzeba powiedzieć, że ukraińska obrona przeciwlotnicza działa dość skutecznie. Na froncie bez poważniejszych zmian. To znaczy sytuacja rozwija się tak, jak się rozwijała, bez gwałtownych zwrotów akcji. Próba rosyjskiego ataku na odcinku kurskim skończyła się masakrą na polu minowym. Bojcy zajmują się tu głównie rabunkiem. Tymczasem ukraińskie siły specjalne hasają po rosyjskim zapleczu w obwodzie kurskim, a 3. Brygada Szturmowa Azow zaprasza na tygodniowy pobyt „aklimatyzacyjny”. Przyjdź, pobaw się w żołnierza, może ci się spodoba i zostaniesz? Jakby w odpowiedzi ukraińska banda tchórzów w Berlinie zorganizowała demonstrację (niewielką) przeciwko poborowi do wojska.

Współpraca: „Skipper”

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Wybór

W przededniu polskich wyborów głowy państwa z zazdrością patrzę na wybory amerykańskie. Nie dlatego, że jestem jakimś zagorzałym zwolennikiem Donalda Trumpa, ale ze względu na przebieg kampanii i wybór Amerykanów.

Podczas gdy u nas trwa zabawa w chowanego, kto ma być kandydatem PiS, a kto kandydatem PO, w Ameryce niemal od początku było jasne, kogo wystawia republikanie, a kogo demokraci. Z jednej strony był Donald Trump ze swoją pragmatyką i jednoznacznością, a z drugiej Kamala Harris z ustami pełnymi ideologii i nieumiejętnością przedstawienia jakiegokolwiek sensownego programu wyborczego. Z oczywistych względów wygrał republikanin, bo Amerykanie nie poszli głosować pod hasłem „każdy, byle nie Trump”, lecz wrzucali głosy we własnym, najlepiej pojętym interesie.

W tych wyborach Trump wygrał z ideologią. Wydawało się, że Harris ma wszelkie argumenty, by zwyciężyć. Jest ciemnoskórą kobietą, feministką, wyznawczynią wolności wyboru (aborcja), z doświadczeniem na stanowisku wiceprezydenta. Liberalne media wykreowały ją na idealną kandydatkę do Białego Domu, jednocześnie zgodnym chórem dorabiając gombrowiczowską gębę Trumpowi. Na nic się jednak nie zdały kalumnie Anne Applebaum i jej podobnych „dziennikarzy”. Nie udało się wytworzyć antytrumpowego Jagodna, bo Amerykanie nie dali się uwieść ani applebaumopodobnym, ani gwiazdom i gwiazdeczkom show-biznesu. W ciągu kilku miesięcy słuchali, co ma im do zaoferowania Trump, a co Harris, po czym ignorując podpowiedzi mediów, dokonali racjonalnego wyboru. I tego prawdziwie zazdroszczę Amerykanom. To format u nas na razie nieosiągalny.

Pół roku przed wyborami nie wiemy, kto będzie kandydatem prawicy, a kto kandydatem strony lewicowo-liberalnej. PiS czeka na wyniki badań, jakby chciał wystawić kandydata, który nie będzie oferował niczego poza dopasowywaniem się do oczekiwań większości. Tymczasem prezydent jest po to, aby zmieniać, aby mieć w głowie plan rozwoju kraju i konsekwentnie, nawet za cenę niepopularnych decyzji, realizować ów plan. Jest w tych wyborach coś groteskowego i żalostnego zarazem, bo dla mnie oczywisty byłby start Jarosława Kaczyńskiego. I to by było poważne podejście do wyborów, a nie zasłanianie się „nieoczywistym” kandydatem przez PiS czy żalostnym Sikorskim albo Trzaskowskim, który w życiu nie



**Aleksander
Nalaskowski**

*Mamy w głosowaniu
prezydenckim wybierać
dublerów, a nie liderów?
Wszystko na to wskazuje*

powiedział sensownego zdania. Mamy wybierać dublerów, a nie liderów? Wszystko na to wskazuje. O innych kandydatach nie wspomina, bo są zbyt blisko politycznej błazenady.

Gdyby to Amerykanie zatem wybierali w Polsce albo gdyby Polacy myśleli po amerykańsku, postawiliby na Kaczyńskiego. Ale to gdybanie sędziwego felietonisty.

Zły wybór będzie się na nas mścił przez lata. Będzie polowanie na czarownice, będzie wszechobecna zemsta, a jedynym planem gospodarczym będzie obsadzenie stanowisk przez swoich. Urządzą nam takie ogólnopolskie Collegium Humanum, w którym będą decydować znajomości i mnóstwo lewej kasy. A najbardziej zasłużonych i zużytych pošlą po apanaże do Parlamentu Europejskiego. Jeśli zaś wygra ich prezydent, to wszystko pobłogosławi.

Przeciętny Polak nie ma pojęcia, ile naprawdę zarabiają parlamentarzyści i europosłowie. Oprócz diet, pieniędzy na utrzymanie biura, delegacji, bezpłatnych przejazdów oraz przełotów otrzymują wynagrodzenie za zasiadanie w komisjach. Nawet kilku.

To kwoty, o których polska rodzina nie może sobie nawet pomarzyć. Wybrańcy narodu doją Polskę bez umiaru i przyzwoitości, markując pracę, udając zatroskanie i troszcząc się wyłącznie o wybór na następną kadencję. Kto raz tego posmakuje, nie zrezygnuje z własnej woli. Wielu polityków najbardziej bowiem kocha łatwy szmal.

Gdyby Polacy myśleli i wybierali jak Amerykanie, powierzyliby władzę w państwie ludziom rzeczywiście kompetentnym, prawdziwym fachowcom, których wszak w Polsce nie brakuje.

Przez Warszawę przeszedł dumny i niezwykle ważny symbolicznie Marsz Niepodległości. Serce rosło na widok tłumów, biało-czerwonych flag, rodzin z dziećmi. To ważne i poważne wydarzenie. Ale sam marsz niczego nie zmienia. Przejdziemy się, pokrzykujemy, pomachamy flagami i co z tego? Co z tego, że zamanifestujemy, że jest nas ciżba, że „się policzymy”? Nic poza radością i dumą z tego nie wynika. Czy będziemy od tego bardziej pragmatyczni? Czy emocje zastąpimy zdrowym rozsądkiem i skuteczną presją na rządzących, aby kontynuowali wielkie projekty poprzedniej władzy?

Dzisiaj patriotyzm to budowa CPK, splawność Odry, port w Świnoujściu, elektrownia jądrowa, mocne rolnictwo oraz... ucieczka z Unii Europejskiej, której szkodliwość dla Polski obecnie jest nie do oszacowania i w obecnych realiach nasz „amerykański sen” nie może zostać wyśniony.

Michał Korsun prezentuje:
Mały Olaf dzwoni do wujka Putina



Wycinki z przeszłości

Opis tego podręcznika retoryki z 1635 r. znaleźliśmy w polskiej prasie z lat 30. XX w. Wydana w Krakowie „Spizarnia aktów rozmaitych, które przy zalotach, weselach, bankietach, pogrzebach i tym podobnych innych zabawach świeckich odprawować zwykły” to zbiór gotowych przemówień okolicznościowych. W opisie czytamy, że to wystąpienia „charakterystyczne dla tych czasów,

obrazujące ówczesne formy życia”. I dalej: „W książce są m.in. mowy, jakie należy wygłaszać »przy wjeździe w dziewosłęby, o pannę prosić«, »dziękowania za obiecaną pannę«, »mowa przy oddawaniu marcypanów«, »dziękowanie za marcypany od panny«, »mowa przy oddawaniu panny w łóżnicy«, »dziękowanie za pannę w łóżnicy« itp.”.

Razi nas wiele tych obyczajów, ale w tym zwariowanym świecie może warto zachować staropolską gościnność i troskę o grzeczność.

(mk)

Z WOLEJA

Gdyby...

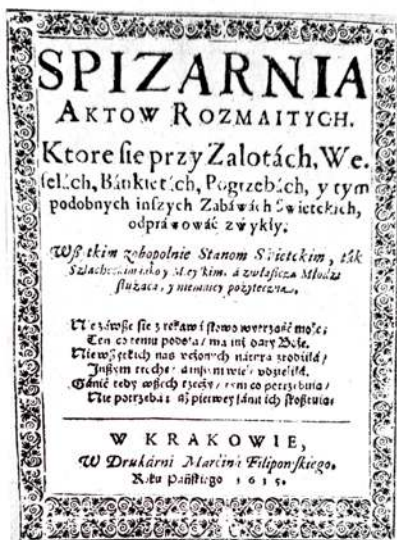
Gdyby polscy piłkarze wytrzymali jeszcze kilkadziesiąt sekund w meczu z rodakami Williama Wallace’a (przywódcy powstania Szkotów przeciwko Anglikom), to utrzymaliby się w najwyższej dywizji Ligi Narodów. Dzisiaj kibice i dziennikarze nie wieszaliby psów na Michale Probierzu, tylko piali z zachwyty nad pięknym golem Kamila Piątkowskiego czy faktem, że Białoczerwoni stworzyli w tym meczu największą liczbę sytuacji bramkowych w tym roku. Ba, podkreślano by, że zagraliśmy bardzo ofensywnie, a reprezentacja poradziła sobie bez Roberta Lewandowskiego. Ale zabrakło dosłownie sekund...



Ryszard Czarnecki

Gdyby równo ćwierć wieku temu w bodaj najbardziej dramatycznym finale w historii piłkarskiej Ligi Mistrzów rozgrywanym na Camp Nou w Barcelonie w obecności 90 tys. widzów Bayern Monachium nie stracił dwóch bramek w doliczonym czasie gry, Bawarczycy wygraliby klubowe mistrzostwa Europy po raz czwarty w minionym stuleciu (1974, 1975, 1976 r.), a nie po raz pierwszy w historii zdobył go Manchester United prowadzony przez charyzmatycznego Alexa Fergussona (skądinąd Szkota). Sir Alex miał niebywałego trenerskiego nosa, wprowadzając z ławki dwóch graczy, którzy w ostatniej minucie meczu strzelili decydujące gole (Anglika Sheringhama i Norwega Solskjæra – o tym drugim mówiono, że jest mordercą o twarzy dziecka). Gdyby sędziujący ten mecz arbiter z Italii, łysy jak kolano Pierluigi Collina, gwizdnął koniec meczu kilkadziesiąt sekund wcześniej, świętowałiby Teutoni, a nie Albion. Skądinąd na Włochu wzoruje się jeden z najlepszych arbitrow światła Polak Szymon Marciniak. Wtedy, w 1999 r., w Katalonii, Niemcom też zabrakło kilkunastu sekund, jak Polakom na Stadionie Narodowym w ostatni poniedziałek.

Gdyby 18 czerwca 1997 r. w czasie decydującego o mistrzostwie Polski „mecz wszech czasów”, jak dziś się określa, Legia Warszawa nie straciłaby trzech bramek w ciągu końcowych stu kilkunastu sekund, to złote medale zostałyby na Łazienkowskiej 3, a nie pojechałyby z Widzewem śp. Franciszka Smudy do Łodzi. Może gdyby kontuzji w tym meczu nie doznał sędzia główny Andrzej Czyżniewski, to piłkarze ze stolicy, wówczas którzy prowadzili 2:0, nie wypadliby zupełnie z rytmu. A tak Żyleta, czyli najbardziej zagorzali kibice Legii (która w tym roku obchodzi 108. rocznicę powstania) z osłupieniem patrzyła, jak Sławomir Majak, Andrzej Michalczuk i Dariusz Gęsior strzelali gole dla RTS (Robotnicze Towarzystwo Sportowe). Gdyby...



OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Niebezpieczna odmowa wiedzy

Wśród książek nabytych w listopadowy poniedziałek znalazła się publikacja Tomasza Stawiszyńskiego „Powrót fatum”. Naszą wyobraźnię od razu uruchomiło jedno zdanie autorstwa wybitnego francuskiego myśliciela Reného Girarda (1923–2015). Stawiszyński wybrał je na motto otwierające książkę. Oto ono: „Tak więc im bardziej to, co się dzieje, nam się narzuca, tym bardziej nie przyjmujemy tego do wiadomości”.

W książce, która po wstępnym przejrzeniu zapowiada się obiecująco, Stawiszyński chodzi o sprawy bardziej podstawowe aniżeli bieżącą polską politykę. Jednak zwykle nawet najbardziej przyziemne sprawy dzieją się w szerszym faterale filozoficzno-kulturowym. Pomyśleliśmy zatem, że postawa, na jaką wskazuje Girard, dotyczy także nas, zaangażowanych w polską politykę. Czy dziś dzieją się takie ważne dla Polaków sprawy, które im bardziej się nam narzucają, tym bardziej nie przyjmujemy ich do wiadomości?

Trop wskazał nam artykuł Piotra Gursztyna pt. „Kłamie, bo może” („Sieci” 47/2024). Chodzi o premiera Donalda Tuska, którego liczne nieprawdziwe wypowiedzi autor analizuje.

ANI TAK INTELIENTNY, ANI TAK ODWAŻNY

Każdemu racjonalnie i samodzielnie myślącemu obserwatorowi coraz bardziej musi się narzucać nie tylko skłonność obecnego premiera do świadomego rozmijania się z prawdą, lecz także to, że coraz wyraźniej widać, iż Donald Tusk ani nie jest tak inteligentny, ani odważny jak jeszcze niektórzy do niedawna myśleli.

Weźmy pod uwagę fakty proste do sprawdzenia przez niemal każdego. Tusk bywa postrzegany jako osoba bardzo inteligenta ze względu na jego sprawność w manipulowaniu ludźmi, w tym istotną częścią opinii publicznej. Świadczą o tym m.in. sposób, w jaki rozma-



*Ludzie odrzucają to,
co może choćby zachwiać
ich poczucie, że dobrze
wybrali*

wiał z tłumami na spotkaniach podczas kampanii wyborczej 2023 r. A to, że na tych spotkaniach nieraz dopuszczano do zadawania pytań niewygodnych czy kłopotliwych dla szefa Platformy, które w sytuacjach transmisji na żywo „brał na klatę”, niekiedy całkiem niezłe radząc sobie z nastrojami sali, bywało traktowane jako wyraz jego odwagi.

Tymczasem ostatnio miało miejsce szybkie „sprawdza” obu tych przymiotów Tuska.

SPRAWDZIAN: ANI INTELIENTNY

Gdy niedawno na konferencji prasowej dziennikarka „Tygodnika Solidarność” spytała obecnego premiera o jego wypowiedź z 2023 r. przypisującą Donaldowi Trumpowi bycie rosyjskim agentem, Tusk wyparł się tych swoich słów, szeroko dostępnych w internecie, z naiwnością godną dziecka.

SPRAWDZIAN: ANI ODWAŻNY

Z kolei rażącym dla wielu osób przejawem braku odwagi cywilnej była nieobecność premiera Tuska na uroczystych obchodach Święta Niepodległości. Jako powód podano „planowany zabieg medyczny”. Gdy jakiś zabieg jest wcześniej „zaplanowany”, to nie jest zabiegiem ratującym życie, tj. takim, który musi być wykonywany niezwłocznie. Dlaczego zatem taki termin? Dlaczego człowiek posiadający obecnie największą władzę w państwie zaplanował zabieg właśnie na dzień, gdy miliony Polaków obchodzą swoje wielkie święto?

Trudno uciec od przypuszczenia, że premier bał się tego dnia skonfrontować ze swoimi rodakami. Lub bał się publicznie zademonstrować swoje przywiązanie do niepodległości, gdyż wtedy naraziłby się tym kosmopolitycznym siłom w Unii Europejskiej, których poparcie jest mu potrzebne. Tusk zatem albo boi się patriotycznie nastawionych rodaków, albo zagranicznych kosmopolitycznych elit...

BARDZO TRUDNO DOSTRZEC?

A jednak ani fakt mniejszej niż można by się spodziewać inteligencji Tuska, ani jego deficyt odwagi zdają się bez znaczenia dla jego zwolenników. Choć te deficyty premiera aż się rzucają w oczy, to i tak wielu Polaków odmawia przyjęcia tego do wiadomości. Ludzie odrzucają to, co może choćby zachwiać ich poczucie, że dobrze wybrali.

Słowa Girarda to wezwanie do odwagi w stawianiu czoła trudnym prawdom. Francuski filozof ufał, że uświadomienie sobie psychologicznych mechanizmów zaprzeczania i wyparcia może pomóc przełamać cykle przemocy i konfliktów, otwierając drogę do bardziej zdrowych relacji społecznych.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

„Ojczyzna
to wielki zbiorowy
obowiązek”

Wesprzyj
patriotyczne
media



Dane do wpłat:
Fratia Sp. z o.o.

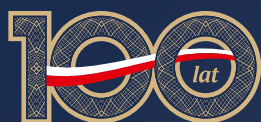
Konto do wpłat z Polski:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

Konto do wpłat zagranicznych:
BIC (SWIFT): BPKOPLPW
PL69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

w tytule: **DAROWIZNA**



100. ROCZNICA WPROWADZENIA ZŁOTEGO DO OBIEGU 1924–2024



STULECIE UTWORZENIA
BANKU POLSKIEGO SA
I WPROWADZENIA
ZŁOTEGO DO OBIEGU



*Polski złoty jest jednym
z fundamentów dobrobytu
i wolności Polaków.*

PROF. ADAM GLAPIŃSKI
PREZES NBP



Dowiedz się więcej z bezpłatnej publikacji
dostępnej w wersji cyfrowej i drukowanej
„Narodowy Bank Polski w czasie megaszoków
ekonomicznych po pandemii i w kryzysie
energetycznym – historia sukcesu”.

Wejdź na nbp.pl lub zeskanuj kod
i zamów już dziś.

